

DODATEK:
BOHATEROWIE NIEPODLEGŁEJ CZ. 4

MORAWIECKI
NOWE, MOCNE OTWARCIE



WĘGRÓW
– CO NAPRAWDĘ TAM SIĘ ZDARZYŁO W 1942 R.

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 17–18 (282–283) 2018
23 kwietnia–6 maja
CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS



STANISŁAW GAWŁOWSKI
BYŁY POSEŁ I SEKRETARZ GENERALNY PO

KULISY AFERY GAWŁOWSKIEGO

Z SEJMU DO ARESZTU



UJAWNIAMY:
ŁAPÓWKA NA STACJI BENZYNOWEJ, GIGANTYCZNA KORUPCJA, APARTAMENT W CHORWACJI, SZOKUJĄCE ZEZNANIA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269809 17



Nowa IPLA. I oglądasz!

Oglądaj to, co chcesz, a nie to, co musisz, bo w IPLI z łatwością znajdziesz swoje ulubione seriale, programy i sport! Jeśli nie wiesz, co oglądać, IPLA Ci podpowie. Jesteś poza domem? Nie szkodzi. Z IPLĄ oglądasz, gdzie chcesz i na czym chcesz. Zaczynasz w domu na telewizorze i kontynuujesz w podróży na tablecie.

W IPLI czekają na Ciebie:

- kilkadziesiąt tysięcy materiałów VOD – ponad 90% ZA DARMO
- ponad 90 kanałów TV
- produkcje HBO
- transmisje największych wydarzeń sportowych

Sprawdź już teraz, jakie to proste na **www.ipla.tv.**

Szczegóły w Regulaminach na stronie ipla.tv.

ipla

eprasa.pl 15af488151

Taki obóz Kaczyńskiego i taki Morawiecki mogą wygrywać

Tuż przed świętami wielkanocnymi opozycja już witała się z gąską, uznając, że niezręcznie przeprowadzona sprawa nagród w rządzie jest gwoździem do trumny obozu rządzącego. W weekend majowy to większość rządowa wchodzi w lepszych nastrojach. Konwencja Zjednoczonej Prawicy pokazała, że obóz Jarosława Kaczyńskiego jest w stanie przetrwać słabszy okres, zachowuje zdolność przegrupowywania się, a przywództwo lidera jest bezdyskusyjne. Duże wrażenie zrobiło wystąpienie premiera Mateusza Morawieckiego. Jasna perspektywa rozwojowa, konkretne zobowiązania prospołeczne (słynna już „piątka" Morawieckiego) i nuta patriotyzmu – to są najlepsze cechy szefa rządu, które wreszcie mocno wybrzmiały.

Z tej perspektywy można tę konwencję potraktować jako udane nowe otwarcie ekipy rządowej, której pierwsze sto dni upłynęło pod znakiem tematów zastanych bądź wywołanych na zewnątrz, jak spór z Izraelem. Morawiecki nie powinien tego dobrego tonu gubić. Można zrozumieć, że nie chce być redukowany do wyłącznie ekonomicznych kwestii, że chce też pokazać swoje kompetencje np. w obszarze historii. Ale powinien pamiętać, że sukces daje mu to, co przedstawił na konwencji. Polacy widzą w nim społecznie wrażliwego, lecz i bardzo sprawnego menedżera – i taki Morawiecki jest w stanie poprowadzić rząd do sukcesu, także wyborczego.

Sukces konwencji uwypuklił jeszcze jeden warunek zwycięstwa prawicy – jedność. Premia za nią jest niezauważalna na co dzień, ale kilka tygodni wcześniejszych podjazdów i podgryzań pokazało, że wyborcy prawicy nie trawią kłótni, reagują demobilizacją. Warto więc, by wszystkie podmioty tej wielkiej koalicji pod wodzą Kaczyńskiego szanowały się nawzajem.

Jest w tym wszystkim i łyżka dziegciu: efekt konwencji, medialne echo tego wydarzenia trwały krócej, niż można by się spodziewać. Rozgrzane antypisowsko do czerwoności media III RP błyskawicznie przeszły do kontrnatarcia, a brutalny atak na prezes Trybunału Konstytucyjnego Julię Przyłębską (nie cofnięto się przed pokazaniem wizerunku wnuczki) jest dowodem na to, że niektórzy uznali, iż już można wrócić do dawnych manier i nawyków. A to i tak tylko wskazówka, jak srogą cenę prawica może zapłacić za złudzenie, że da się komunikować z Polakami za pośrednictwem nieuczciwych mediów, że można flirtować z nimi bezkarnie.

Ale generalnie: ta wiosna może należeć do prawicy!

Michał Karnowski



SIECI

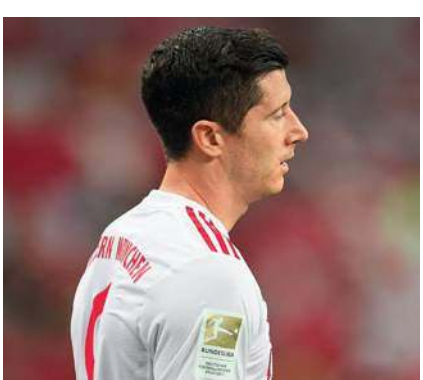
spis treści



42 Arystokraci bez masek
Maja Narbutt



67–82 Dodatek historyczny
Bohaterowie Niepodległej (cz. IV)



114 Lewandowski ma dość Niemiec
Cezary Kowalski

NA POCZĄTEK

6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

10 **STASZKÓW DWÓCH**
Krzysztof Feusette

12 **ODZYSKANIE OJCZYZNY**
Jan Pietrzak

13 **CENZURKI DEMOKRACJI**
Bronisław Wildstein

17 **WOLNOŚĆ OD HAŁASU**
Marta Kaczyńska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **„BANKIER" PO W ARESZCIE**
Wojciech Biedroń

KRAJ

26 **Z RADOSŁAWEM JÓŹWIAKIEM**
rozmawia Jacek Karnowski

32 **PIĄTKA+ MORAWIECKIEGO**
Stanisław Janecki

36 **OCHŁODZENIE KLIMATU**
Jan Rokita

38 **MATKI SĄ SKARBEM**
Maciej Pawlicki

42 **ARYSTOKRACI BEZ MASEK**
Maja Narbutt

44 **Z PIOTREM GURSZTYNEM**
rozmawia Piotr Skwieciński

47 **TOŻSAMOŚĆ KONSTYTUCYJNA I NARODOWA**
Bronisław Wildstein

52 **Z RAFAŁEM MILCZARSKIM**
rozmawia Ewa Wesołowska

54 **CZAS NA POWROTY Z ANGLII?**
Jaromir Kwiatkowski

58 **PARKOWE SZALEŃSTWO**
Dorota Łosiewicz

62 **ZAGADKA TATRZAŃSKIEGO FENOMENU**
Przemysław Barszcz

SIECI KULTURY

83 **PRAWICOWE „ŻYCZENIE ŚMIERCI" POWRACA**
Łukasz Adamski

87 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

88 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

90 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

ŚWIAT

92 **ANTY-FIDESZ W AKCJI**
Grzegorz Górny

94 **KTOŚ NAS PODBURZA**
Konrad Kołodziejski

96 **ZAKWITŁA SAKURA**
Andrzej Skwarczyński

GOSPODARKA

100 **Z RAFAŁEM ANTCZAKIEM**
rozmawiają Maciej Wośko i Stanisław Koczot

102 **MAŁE OC, WIELKIE KŁOPOTY**
Kajetan Kutnowski

103 **Z MARKIEM CHRZANOWSKIM**
rozmawia Kajetan Kutnowski

SPORT

114 **LEWANDOWSKI MA DOŚĆ NIEMIEC**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

116 **MOJE SMAKI: JERZY SOBIENIAK**
Jolanta Gajda-Zadworna

117 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

118 **NIEPOKOJĄCE CIENIE SNAJPERÓW**
Piotr Skwieciński

119 **DOOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska

120 **ŚWIĘTOŚĆ I LAICYZM**
Dariusz Karłowicz

122 **MEDIA RZĄDOWE? OK**
Wojciech Reszczyński

123 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

124 **RÓŻOWA NIENAWIŚĆ**
Aleksander Nalaskowski

125 **TEMIDA Z KOZIKIEM**
Wiktor Świetlik

126 **KRÓTKI TRAKTAT O PODŁOŚCI**
Robert Mazurek

127 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

130 **SUWERENNOŚĆ I OTWARTOŚĆ**
Andrzej Zybertowicz

36/0218/F

Następne wydanie tygodnika ukaże się 7 maja

eprasa.pl 15af488151

GRUPA CEDROB®

Największy polski producent mięsa

Lider w produkcji drobiu i trzody chlewnej oraz uznany producent wędlin.







www.grupacedrob.pl

eprasa.pl 15af488151

Z życia koalicji



Jest taki człowiek – ***Wojciech Kolarski***, minister w Kancelarii Prezydenta, prywatnie kumpel Andrzeja Dudy z Krakowa. Tenże Kolarski mieszka na przedmieściach Krakowa, a do domu dojeżdża czym się da. Ostatnio jechał z centrum miasta małym busem. On w garniturze, obok lud pracujący w strojach mniej wyzywających. I tylko kierowca łypie na niego cały czas w lusterku, wpatruje się i porozumiewawczo uśmiecha. „Oho, rozpoznał mnie" – myśli wygarniturowany Kolarski. Bus dojeżdża do celu, minister wysiada, a kierowca do niego: „A ja wiem, gdzie pan pracuje". „Tak?" „W InterCity. Też chciałem, ale mnie nie przyjęli".

Rozmawiamy z ministrem, dzwoni telefon. Nasz rozmówca, który wszystkie połączenia odrzuca, tym razem reaguje inaczej. „Przepraszam, ale to muszę odebrać. To Adamczyk, a to straszna męczydusza i maruda".



No to ***Jaki*** – takie są bowiem rekomendacje prezydium przed posiedzeniem Komitetu Politycznego PiS. No chyba, żeby Komitet się nie zgodził. Wiecie, to jak ze Stalinem i posiedzeniami Biura Politycznego. Józef Wissarionowicz referował swoje zdanie, po czym kończył, mówiąc „Nie wiem, towarzysze, nie wiem, ja swoje zdanie wyraziłem, ale zdecydujecie, jak chcecie".

Korki od szampana wystrzeliły w dwóch miejscach. Cieszyli się Jaki (oczywiste) i Dworczyk, co jeszcze bardziej oczywiste, bo dostać bęcki, startując w wyścigu, w którym się nie chce brać udziału, to przykra sprawa. „Miał być nijaki, będzie Jaki" – rzucił nam dumny ze swego dowcipu pisowiec. Nie wiemy, co powiedzieć.

W każdym razie jedyną przegraną osobą w tej całej zabawie jest jak na razie... Kaczafi. W końcu tak długo kombinował, co by tu wymyślić, żeby tylko nie postawić na tego gówniarza – ziobrystę. Karczewski? Okazało się, że w sondażach nie grzeje. Dworczyk? To samo. Nic dziwnego, że od bardzo ważnego pisowca usłyszeliśmy: „A ja się nie zdziwię, jak nam wszystkim prezes zagra na nosie i wymyśli kogoś trzeciego. Tylko kogo?". Ha, mówiliśmy, że Świrski wypłynie.

A tak serio, to kilkoro znanych nam pisowców podejrzewało, że tym trzecim może być... Beata Szydło! Serio, ani trochę nie zmyślamy. Tak, tak, to ma sens, skądś znamy ten scenariusz: Beata co prawda przegrywa w drugiej turze z Trzaskowskim, ale potem jedzie do pracy w banku do Londynu, rzuca męża i znajduje młodszego o dwadzieścia lat poetę. Musielibyście tylko zrobić jej lobotomię, bo wszystko można powiedzieć, ale tak głupia nie jest.

Co tam w innych niż Warszawa miastach? Wygląda na to, że PiS stawia na same babki. Oprócz Kopcińskiej, która ma przegrać w Łodzi, w Krakowie wystawiono jednak Małgorzatę Wassermann. Nasze wróble twierdzą co prawda, że wcale nie chciała, ale ją przekonano. Szkoda tylko, że nie ma to żadnego znaczenia, bo Majchrowski i tak wygra.

Za to zabawnie będzie we Wrocławiu. Cztery lata temu Kazik Ujazdowski namawiał, by głosować tam na Mirosławę Stachowiak-Różecką, teraz będzie mógł to powtórzyć, bo wygląda na to, że może nie wejść do drugiej tury, a ona owszem. My oczywiście niczego nie przesądzamy, ale pani poseł mogłaby docenić, że jakimś cudem opanowaliśmy jej nazwisko. Macie tam we Wrocławiu jakąś kamieniczkę do zreprywatyzowania?



PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Julita Szewczyk, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 15af488191

Z życia opozycji

„Cały Gąsior, cały on” – tak mówiono kiedyś o pewnym bohaterze słuchowiska radiowego. To teraz tak samo trzeba podsumować Nowoczesną: cała ona. Chłopcy i dziewczynki z Nowoczesnej wzięli udział w uroczystym posiedzeniu rady miasta na Zamku Królewskim. Z okazji 75. rocznicy powstania w getcie. Po czym pochwalili się uczestnictwem w obchodach 73. rocznicy powstania warszawskiego. Biedaczki, one tam naprawdę w tych głowinkach nic nie mają.

To tak à propos. Pani poseł Scheuring-Wielgus ostatnio protestowała przeciwko wpychaniu jej w brzuch dziecka z kąpielą. Straszny to kraj, w którym posłowi opozycji wpycha się do brzucha nie tylko dziecko, lecz jeszcze kąpiel. Sadyzm i totalitaryzm.

A były minister sprawiedliwości w rządzie Marka Belki został aresztowany. Andrzej Kalwas stał się Andrzejem K. Oczywiście podniósł się jazgot, że trwają polityczne



TYGODNIA Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR



aresztowania. Ale z tego, co wiemy, K. raczej nie udzielał się ostatnio politycznie. Natomiast brał udział w zabawach towarzyskich, podczas których podawał się za agenta ABW. Przypomniało nam to odwrotną historię. Jak szef UOP w zamierzchłych czasach ***Lecha Wałęsy*** dość monstrualny łysol Jerzy Konieczny przebierał się za kobietę i szedł w naród wsłuchiwać się w jego głos. A potem o tym opowiadał. Świat jest pełen dziwnych stworzeń.



Bardzo dawno nie słyszeliśmy o polityku SLD ***Tadeuszu Iwińskim***. Nie dość, że miał ksywę „Plecak” i obściskiwał tłumaczki, to jeszcze o Samuelu Huntingtonie mawiał „mój przyjaciel”, no więc w ogóle fajny był. A teraz jakoś o nim ucichło. Na szczęście ktoś wrzucił na Facebooka zdjęcie strony tytułowej książki Boskiego Tadeo. Dzieło z 1984 r. z serii „Biblioteczka marksizmu-leninizmu” nosi tytuł „Współczesny antykomunizm”. Ale najpiękniejsza jest dedykacja autora: „Komunistce M.Z. Oby nigdy nie przeszła – jak to się niektórym zdarza – na pozycje antykomunistyczne”. Ładne, to się teraz nazywa vintage.

O ile Boski Tadeo nas nie zaskoczył, o tyle Monika Jaruzelska owszem. Generałówna ma startować gdzieś z ramienia SLD, ale w wywiadach przedstawiła swe poglądy, które okazały się zaskakująco konserwatywne. Jaruzelska jest więc teraz sekowana przez tych, którzy dotąd ją uwielbiali za nazwisko. Jeszcze trochę takiego hejtu i kobieta będzie miała własne szoł w TV Republika.



Zdaje się, że Doktor Oetker jakoś średnio się przyjął jako kandydat na prezydenta Wrocławia. Lud, widać, nie przepada za budyniem. Natomiast nas zdziwiło, że Ujazdowski zdobył poparcie ***Grzecha Schetyny***, ale nie otrzymał go od Rafała Dutkiewicza. Ustępujący prezydent Wrocławia z Kazikiem zakładał niegdyś ruch obywatelski Polska XXI i, widać, zbyt dobrze zna Doktora Oetkera, żeby go popierać. A może po prostu też nie przepada za budyniami.

„W związku z czasową niemożnością wykonywania obowiązku sekretarza generalnego i szefa zachodniopomorskiej Platformy przez posła Stanisława Gawłowskiego zarząd PO powierzył pełnienie obowiązków sekretarza generalnego partii posłowi Robertowi Tyszkiewiczowi”. „Czasowa niemożność” – jakże cudownie dyplomatyczne określenie! Faktycznie, „w związku z wylądowaniem w pierdlu” – to by jakoś nie brzmiało.

Fot. Praszkiewicz/Shutterstock.com, Julita Szewczyk, Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 15af488151

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

Nic nie zabolało III RP tak, jak utrata pełnej kontroli nad wymiarem sprawiedliwości. To widać, słychać i czuć. Bo jak inaczej wyjaśnić szaleńczą wręcz pasję, z jaką i ***media niemieckie, i TVN*** atakują prezes Trybunału Konstytucyjnego Julię Przyłębską? Nawet informację o nagrodach dla ambasadorów zilustrowano jej zdjęciem! Dlaczego? Bo jej mąż jest ambasadorem w Berlinie. I ci ludzie pouczają innych na temat standardów!

Inna sprawa, że ***media III RP*** znów czują się bardzo, bardzo pewnie. Co prawda PiS jeszcze nie próbują obalić frontalnym atakiem, ale trwają intensywne ćwiczenia. Ogień coraz bardziej zorkiestrowany, amunicja coraz większego kalibru. Najpierw celowano, dość skutecznie, w wicepremier Szydło, teraz w prezes Przyłębską. Jeśli ktoś sądzi, że w czasie kampanii cele będą równie skromne, ten bardzo błądzi.

A ***media niezależne*** łatwo nie mają. Np. niezwykle zasłużone Radio Wnet Krzysztofa Skowrońskiego jak nie miało koncesji, tak nie ma. Ku radości części prawicy medialnej, która uważa, że skoro ona nie ma radia, to lepiej, żeby nie miał nikt. Nie jest to jedynie myślenie, bo towarzyszy mu knucie. O tak, ci ludzie to knuć umieją. Właściwie tylko to umieją.

Warszawska ***konwencja PiS*** wypadła więcej niż przyzwoicie. Ale oglądana z bliska była więcej niż skromna. Hala gdzieś na głębokich peryferiach, żadnego luksusu, żadnego jedzenia, a tylko kawa, herbata, woda. Nie wiemy, ile to w sumie kosztowało, ale sądząc po tym, co było widać, wezwanie do skromności aparat PiS wziął sobie do serca. Działacze także. Niemal wszyscy dotarli pieszo, żeby broń Boże nikt nie zobaczył, czym jeżdżą.

Z kolei ***kontrkonwencja Platformy*** w telewizji wypadła słabo, za to oglądana na żywo była po prostu żenująca. Przaśna, nudna, bezpłciowa, bez żadnych świeżych pomysłów. Ma rację Bartłomiej Sienkiewicz – tam nie ma prądu. Ale nie tylko: tam nie ma też myślenia. To partia, której szare komórki bardzo podupadły, a część obumarła. Ale nie można się dziwić: kserokopiarka przecież nie myśli.

Rząd marzy o kolejnych sukcesach, ale na razie musi walczyć, by dawne sukcesy nie stały się dzisiejszymi klęskami. Tak może się stać z kupnem kolekcji Czartoryskich po tym, gdy wyszło na jaw, że familia wyprowadziła z Polski otrzymane pół miliarda. Cóż, można tylko przywołać autentyczny dialog pewnego „aristoi" z plebejuszem. „Gdyby nie arystokracja, Polska nie odzyskałaby niepodległości" – stwierdził ten pierwszy. „Gdyby nie arystokracja, Polska nie straciłaby niepodległości" – odpowiedział ten drugi.

W sprawie kolekcji robi się naprawdę ciekawie. Tamara Czartoryska w oświadczeniu wysłanym do mediów stwierdziła, że jej ojciec, książę Adam Karol Czartoryski, czyli założyciel fundacji, „nienawidził Polski i Polaków", a jego żona miała mówić, że „Polakom nie można ufać". To paradoksalnie potężny argument za kupnem kolekcji. Ludziom, którzy tak myślą o Polsce, nie można ufać, i lepiej, żeby nie mieli w ręku narodowych skarbów.

„***Pobudka 6.30***, sprzątanie celi, 8.00 spacerniak" – tak wyglądają teraz poranki Stanisława Gawłowskiego, byłego już człowieka nr 2 w PO. „Tak się traktuje opozycję na Białorusi czy w Rosji" – zagrzmiał więc Schetyna. Jeśli tak, to do czego porównać Polskę Platformy, w której na trzy lata bezwzględnego więzienia skazano Kamińskiego i Wąsika, czyli ludzi walczących z korupcją?

Nie dość, że ***mamy w Polsce Białoruś*** (nawet gorzej, bo tam dziś prawie nie ma więźniów politycznych), to niektórym cały los rozpada się w rękach. „Ostatnie czasy zniszczyły dążenie całego mojego życia – całe życie chciałem być Europejczykiem, zostać przez nich uznany, że będę na równi, że będę doceniony" – stwierdził aktor Jerzy Stuhr. Z tym trzeba się zgodzić: dopóki nasza „elita" rządziła, Zachód udawał, że ją szanuje. Gdy przegrała, budzi tam jedynie pogardę.

Publicysta ***Rafał Ziemkiewicz*** z okazji rocznicy powstania w getcie przypiął sobie żółtego żonkila. W hołdzie bojownikom Żydowskiego Związku Wojskowego. Ładny gest, ale to chyba za mało, by środowiska żydowskie mu wybaczyły. Ale ważne, że coś drgnęło, wszak najtrudniejszy pierwszy krok.

Sygnalista



5/0418/F

eprasa.pl 15af488151



KOCHASZ...
...na całe życie

NOWE PALIWO

efecta

efecta DIESEL

efecta 95

CZYSZCZĄC SILNIK,
dba o:

- żywotność
- wydajność

ORLEN

Dowiedz się więcej na **dlakierowcow.orlen.pl**

eprasa.pl 15af488151



KRZYSZTOF FEUSETTE

Staszków dwóch

– Gabinet cieni, słucham...
– Grzechu?
– A kto mówi?
– Ale, czy Grzechu?
– Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci Kamyszem... To jest jakaś ankieta?
– Więc Grzechu czy nie?
– Pan Grzechu, jeśli już. Ostatni raz pytam: kto mówi?!
– Staszek.
– Staszek? Ale jaja! Co u ciebie, Stasiu? Dali ci zadzwonić?
– A co mieli nie dać, przecież ja tu rządzę.
– No tak. Na byle kogo nie trafiło. Poczekaj, bo mam drugi telefon... Dzień dobry, oczywiście, no właśnie mam go na linii... Jesteś tam, Staszek?
– Jestem.
– Patrz, jak się pięknie składa. Wiesz, kto dzwonił?
– Kto?
– Donek nasz kochany! Ależ mu się akcent zmienił. Słuchaj, on prosi, żeby mu jakieś fajne miejsce tam przygotować, najlepiej dwójeczkę z telewizorem. Znajdziesz coś?
– Ale gdzie?
– Przy stołówce. Właśnie, jak cię karmią?
– Normalnie. Przecież ja się odchudzam.
– Widzisz, nie ma tego złego... A jak stoisz z tymi, jak ty to mówisz, ka-nap-ka-mi?
– Jak jem, to siedzę, nie stoję. Z jajem i sałatą najlepsze.
– Z sałatą. No tak, to wiedziałem. Z kapuchą też mogą być, co nie? Ale z jajem? Powiem ci tak: jaja to będą, Stasiu, jak się ten osioł do galopu nie weźmie...
– Osioł?
– O koniu mówię.
– To osioł czy koń?
– Dobra, przejdę na grypserę. Wielki koń... Największy... Nasza szkapa...
– Grzesiu, przepraszam cię, ale ja się na koniach nie znam. A ty chcesz kupić czy sprzedać?
– Przerobić na salami! Na ludziach też się nie znasz. Ty myślisz, że jak on Bąków broni, to ciebie też wyciągnie? Ja wiem, że darowanemu mecenasowi się w papiery nie zagląda, ale teraz to on cię ujeżdża, a nie ty jego! Może więcej siana mu daj? Wiesz, o co chodzi: wio, koniku, a jak się postarasz...
– Koniowi zegarek? A co, on według rozkładu jeździ? Grzechu, powiem ci szczerze, ja już zupełnie nie rozumiem, o czym ty mówisz. Zawsze tak było, ale teraz to już wyjątkowo.
– Jaki ty się ostrożny zrobiłeś... Ale o jedną rzecz muszę cię już teraz zapytać. Jak nie możesz odpowiedzieć, to tylko kiwnij głową. O co z tą Chorwacją chodzi?
– Z jaką Chorwacją?
– No z tym apartamentem, co go teściowie twojego pasierba mieli niby kupić...
– Jakiego znowu pasierba? O Rabieju mówisz?
– Jakim Rabieju? Przecież jego już nie ma. Trzaskowski go w pole uwiódł, to znaczy, tfu, wywiódł.
– I ja właśnie w tej sprawie dzwonię, a ty mi o koniach i osłach opowiadasz. Krótko i na temat: co wy nam chcecie oddać, bo mnie ludzie na spotkaniach pytają, a ja już nie wiem, co odpowiadać. Wrocław żeście zaklepali, Szczecin też, zaraz się okaże, że nam tylko jakieś Pierdziszewo zostanie.
– Na jakich spotkaniach? Z kim ty się spotykasz, Staszek? Z kryminalistami?!
– Z jakimi kryminalistami? Że twarze niewyjściowe, to od razu przestępcy? Różni ludzie nas popierają.
– Ale kogo? Łapówkarzy?
– Jakich łapówkarzy?!
– Staszek, na litość Buzka, dobrze wiesz, że mnie możesz powierzyć każdą tajemnicę. Wiesz, że cię kocham...
– Ale ja mam męża!
– Nie o takie „wszystko" mi chodziło! Jak to męża? Już cię przerobili? No tego się nie spodziewałem. Cicha woda...
– Nikt mnie nie przerobił. Ja nie jestem Bęgowski, żeby mnie przerabiać. Ja mam męża od dawna, córkę nawet mamy...
– Adoptowaliście? Przecież u nas nie można...
– Normalnie urodziłam!
– Urodziłeś? Kiedy? Zaraz, a z kim ja rozmawiam?
– Przecież mówiłam, że Staszek z tej strony. To znaczy Kaśka, ale wszyscy na mnie teraz „Staszek" wołają, to się przyzwyczaiłam...
– Kaśka? Ale numer. A ja myślałem, że to Gawłowski z aresztu drynda... Po co dzwonisz?
– Już mówiłam, żeby ustalić, co w końcu idzie dla nas. Bo Warszawę już żeście sobie zaklepali i Wrocław, i Szczecin...
– Dobra, bo będziesz cały atlas cytować. Słuchaj, Stasiu, to znaczy Kasiu, odpowiem ci krótko: pojawił się pewien pomysł. My teraz szukamy nowego sekretarza generalnego, a u nas w partii taka szycha to ma możliwości w zasadzie nieograniczone. Zresztą widziałaś Staszka? Źle mu się powodziło? Zegarki, apartamenty, Dziubka na zawołanie... To co? Zgłosić cię na zarządzie? Pogonimy PiS, a potem na Maderę!

60/0318/F

eprasa.pl 15af488151



Ekogroszek w niższej cenie dla każdego!

Przy zakupie 3 palet darmowy serwis kotła i instalacji.
Kup na **tauron.pl/ekogroszek**

* Cena za paletę 800 kg, bez akcyzy i bez kosztów transportu. Cena za tonę: 745,00 zł.

tauron.pl/ekogroszek

eprasa.pl 15af488151

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Odzyskanie Ojczyzny



Jan Pietrzak

Udało mi się dostać na zatłoczone spotkanie z prof. Andrzejem Nowakiem w Klubie Ronina. Lubię słuchać profesora, bo pięknie mówi, ale przede wszystkim pięknie myśli. Jego najnowsza publikacja to „Niepodległa! Jak Polacy odzyskali Ojczyznę". Formalnie biorąc, jest to kalendarium lat 1864–1924, a czyta się je jak romantyczną opowieść rycerską, nucąc pod wąsem „drużynowy jest wśród nas, opowiada starodawne dzieje, bohaterski wskrzesza czas".

Tego bohaterskiego rysu naszej historii nie znoszą wrogowie Polski, zewnętrzni i ci żyjący pośród nas. Jak powiadał marszałek Piłsudski, zawsze kręcił się obok niego zapluty karzeł na krzywych nóżkach, wypluwający swą brudną duszę... Po wojnie komunistyczne karły użyły tej frazy przeciwko żołnierzom niezłomnym na rozlepianym wtedy plakacie, odwracając pojęcia. Zdrajcy, agenci często udawali wolnych Polaków. Tak się dzieje również dziś.

Zasadniczy podział społeczeństwa wyznacza podległość lub niepodległość od mód, ideologii, autorytetów, silnych sąsiadów... Narody tak bezwzględnie eksterminowane przez stulecia jak Polacy, germanizowane i rusyfikowane, muszą mieć szczególną odporność na narzucane poprawności polityczne i każde inne. Muszą czerpać siłę ze swojej historii, z wielkich dzieł swej kultury, z panteonu świętych – od św. Wojciecha do św. Jana Pawła II. Nie ma to nic wspólnego z ksenofobią. Jest potrzebą ocalenia duchowego dziedzictwa, kodu kulturowego wysokiej próby. I o tym jest księga pana Andrzeja. O pokoleniach ludzi marzących o odzyskaniu Ojczyzny.

À propos, wszystkim znany jest przejmujący polonez „Pożegnanie Ojczyzny" księcia Michała Kleofasa Ogińskiego. Mamy właściwy czas, by powstał polonez „Odzyskanie Ojczyzny". Pomysł wydaje się tak oczywisty, że zwracam się do kompozytorów jako prezes Towarzystwa Patriotycznego, niech państwo skomponują, przyślą... A ja poproszę prof. Nowaka i redaktorów Karnowskich, by pomogli wybrać najpiękniejszy utwór... oraz poszukam mecenasa godnego ustanowić wysoką nagrodę. Uwaga: to poważna oferta! Polonez zostanie wykonany na Koncercie Niepodległości.

Wiele rzeczy możemy sobie zaprogramować

Z Joanną Kurowską, aktorką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Wydaje się pani osobą bardzo konkretną, twardo stąpającą po ziemi, a dała się pani namówić na hipnozę?

Joanna Kurowska: To raczej na mnie testowano skutki sugestii, której poddani zostali inni. Byłam poniekąd narzędziem w ich rękach.

Pani wizerunek medialny nie wskazuje na to, żeby dała się pani do czegokolwiek „użyć".

Sprecyzowałabym słowo „użyć". Na pewno nie zgodziłabym się na nadużycie, czyli na coś, na co nie wyraziłabym zgody, ale ten paranaukowy eksperyment zaaprobowałam. I było to bardzo ciekawe. A ja lubię wyzwania i poznawanie nowych rzeczy.

Coś panią zaskoczyło, czegoś użytecznego się pani dowiedziała?

Wyniosłam z programu „Hipnoza" świadomość, że mózg jest potężnym, wciąż nie do końca zbadanym organem, dzięki któremu możemy sobie w życiu wiele rzeczy zaprogramować. I nad wieloma możemy mieć władzę, posługując się wiedzą, która jest dostępna. Prosty przykład: jeżeli będziemy sobie wyobrażać, że jemy cytrynę, zaktywizują się gruczoły ślinowe. A skoro to działa na poziomie dość prostej fizyczności, to co może się stać, gdy sugestia będzie dotyczyć czegoś większego i poważniejszego? Jeśli na przykład nastawimy się na „nie".

Ale może to też działać w drugą stronę.

I ta strona bardziej mnie interesuje: możemy się zasugerować, że wszystko będzie dobrze. Znam nawet takich ludzi, którzy wszelkie niepowodzenia tłumaczą sobie jako element potrzebny do osiągnięcia sukcesu. I to się sprawdza. Warto więc z tego korzystać.



Fot. fot.Jankowski/REPORTER

eprasa.pl 15af488151

BRONISŁAW WILDSTEIN

Cenzurki demokracji

O pogarszającym się stanie polskiej demokracji nie mówią na świecie już tylko politycy i komentatorzy. Właśnie pojawiły się twarde dane stanowiące dowód na to, iż od chwili przejęcia władzy przez Prawo i Sprawiedliwość kraj nad Wisłą zaczął odwracać się od podstawowych demokratycznych standardów [...] dane o postępach w odwrocie od demokracji są po prostu zatrważające" – czytamy w naTemat.pl, jednym z portali, których celem jest, aby znowu było, jak było. Wtórują mu wszystkie media III RP.

Czym są „twarde dane"? To punkty, które przyznaje hojnie sponsorowany m.in. przez George'a Sorosa Freedom House. Najmniej demokratyczne państwa mają ich 7, a ideałem jest mieć 1. Polska obsuwa się na tej skali i za rok ubiegły uzyskała 2,89. Była epoka, gdy otrzymaliśmy 1,75 i zbliżaliśmy się do ideału. Ów pik demokracji udało się nam zdobyć w 2003 r. za czasów premiera Leszka Millera. Rok wcześniej wybuchła afera Rywina, czyli próba ostatecznego przejęcia mediów elektronicznych przez zgromadzone wokół niego postkomunistyczne towarzystwo. Ultimatum Rywina, które ten skierował do Michnika, aby rolę koalicjanta zmienił na wasala i przy okazji opłacił się „grupie trzymającej władzę", ujawnione zostało w „Wyborczej" pół roku po jego złożeniu. Przez ten czas żadne z mediów nie odważyło się o sprawie zająknąć. Wyjątkiem była rubryka „Z życia koalicji, z życia opozycji" Roberta Mazurka i Igora Zalewskiego, która ukazywała się wówczas we „Wprost", ale wzmianka została absolutnie przemilczana. Wprawdzie heroina dziennikarstwa III RP Janina Paradowska w wywiadzie dla „Polityki" zadała na ten temat pytanie Millerowi, ale – po interwencji Michnika – wycofała je. Jak tłumaczyła potem, sprawa była „własnością »Wyborczej«". Taka wolność mediów dla Freedom House okazuje się ideałem.

Był to okres, gdy postkomunistyczny układ wziął się za niepodległych sobie biznesmenów. Aresztowany został pionier polskiej przedsiębiorczości i informatyki Roman Kluska, a jego firma wyeliminowana z rynku. Uwięziono cały zarząd świetnie prosperującej Stoczni Szczecińskiej, która została rozebrana, a na jej resztkach tuczyli się baronowie SLD. Podobne wydarzenia na mniejszą skalę można mnożyć. Wskaźniki korupcji w naszym kraju były wówczas najwyższe. Nieco później, w momencie załamywania się władzy SLD, okazało się, że z gangsterami współpracował m.in. wiceminister spraw wewnętrznych Zbigniew Sobotka. Został on za to skazany na bezwarunkowe więzienie, skąd wyciągnął go urzędujący wówczas prezydent z tej samej partii Aleksander Kwaśniewski. To tylko przykłady, które można kontynuować, aby pokazać, jakie standardy za najbardziej demokratyczne uznaje Freedom House.

Teraz instytucja ta bije na alarm. Jej raport „Narody w czasie przemian", który ma opisywać załamywanie się demokracji w pokomunistycznych krajach, nosi podtytuł „Fałszywa obietnica populizmu", a więc zanim przeczytamy opis, wiemy, jak oceniać mamy reformy przeprowadzane w Polsce czy na Węgrzech.

To także tytuł wstępu autorstwa dyrektora Nate'a Schenkkana, który populizmem nazywa wszystko to, co narusza status quo w Stanach Zjednoczonych czy Europie. Demokracja i liberalizm to dla niego synonimy. Populistami są: Trump, Kaczyński, Orbán, zwolennicy Brexitu, przeciwnicy muzułmańskiej imigracji, krytycy obecnych elit itd. „Pozostało bardzo mało czasu na to, by Unia Europejska i Stany Zjednoczone sprzeciwiły się tej antydemokratycznej fali" – pisze Schenkkan i wzywa, aby UE uzależniła dostęp do funduszy strukturalnych od spełnienia „jednoznacznego kryterium rządów prawa". Domyślamy się, że chodzi o to, aby w Polsce wróciły porządki Millera.

Rozdział, który zajmuje się podważaniem demokracji przez PiS, został napisany przez dr Annę Wójcik, jak czytamy – „prawniczkę i socjolożkę, asystentkę w Centrum Praw Człowieka Instytutu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk".

Wójcik jest absolwentką sorosowego uniwersytetu w Budapeszcie, aktywną uczestniczką licznych prac think tanków tego sponsora, aktywistką feministyczną i antyrządową w Polsce.

Instytucje takie jak Freedom House czy Amnesty International odgrywały kiedyś pozytywną rolę na globalnej scenie politycznej. Warto popełnić monografię poświęconą temu, jak zawojowane zostały przez osobników pokroju Schenkkana oraz Wójcik i stały się bastionem ideologii, która uzasadnia władzę nowej liberalnej oligarchii.



Fot. Andrzej Wiktor

USA

Czy ktoś wie, jaka jest nasza polityka?

Dwa tygodnie temu senator Lindsey Graham zapytał zeznającego w Kongresie generała Josepha Votela, dowodzącego całością amerykańskich sił na Bliskim Wschodzie: „Czy naszą polityką, polityką administracji Trumpa, jest nadal zmierzanie do usunięcia Baszara Asada, co oficjalnie ogłosiła administracja Obamy?".

Generał Votel odpowiedział na to krótko, po żołniersku: „Nie wiem". Co senator skomentował tak: „Well, jeśli pan, generale, tego nie wie – a przecież to pan odpowiada za realizację naszej polityki w tamtym rejonie – to znaczy, że nikt tego nie wie".

To pytanie w kontekście już szerszym – całej amerykańskiej polityki zagranicznej – zadaje sobie coraz więcej obserwatorów. A jest to pytanie o Donalda Trumpa. „W kluczowych momentach, w punktach zwrotnych, gdy wektory wydają się mniej lub bardziej równoważyć, przypadek i osobowość podejmujących decyzje potrafią, wprawdzie rzadko, ale naprawdę, określić bieg historii" – napisał niegdyś Isaiah Berlin. Jeśli tak, to jakie piętno osobowość obecnego prezydenta może odcisnąć na amerykańskiej polityce zagranicznej?

Takie pytanie postawiło sobie dwoje czołowych amerykańskich ekspertów: Blake Hounshell i Susan Glasser. Bo ich zdaniem żyjemy właśnie w takim kluczowym momencie. I czynią kilka ciekawych obserwacji.

Po pierwsze, nikt nie wie, jakie mogą być długoterminowe konsekwencje porzucenia przez Amerykę jej tradycyjnego wyobrażenia o sobie nie jako o zwykłym kraju, tylko państwie aktywnie rozprzestrzeniającym zachodnią ideę demokracji i praw człowieka. Ale choć Trump ewidentnie ją porzuca, to tak naprawdę nie on rozpoczął proces odchodzenia od tej polityki. Uczynił to Obama, decydując, że nie będzie interwencji w Syrii, a co więcej – ta postawa spotkała się wtedy z sympatią Kongresu. W efekcie już wówczas rozpoczął się proces, skutkujący utratą przez USA globalnego przywództwa.

Po drugie, Stany nigdy nie przeżywały nie tyle aż takiego huraganu zmian personalnych w sferze polityki zagranicznej, ile huraganu zmian niekończących się. Bo prezydent zwalnia dygnitarzy powołanych już przez siebie, nominuje na ich miejsce nowych, których – zdarza się – też już zdążył zwolnić, zamieniając na jeszcze nowszych. Trudno znaleźć w tych nominacjach logikę ideologiczną, bo zdarza się, że zwalniani są ludzie bliżsi Trumpowi, a nowo nominowani podzielają jego intuicję w mniejszym stopniu. Ale zdaje się, że działa tu logika inna – logika przekonania Trumpa, że dany urzędnik jest bądź nie jest totalnie oddany mu osobiście.

I wreszcie kolejna cecha Trumpa. Jego osobowość została ukształtowana przez handel nieruchomościami na ogromną skalę. Co to oznacza? Dwie rzeczy. W tym fachu trzeba być brutalnym, ale zarazem mieć umiejętność niepalenia za sobą mostów. Bo przecież, kto wie, czy następnego dealu nie będziesz musiał robić z tymi, którzy przy obecnej transakcji są twoimi przeciwnikami?

Co z tego wynika? Wynika, że ostatecznie w sferze polityki zagranicznej Trump raczej nie zrobi nic strasznego. Z naciskiem na „raczej". Jak na zagorzałych demokratów, którymi są Hounshell i Glasser, konkluzja naprawdę daleko idąca.

Piotr Skwieciński

Wielka Brytania

Lewicowa paranoja

Za atak chemiczny na Siergieja Skripala brytyjski rząd wini Rosjan. Lider laburzystów Jeremy Corbyn nie daje jednak wiary zapewnieniom premier Theresy May oraz ekspertów. Znany z pacyfistycznych poglądów polityk, przeciwnik NATO, domaga się „niepodważalnych dowodów" na winę Kremla, idąc w ślad prezydenta Czech Miloša Zemana. Tyle że Corbyn to polityk lewicy. Skrajnej lewicy antyglobalistycznej.

Konserwatywne media nad Tamizą naśmiewają się z „dziwnej paranoi", która miała go dopaść. Sympatie Corbyna do Moskwy wynikają z głęboko zakorzenionej niechęci do Zachodu. W młodości protestował przeciwko wojnie w Wietnamie i jeździł z narzeczoną na wycieczki do NRD. Dla niego Zachód na czele z USA i Izraelem to symbole imperializmu, militaryzmu i wyzysku mas pracujących miast i wsi. Związek Sowiecki może i upadł, ale w umyśle Corbyna wszystko pozostało po staremu. A więc lider laburzystów nie tylko publicznie podważył wyniki brytyjskiego śledztwa ws. próby otrucia Skripala, lecz także – w imię pacyfizmu – zasadność ataku USA, Wielkiej Brytanii i Francji na Syrię, co sprawiło, że stał się ulubieńcem rosyjskich tub propagandowych. Podczas burzliwego posiedzenia Izby Gmin posłowie torysów nazwali go „kukłą Putina".



Jeremy Corbyn

Jego postawa wywołała oburzenie także w umiarkowanym skrzydle jego własnej partii. Minister obrony w gabinecie cieni Nia Griffith podkreśliła, że próba otrucia Skripala to „otwarty akt agresji ze strony Rosji i nie ma sensu tego negować".

Pozostaje mieć nadzieję, że polityk, który regularnie oprotestowuje interwencje USA na Bliskim Wschodzie (a ignoruje działania Rosji i reżimu Asada) i chce pozbawić własny kraj broni nuklearnej, nie zostanie następnym lokatorem Downing Street. A może tak się stać. Według sondaży Partia Pracy ma obecnie takie same poparcie jak torysi.

Aleksandra Rybińska

Fot. 1000 Words/Shutterstock.com

eprasa.pl 15af488151

Syria

Chrześcijanie za Asadem

Podzielony bliskowschodni świat chrześcijański przemówił jednym głosem. Jego reakcję wywołały wymierzone w bazy armii syryjskiej bombardowania przeprowadzone przez USA, Wielką Brytanię i Francję. W odpowiedzi wspólne oświadczenie napisali trzej przywódcy religijni – prawosławni patriarchowie Antiochii i całego Wschodu: grecki Jan X i syryjski Ignacy Efrem II, a także melchicko-katolicki patriarcha Antiochii, Aleksandrii i Jerozolimy – Joseph Absi. Potępili nalot, nazywając go brutalną agresją na suwerenny kraj, który nigdy nie wyrządził żadnej szkody atakującym.

Powód ataku, czyli oskarżenie prezydenta Asada o użycie broni chemicznej, hierarchowie uznali za pretekst. Ich zdaniem nie ma na to dowodów, a bombardowanie doprowadzi jedynie do eskalacji konfliktu i wzmocni islamskich terrorystów. Napisali: „Oddajemy cześć odwadze, bohaterstwu i poświęceniu Syryjskiej Armii Arabskiej, która odważnie chroni Syrię i zapewnia bezpieczeństwo swojemu narodowi. Jesteśmy pewni, że armia nie ugnie się przed zewnętrzną lub wewnętrzną agresją terrorystyczną; będzie walczyć odważnie przeciwko terroryzmowi, dopóki każdy centymetr syryjskiej ziemi nie zostanie oczyszczony z terroryzmu. Pochwalamy też odważne stanowisko krajów przyjaznych Syrii i jej mieszkańcom".

W podobnym duchu wypowiedział się chaldejski katolicki biskup Antoine Audo, który także uważa, że oskarżenie Asada o użycie gazów było jedynie pretekstem do ataku – podobnie jak fałszywy okazał się zarzut o posiadanie broni masowej zagłady przez Saddama Husajna, co wywołało wojnę w Iraku i zniszczyło ten kraj.

Chrześcijanie w Syrii modlą się dziś o zwycięstwo Asada, a Rosję Putina uważają za sojusznika. Mówią, że alternatywą dla dyktatora z Damaszku, który zapewnia im bezpieczeństwo, nie będą wcale syryjscy demokraci, lecz islamscy fundamentaliści. Wiedzą, że dla nich obalenie obecnego reżimu oznaczać będzie emigrację lub śmierć, a więc koniec Kościoła w miejscu, gdzie 2 tys. lat temu po raz pierwszy pojawiła się nazwa „chrześcijanie".

Grzegorz Górny

Rosja

Zakażą wszystkiego?

Ekipa na Kremlu nie czuje się pewnie. Władimira Putina ciągle musi prześladować koszmar rewolty, która – jeśli nie będzie działał profilaktycznie – pewnego dnia zmiecie go z prezydenckiego fotela. Putin obawia się takiego scenariusza od czasu arabskiej wiosny i ukraińskiego Majdanu. Jego niepokój musiał wzrosnąć rok temu, gdy przez rosyjskie miasta przetoczyły się protesty młodzieży, i teraz, gdy po niedawnym pożarze centrum handlowego w Kemerowie rozgoryczenie Rosjan znów wylało się na ulice.

Tym, co łączy arabską wiosnę z Majdanem, a także z różnymi – na razie nie największymi, ale powtarzającymi się – antyrządowymi demonstracjami w Rosji, jest internet. To dzięki niemu ludzie skrzykują się na ulicach. Putin od dawna uważa popularne serwisy społecznościowe (takie jak Facebook czy Twitter) za narzędzie amerykańskich służb. Nic zatem dziwnego, że w Rosji stworzono ich lokalne odpowiedniki, np. Yandex (zamiast Google) czy Vkontakte (zamiast Facebooka).

Problem pojawił się w 2014 r., gdy twórca Vkontakte, 30-letni wówczas Paweł Durow, nie zgodził się, aby FSB i inne służby kontrolowały jego serwis. Chodziło wówczas o dostęp do danych o liderach ukraińskiego Majdanu. Durow odmówił, więc został zmuszony do sprzedaży serwisu. Wkrótce potem wyemigrował z Rosji, ale działał dalej. Za granicą wymyślił i uruchomił komunikator internetowy pod nazwą Telegram, który szybko zyskał ponad 100 mln użytkowników. Jego zaletą było skuteczne szyfrowanie przesyłanych treści – gwarancja, że nikt niepowołany nie dowie się, o czym rozmawiają użytkownicy. Nic dziwnego, że Telegram stał się celem dziwnych ataków. W USA rozpuszczono informację, że korzystają z niego przestępcy rozsyłający dziecięcą pornografię. Doprowadziło to do krótkotrwałego wycofania komunikatora z oferty Apple. Walkę z Telegramem toczyły też władze w Teheranie, które po styczniowych rozruchach w Iranie zablokowały dostęp do aplikacji.

Podobne kroki podjęły władze Rosji, gdzie Telegram ma ok. 15 mln aktywnych użytkowników. W 2017 r. FSB zażądała od Durowa przekazania klucza do rozszyfrowania wiadomości, twierdząc, że komunikatorem posługują się terroryści. Gdy Durow odmówił, powołując się na zagwarantowane w konstytucji prawo do tajemnicy korespondencji, Roskomnadzor (regulator telekomunikacji) zażądał zablokowania Telegramu. 13 kwietnia moskiewski sąd po 18 minutach rozprawy wydał decyzję o blokadzie komunikatora na całym terytorium Rosji.

Po decyzji sądu Durow zauważył ironicznie, że kolejnym krokiem władz na Kremlu powinno być zakazanie słów, bo to za ich pomocą porozumiewają się terroryści. Nieoczekiwanie w sukurs przyszła mu rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa, która stwierdziła, że skuteczniejsze byłoby pójście w ślady Arabii Saudyjskiej i zablokowanie wszystkich serwisów społecznościowych. Drwina? A może raczej przepowiednia?

Konrad Kołodziejski



Fot. Marko Rupena/Shutterstock.com

eprasa.pl 15af488151

OGNIEM NA WPROST

Orły Temidy

Stało się tak, jak napisałem tydzień temu. Z fregaty typu FREMM o nazwie Languedoc Francuzi wystrzelili w noc ataku na Syrię trzy pociski samosterujące MdCN/NCM (Missile de Croisière Naval – odpowiednik amerykańskiego Tomahawka) spośród 105 wszystkich odpalonych w nalocie. Siedem tego samego typu Francuzi wypuścili z samolotów. Salwa z pionowej wyrzutni Languedoca trwała ok. 16 sekund (co 5 sekund sztuka). Piszę o tym dlatego, że nasze MON bardzo poważnie traktowało rozmowy o zakupie tej broni, w którą ma być uzbrojony planowany przez nas nabytek – okręty podwodne Scorpène. Według informacji potwierdzonych już przez francuski resort obrony wszystkie trzy rakiety MdCN trafiły w wyznaczone cele. Miały one uderzyć precyzyjnie, w taki sposób, by nie spowodować strat wśród ludności cywilnej, co się zresztą udało. Francja stała się tym samym pierwszym europejskim członkiem NATO, który użył bojowo rakiet manewrujących odpalonych z okrętu nawodnego. Przed nią była Wielka Brytania, która wystrzeliwała swoje tomahawki z własnych u-bootów. Z tego można wyciągnąć dwa wnioski. Pierwszy jest taki, że sprzęt prezentowany przez Francuzów wydaje się dobrej jakości. Drugi wniosek jest polityczno-wizerunkowy. Putin, który przed atakiem odgrażał się, że syryjsko-rosyjska obrona zestrzeli wszystkie nadlatujące rakiety, zrobił nie po raz pierwszy zresztą przed całym światem ze swojej gęby cholewę, nie strącając z nieba żadnego francuskiego pocisku samosterującego.

Lider deathmetalowej grupy Behemoth Adam Darski, ksywa Nergal, rozpowszechniał grafikę w internecie, którą prokuratura uznała za publiczne znieważenie godła polskiego. Na plakacie widać Białego Orła bez korony. Zamiast niej z głowy królewskiego ptaka wyrastają diabelskie rogi. Do tego cały upstrzony jest trupimi główkami, wokół niego wiją się węże, a na piersi widnieje odwrócony krzyż – znak satanistów. Jednym słowem: całą swoją chorobę Nergal przeniósł na nasz narodowy symbol i podpisał „Rzeczpospolita Niewierna". Ślepy zauważyłby, że to kpina z wiary i polskiego godła. Ślepy tak, ale nie sędzia, który orzekał w tej sprawie. Jego zdaniem prokurator „nie przedstawił wystarczających dowodów na to, że działanie oskarżonych było działaniem ukierunkowanym na zdeprecjonowanie symbolu państwowego". Nie, w ogóle. „Rysunek orła stworzony przez jednego z oskarżonych nie może być uznany za zawierający w swojej treści godło RP, albowiem brak mu istotnego niezbędnego elementu, jakim jest korona" – dodawał przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości, pogrążając się jeszcze bardziej. Zdaniem Temidy „znieważeniem będzie przykładowo oblanie, oplucie, podeptanie, podpalenie i inne podobne czynności". Na koniec proste pytanie. W sądzie jakiego miasta orzekał sędzia Marek Kapała? Odpowiedź nie jest trudna i nasuwa się sama: w Gdańsku. To kolejne exemplum tamtejszego postrzegania sprawiedliwości, które woła o pomstę do nieba. Kiedy wreszcie ruszy wydział dyscyplinarny przy Sądzie Najwyższym?!

Podczas wizyty w największej bazie marynarki wojennej w Europie – francuskim Tulonie – miałem okazję oglądać najnowocześniejszą technologię produkowanych właśnie nuklearnych okrętów podwodnych ostatniej generacji typu Barracuda. Przewodnikiem był komandor w stanie spoczynku o imieniu Stephan. Stary wilk morski, gdy tylko znalazł się w swoim macierzystym porcie, odżył. Zaświeciły mu się oczy i z pasją młodzieńca opowiadał, jak wygląda służba na atomowym potworze. Nie omieszkał poruszyć tematu Kriegsmarine, czyli działań na różnych akwenach niemieckiej marynarki wojennej, a konkretnie sił podwodnych. Stephan widział wiele na morzach i oceanach. Brał udział w licznych manewrach i działaniach zbrojnych także jako dowódca nuklearnego cacka. Nie widział tylko jednego – Niemców w akcji. Przez 17 lat w ramach NATO pływał nawet z Turkami, ale podwodniaków z Kriegsmarine nie doświadczył. Przepraszam, raz przez trzy godziny miał wyjątkową okazję obserwowania u-boota z Kilonii w pozorowanej akcji na ćwiczeniach w akwenie Morza Północnego. Prawda jest brutalna. Nasi sąsiedzi zza Odry dalej niż za Bałtyk nie wyskakują, ale i tu nie są zbyt aktywni. Obecnie wszystkie niemieckie łodzie podwodne są popsute. Admirał Dönitz, ostatni dowódca wojenny Kriegsmarine, grozi z zaświatów pięścią, ale i tak nikt go nie dostrzega.

Andrzej Rafał Potocki



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 15af4881



Marta Kaczyńska

Wolność od hałasu

Jednym z podstawowych praw człowieka jest prawo do życia w środowisku wolnym od uciążliwości związanych z hałasem. Do zagwarantowania tego prawa są zobowiązane wszystkie państwa, które ratyfikowały postanowienia Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności. W Polsce zasady postępowania w celu zapewnienia sfery wolności, tj. życia w godnych warunkach, w szczególności regulują przepisy ustawy o ochronie środowiska oraz rozporządzenia ministra środowiska w sprawie dopuszczalnych poziomów hałasu w środowisku określające, jaki poziom hałasu na terenach zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej i zamieszkania zbiorowego jest dopuszczalny. Ustawa przewiduje możliwość wydawania zarówno indywidualnych decyzji administracyjnych, np. o dopuszczalnym poziomie hałasu, jak i tworzenia aktów prawa miejscowego, np. planów zagospodarowania przestrzennego zawierających wytyczne dotyczące dopuszczalnego natężenia hałasu. Ponadto przepisy ustawy zawierają zasady odpowiedzialności podmiotów oddziałujących na środowisko, a więc w szczególności na zdrowie ludzi oraz sankcje w postaci nakazu ograniczenia takich działań wydawanych przez organy administracji.

W dotychczasowej praktyce nierzadko organy administracji nie korzystały z przysługujących im uprawnień wobec przypadków nadmiernego hałasowania. Osobom cierpiącym z powodu zbyt głośnego zachowania sąsiadów pozostawały zaś do wykorzystania takie instrumenty prawne jak regulaminy wspólnot mieszkaniowych, przepisy Kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia dotyczące zakłócania ciszy nocnej, a także przepisy Kodeksu cywilnego. W praktyce uzyskanie odpowiednich orzeczeń na podstawie o wymienionych przepisów jest długotrwałym procesem. Przełomem w tej sferze może się okazać orzeczenie NSA w sprawie dotyczącej małżeństwa zamieszkującego w sąsiedztwie ośrodka wypoczynkowego, z którego często dobiegały uciążliwe dźwięki, wywołując u sąsiadów dolegliwości natury psychicznej. Poszkodowani udowodnili swoje schorzenia i wygrali sprawę o zadośćuczynienie za krzywdę wywołaną działalnością ośrodka, jednak nie zapobiegło to dalszym naruszeniom ich prawa do spokojnego zamieszkiwania. W związku z powyższym rzecznik praw obywatelskich zwrócił się w tej sprawie do właściwego starosty o wydanie decyzji o zakazie organizowania nocnych imprez. Sprawą zajął się uprzednio NSA, który orzekł, że pod pojęciem negatywnego oddziaływania na zdrowie ludzi należy rozumieć nie tylko uszczerbek na zdrowiu fizycznym, lecz także psychicznym, który może być spowodowany nadmiernym hałasem. Wspomniany wyrok ma szansę stać się podstawą do wydawania decyzji ograniczających możliwość nadmiernego hałasowania, które mogą się okazać skuteczniejszym sposobem ochrony prawa do zamieszkiwania w przestrzeni wolnej od niechcianych dźwięków.

REKLAMA



2/0418/F

eprasa.pl 15af488151

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Granice postępu



W Kraju Kwitnącej Wiśni produkuje się seksroboty, które kształtem przypominają dzieci, choć producent woli mówić o robotach „w wieku ludzkim". „Brytyjska telewizja BBC Three nakręciła film dokumentalny rzucający światło na kulisy branży zajmującej się produkcją seksrobotów. Reporter dotarł do japońskiej fabryki, gdzie oprócz robotów w standardowych rozmiarach, produkuje się takie, które kształtem i wielkością do złudzenia przypominają dzieci" – czytamy na pch24.pl. Reporter BBC tłumaczył, że według producenta to kwestia kulturowa. Czy tzw. postęp ma gdzieś swoje granice?

6,8 proc.

tyle wyniósł wzrost gospodarczy w pierwszych trzech miesiącach tego roku. Niestety chodzi o Chiny, nie o Polskę.

ok. 20 tys.

tylu podatników CIT będzie mogło skorzystać na obniżeniu stawek tego podatku zapowiedzianych przez premiera Morawieckiego – szacują eksperci podatkowi.

80 tys.

tyle złożono wniosków o dofinansowanie z budżetu UE na lata 2014–2020 przeznaczonego na politykę spójności w Polsce.

Zero tolerancji

Występujący pod pseudonimem Rafalala transseksualista zaatakował i zwymyślał nastolatkę, a film opublikował w sieci. Dziewczynka, którą prawdopodobnie rozśmieszył wygląd mężczyzny, została przez niego oblana jakimś płynem, nastraszona, a przy tej okazji słowo na „k" padło kilkanaście razy. I jak po czymś takim dyskutować z przedstawicielami LGBT o tolerancji? Dla takich zachowań powinno obowiązywać hasło „zero tolerancji".



Myszy ćpunki

Z policyjnego magazynu w Argentynie zginęło ponad pół tony marihuany. Z tego powodu ośmiu funkcjonariuszy stanęło przed sądem. O tajemnicze zniknięcie narkotyku policjanci oskarżyli... myszy. Jednak eksperci z uniwersytetu w Buenos Aires uznali, że to niemożliwe, by gryzonie pomyliły trawkę z jedzeniem, a nawet gdyby tak się stało, nie dałyby rady zeżreć aż pół tony narkotyku, a następnie jak gdyby nigdy nic wyjść z magazynu o własnych siłach. Ale w końcu co kraj, to obyczaj. U nas mówi się: rozrabia jak pijany zając, a w Argentynie mogą mówić: szaleje jak naćpana mysz.



eprasa.pl 15af488151

Groźby

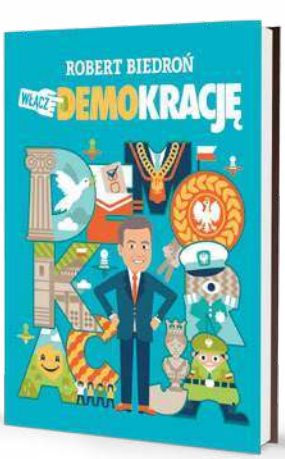
Pracujący w lokalnej administracji w Apulii włoski archeolog, który ujawnił przypadki korupcji, dostał list z pogróżkami. List nie byle jaki, bo napisany bezbłędną starożytną greką. O sprawie informowały m.in. TVP Info czy Gosc.pl. Nadawca listu przepisał fragment tragedii „Agamemnon" Ajschylosa, w którym wymieniona jest postać Parysa, a włoską wersję tego imienia – Paride – nosi syn archeloga, przez którego wpadło aż 11 osób zamieszanych w korupcyjny proceder. Austacio Busto, bo tak nazywa się mężczyzna, na razie się nie wystraszył i niczego nie żałuje. Oby przestępcy nie zmienili mu życia w grecką tragedię.



Naprawdę bardzo grzecznie proszę prokuraturę o to, żeby mnie wezwała, żeby mnie przesłuchała, jeżeli jest nacisk polityczny, to niech mi stawia zarzuty i niech skieruje sprawę do sądu. Będzie wielka katastrofa prokuratury – mówił dwa miesiące temu Stanisław Gawłowski, sekretarz generalny PO. Ciekawe, czy dziś żałuje swoich słów.

Do poduszki

Robert Biedroń napisał właśnie książkę dla dzieci. „»Włącz DEMOkrację« będzie miała swoją premierę w najbliższych dniach. Biedroń opowiada w niej, czym jest demokracja i jak powinna działać" – informuje naTemat.pl. Jest szansa, że książka będzie mieć działanie podobne do kołysanki. Może skutecznie usypiać.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (×3), YouTube.com, mat. prasowe

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Siła głosu podatnika



Dominik Zdort

Żadnego „głosowania rodzinnego" oczywiście nie będzie. Pomysł wicepremiera Jarosław Gowina, aby rodzic mógł głosować za niepełnoletnie dzieci, jest nazbyt ekstrawagancki, szczególnie jak na standardy Unii Europejskiej. Eurokraci nie po to godzą się na dopuszczenie do głosowania coraz młodszych nastolatków, żeby wzmacniać pozycję rodziców. W końcu chodzi nie o wzmacnianie tradycyjnej rodziny, ale o jej jak najszybsze rozmontowanie.

Zresztą, ile byłoby z takim „rodzinnym głosowaniem" we współczesnych czasach praktycznych problemów. Skoro mamy równouprawnienie płci, to które z rodziców powinno decydować, jeśli mają rozbieżne poglądy polityczne? Kto ma głosować za dzieci rodziców rozwiedzionych? Jak rozdać głosy w rodzinach patchworkowych? Co z dziećmi adoptowanymi? Czy zasada „głosowania rodzinnego" powinna być też rozciągnięta na związki gejowskie, które wychowują dzieci? Kto powinien głosować za sieroty?

Można powiedzieć, że skoro udało się rozwiązać problem, kto ma otrzymywać 500 zł na dziecko, to i z głosowaniem pewnie się uda. Pewnie tak – nie z takimi kłopotami dobra zmiana już sobie poradziła.

Ja bym jednak doradził, aby oprócz liczby dzieci przy ustalania siły głosu wziąć pod uwagę również inne kwestie. Mógłby na nią wpływać także wpłacony do kasy państwa podatek. Po podsumowaniu rocznych wpłat podatku dochodowego z minionej kadencji obywatel otrzymywałby (zależnie od wysokości zapłaconej sumy) odpowiednią siłę głosu w kolejnych wyborach.

Tych, którzy obawiają się, że w ten sposób przemożny wpływ na losy państwa zdobyłoby kilka oligarchicznych rodzin, od razu mogę uspokoić – akurat ci ludzie nie płacą podatku dochodowego lub płacą go w stopniu minimalnym. Podatkowi oszuści, krętacze i spryciarze sami ograniczaliby swój wpływ na sprawy publiczne – z korzyścią dla tych spraw, jak sądzę. Na wynik wyborów silniej wpływać mogłaby natomiast grupa, którą umownie można nazwać niższą klasą średnią – pracowitych, wydajnych i uczciwych podatników, czujących jakąś odpowiedzialność za sprawy publiczne.

Połączenie siły tych dwóch grup – wielodzietnych rodziców i solidnych płatników podatków – pozwalałoby zmniejszyć wpływy różnego rodzaju społecznych trutniów.

Problem w tym, że to wszystko mrzonki – dziś trutnie mają przewagę i na ograniczenie swojej dominacji się nie zgodzą.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 15af488151

RZECZY POSPOLITE

Miasto dwóch powstań



Tomasz ***Łysiak***

Na jednym ze zdjęć, które znaleźć można w opublikowanym przez IPN Raporcie Stroopa, widać parę leżącą pośród gruzu i pyłu na ulicy getta. Dalej leżą też inni ludzie – nie wiadomo, żywi czy martwi. Wokół kręcą się niemieccy żołnierze, przyglądając się swym ofiarom. Para Żydów wygląda tak, jakby szykowała się do snu w swoim łóżku. On ją przytula, ona opiera się o jego ramię i wydaje się, jakby – choć zdjęcie nie jest dość wyraźne, by być pewnym – uśmiechała się do niego. Na przekór wszystkiemu – na złość płomieniom, śmierci, wrzaskom, Niemcom strzelającym do ludzi, rozkazom wydawanym rodzinom pędzonym do transportów, odgłosom gąsienic czołgowych, okrutnemu śmiechowi wydobywającemu się z niemieckich gardeł – ta młoda para na moment, na chwilę, na parę sekund, ucieka w normalność i szczęście. Jakby chcieli je odnaleźć w dymie i pożodze, przytulić się beztrosko przed snem, zasnąć tak zwyczajnie w zwykły wieczór, bezpiecznie w swoim domu.

To jedno ze zdjęć, które najbardziej mnie porusza. Obok tych bardziej znanych, na których widać przerażone dzieci, które matki prowadzą pod lufami niemieckimi ku śmierci. Ten chłopiec z uniesionymi rękami, który stał się już symbolem, ta przerażona dziewczynka z lewej strony na tej samej fotografii. Serce pęka. Los dzieci, kobiet, rodzin skontrastowany z dobrym humorem niemieckich oprawców – zdjęcia z raportu pod tytułem „Getto w Warszawie nie istnieje" mówią najmocniej. Oto jakaś inna dziewczynka niesie coś w dłoni. Zabawkę? Może tak? Może to mama, która idzie obok kazała jej ściskać zabawkę i nie martwić się niczym innym? Kto wie? Dalej widać Niemca, który chyba się im przygląda. Czy odezwało się w nim sumienie? Nie wiem. Wiem, że Jürgena Stroopa, głównego kata warszawskiego getta, nie poruszyło nic. Do końca wierzył, że jego działanie – wymordowanie dziesiątków tysięcy polskich obywateli żydowskiego pochodzenia – było słuszne.

Musimy o zbrodni niemieckiej w warszawskim getcie głośno krzyczeć całemu światu. Przypominać o tym, co zrobili Niemcy w naszej stolicy. Przypominać, że Warszawa to miasto dwóch powstań!

Kij do zadu



Piotr ***Cywiński***

Pewien kierowca chciał zaparkować auto pod biurem PO. Zanim wysiadł, podszedł do niego policjant i ostrzegł: – Proszę tu nie parkować, może to pana słono kosztować... Na to właściciel samochodu: – Ja się nie boję, mam blokadę i alarm...". Kawał może głupawy, ale dowcipy nie rodzą się bez podstaw. Platforma z nazwy Obywatelska stanęła „murem za Staszkiem", swoim sekretarzem generalnym. Żeby tylko za nim, zawsze staje, w myśl zasady: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Bo wiadomo, wszelkie posądzenia, że któryś ichni coś tam, to podłe oszczerstwa i napaści polityczne. Trawestując znanego we wszechświecie noblistę, twórcę jaizmu stosowanego, pseudonim Bolek, „jak w ogóle można śmieć atakować PO?! Atakowanie PO, myślenie źle o niej jest zbrodnią...!".

A tu masz, żadnego szacunku, ni krzty respektu dla Staszka, dla Sławka z klubu i innych Sławków, dla ośmioletniego dorobku byłego rządu i w ogóle członków ze świecznika PO. Doktor Ewa dawno już ostrzegała z mównicy, że jak przyjdzie PiS, to będzie źle. Ale że aż tak źle, nawet ona nie myślała, co powiedziała. Nie pojmuje ani była pani premier, ani kandydat na premiera z cienia, ani jego cały zaciemniony gabinet, czemu ludzie tak reagują, że gdy oni mówią, że jest gorzej, to ludzie sądzą, że tym lepiej.

Przyznam, że głupio mi podsuwać wiecznie żywym na platformie, że daleko nie zajadą z okołostaszkowymi hasłami „zlikwidujemy CBA", „pogonimy PiS" i zaklęciami, jak Sławka, szefa ich klubu, na użytek „Super Expressu", że w 2020 r. „z Tuskiem jako prezydentem, Schetyną jako premierem i większością parlamentarną" zaczną „odbudowywać pozycję Polski" na taką, jaka była przed 2015 r., że może najpierw jakieś samooczyszczenie ze Staszków przed i za murem, i może jakiś program? „Gadu-gadu, kij do zadu", pukał w czoło Molière w „Mieszczaninie szlachcicem". Toż to Francuz był, komediant, w przekładzie satyryka Boya-Żeleńskiego herbu Ciołek... – no, z takich rad koń by się uśmiał, jak – za przeproszeniem – Romek w todze. Jest przecież poręczenie pani Heni tramwajarki za Stacha, są instancje odwoławcze, jak Komisja i Parlament Europejski, Rada Europy, Rada Powatanów federacji plemion indiańskich Ameryki Północnej, i różne inne, jak CDU, BMW, TUI..., kpw?

eprasa.pl 15af488151

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 118 260 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
NATASZA VIEWEGER – NATASZA.VIEWEGER@FRATRIA.PL
IWONA WIEJAK – IWONA.WIEJAK@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA

NAKŁAD KONTROLOWANY

FOT. NA OKŁADCE: ROBERT STACHNIK/REPORTER, ZUZANNA KRUSCHEWSKA, DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 15af488151



Wypady do Meksyku i Australii z bogatym biznesmenem, łapówka wręczona na stacji benzynowej pod Koszalinem, wspólne imprezy z przyjacielem „Bodziem", który w zamian za załatwianie kontraktów miał finansować kampanię wyborczą sekretarza generalnego Platformy Obywatelskiej, oraz wyjaśnienie wielkiej mistyfikacji z apartamentem w Chorwacji za 50 tys. euro, który Stanisław Gawłowski miał przyjąć w ramach łapówki – to właśnie te informacje, według naszych ustaleń, stały się podstawą do tymczasowego aresztowania jednego z najbardziej wpływowych polityków PO, którego zeznań boi się dziś największa partia opozycyjna

„Bankier" Platformy



WOJCIECH BIEDROŃ

Stacja benzynowa na trasie Szczecin–Koszalin. Jesień 2011 r. Z jednego z samochodów wysiada Stanisław Gawłowski, z drugiego Bogdan K., krezus na zachodniopomorskim rynku budowlanym i nieruchomości. Bogdan K. przekazuje sekretarzowi generalnemu PO 100 tys. zł łapówki. Kolejne pieniądze przyjmowane są w domu Gawłowskiego. Tak według kluczowego świadka Tomasza P., który ubiega się o status małego świadka koronnego, rozpoczęła się wielka afera korupcyjna, która w ostatnich tygodniach zelektryzowała opinię publiczną i która skończyła się tymczasowym aresztem dla „bankiera", jak Gawłowskiego nazywają koledzy z partii.

Tomasz P. to były członek Platformy Obywatelskiej, który wspierał Gawłowskiego w kampanii wyborczej, był też wicedyrektorem Zachodniopomorskiego Zarządu Melioracji i Urządzeń Wodnych w Szczecinie. Tomasz P. ma dobrą pamięć. O łapówkach, w tym tej przekazanej na stacji benzynowej, zeznał po raz pierwszy już 29 września 2014 r., a więc jeszcze w okresie rządów Platformy, tuż po swoim zatrzymaniu. Te słowa powtórzył w lutym br., gdy ponownie zeznawał w sprawie Stanisława Gawłowskiego. To właśnie Tomasz P. jest dziś największym źródłem problemów polityka PO, któremu nie pomogły ani medialny cyrk mecenasa Romana Giertycha, ani wsparcie działaczy Platformy, w tym tych najważniejszych, z Grzegorzem Schetyną na czele.

Jego wersja wydarzeń jest porażająca. Tomasz P. kilkakrotnie zeznał o łapówkach, które Bogdan K. miał wręczyć Gawłowskiemu. Skąd o nich wiedział? Jak wynika z informacji, do których dotarliśmy, mówił mu o tym wszystkim sam Bogdan K. Ze szczegółami miał opisywać, jak K. przechwala się, że „Stachowi" dawał pieniądze i są w doskonałej komitywie. Tomasz P. miał być tak urabiany, by nie przeszkadzał w dealach i korzystał z firmy Bogdana K. przy wielkich inwestycjach. Tomasz P. miał wielokrotnie stwierdzać, że to Gawłowski nakazywał mu, by ten był dla Bogdana K. przychylny i nie robił mu krzywdy. Całkowicie uzależniony politycznie od Gawłowskiego Tomasz P. potulnie wypełniał polecenia szychy z PO i jego kolegi Bogdana K.

Z naszych informacji wynika także, że Tomasz P. miał od Bogdana K. wiedzę, że ten ostatni mógł być już w 2014 r. podsłuchiwany przez CBA. I znów miał się tego dowiedzieć bezpośrednio od Gawłowskiego. Skąd mógł o tym wiedzieć polityk PO? Łatwo się domyślić, że mogło dojść do przecieku ze służb kontrolowanych wtedy przez Platformę. Te zeznania umoczonego w aferę urzędnika i wspólna znajomość z Gawłowskim oraz Bogdanem K. pogrążyły całą trójkę i stały się genezą wielkiej afery.

FATALNE ZNAJOMOŚCI

Znajomości to bowiem pięta achillesowa Stanisława Gawłowskiego. Zna niemal wszystkich ważnych ludzi i bogatych biznesmenów w Szczecinie oraz okolicach. Z jednym z nich stanowią niemal rodzinę. To Bogdan K. – przedsiębiorca, który z Gawłowskim zna się od ponad 20 lat. Spotykają się często,

eprasa.pl 15af488151



w areszcie

Fot. East News/Robert Stachnik

razem podróżują i imprezują. Dobrze znają się także małżonki obu panów. Bogdan K. bawi na weselu pasierba Stanisława Gawłowskiego – Michała. Polityk PO mówi do kolegi biznesmena „Bodzio", biznesmen mówi do polityka „Stachu". Są nierozłączni. Lubią wspólne, męskie wypady do Meksyku, Australii, nad polskie morze i do Chorwacji.

Bogdan K. handluje apartamentami. Sam mówi o sobie, że zbył w życiu kilka tysięcy nieruchomości. Jest posiadaczem pięknego apartamentowca w znanym chorwackim kurorcie. Jak wynika z ustaleń prokuratury, jeden z apartamentów otrzymuje Stanisław Gawłowski. Apartament kosztuje 50 tys. euro, a formalnie „kupić" mają go teściowie pasierba Gawłowskiego. Kłopot w tym, że z emeryturą na poziomie 3 tys. zł małżeństwo K. nie jest w stanie pozwolić sobie na nabycie tej nieruchomości.

Gawłowski twardo stoi przy swoim i w zeznaniach zapewnia, podobnie jak Bogdan K., że apartament kupiło małżeństwo K. Bogdan K. jest nawet przekonany, że widział teściów pasierba Gawłowskiego w tym apartamencie.

Prokuratura nie wierzy w te zapewnienia. Gawłowskiego i Bogdana K. zdradzają dwie kwestie. Po pierwsze, to Gawłowski trzyma w szufladzie akt własności tej nieruchomości, a nie teściowie pasierba. Z naszych informacji wynika, że gdy pokazano Gawłowskiemu dokumenty własnościowe apartamentu, polityk PO miał zblednąć i musiał usiąść z wrażenia. Nie spodziewał się, że funkcjonariusze CBA i śledczy dotrą do tych dokumentów.

To nie koniec podejrzanych nieścisłości w zeznaniach Gawłowskiego i Bogdana K. Córka małżeństwa K. i żona pasierba twierdzi, że jej rodzice nigdy nie byli w Chorwacji! Sam Bogdan K. w przypływie szczerości miał stwierdzić, że Gawłowski bywał w tym apartamencie kilkakrotnie. Z naszych ustaleń wynika, że w trakcie składania zeznań Bogdan K. miał nawet użyć

eprasa.pl 15af488151

określenia „apartament Gawłowskiego", ale szybko się poprawił, stwierdzając, że chodzi o „apartament rodziny Gawłowskiego", czyli właśnie teściów pasierba polityka PO.

Bogdan K. nie pamięta zbyt dobrze, kiedy widział się z małżeństwem K. i czy jego zdaniem teściowie pasierba Gawłowskiego mają pieniądze na zakup apartamentu. Ba, Bogdan K. nie pamięta, czy transakcja „sprzedaży" apartamentu miała być sfinalizowana w Polsce czy w Chorwacji. Przekonuje także, że mimo wieloletniej znajomości z Gawłowskim nigdy nie rozmawiał z nim o pracy ani wpływach polityka PO. Ponoć miał nawet stwierdzić, że „nigdy go to nie interesowało".

Czy finansował kiedyś kampanię wyborczą Gawłowskiego? Bogdan K. „nie pamięta", ale nawet jeśli, to jest przekonany, że odbywało się to zgodnie z prawem. Wszystko to nie trzyma się kupy i stało się początkiem poważnych kłopotów Gawłowskiego.

AFERA MELIORACYJNA

Sprawa tzw. afery melioracyjnej, która pogrążyła dotąd niezatapialnego sekretarza generalnego PO, wybuchła w 2013 r., ale na nowo powróciła w 2016 i 2017 r. Prokuratorzy są pewni, że Gawłowski pełniąc funkcję wiceministra środowiska, przyjął jako łapówki co najmniej 175 tys. zł w gotówce, a także dwa zegarki o łącznej wartości prawie 26 tys. zł. Nakłaniał on również do wręczenia łapówki w wysokości co najmniej 200 tys. zł.

– Ze zgromadzonego w toku śledztwa materiału dowodowego wynika, że w sierpniu 2011 r. ówczesny poseł i wiceminister środowiska Stanisław G. przyjął w swoim domu korzyść majątkową w postaci co najmniej 170 tys. zł w gotówce od jednego z przedsiębiorców. W zamian, wykorzystując swoją pozycję wiceministra, oferował przedsiębiorcy pomoc w zdobywaniu wielomilionowych kontraktów od Zachodniopomorskiego Zarządu Melioracji i Urządzeń Wodnych w Szczecinie – informuje Prokuratura Krajowa.

Z ustaleń prokuratury wynika, że Gawłowski nakłaniał Bogdana K. do wręczenia Tomaszowi P., dyrektorowi Zachodniopomorskiego Zarządu Melioracji, łapówki w kwocie co najmniej 200 tys. zł. Troska Gawłowskiego o interesy Bogdana K. musiała być naprawdę ogromna, skoro w rozmowie z Tomaszem P., według tego ostatniego, Gawłowski argumentował, że kontrakt dla firmy Bogdana K. to warunek utrzymania się firmy K. na rynku.

– Pieniądze zostały przekazane, a dyrektor Zachodniopomorskiego Zarządu Melioracji Tomasz P. jest obecnie jednym z głównych podejrzanych w tzw. aferze melioracyjnej i został tymczasowo aresztowany. W toku postępowania ustalono, że wygrywający przetargi przedsiębiorca – za radą ówczesnego wiceministra środowiska – wręczał osobom decydującym o wynikach przetargów łapówki w wysokości 2–3 proc. wartości kontraktów – informuje Prokuratura Krajowa.

> Jak wynika z ustaleń prokuratury, Gawłowski otrzymuje wart 50 tys. euro apartament w Chorwacji, a formalnie „kupić" go mają teściowie pasierba Gawłowskiego

Kontrakty na wagę „przeżycia" firmy Bogdana K. dotyczą modernizacji i odbudowy brzegów morskich oraz ochrony Mierzei Jamneńskiej. Umowa na te roboty opiewała na prawie 21 mln zł, a kwoty łapówek sięgały kilkuset tysięcy złotych.

To jednak nie koniec. Główne korupcyjne zarzuty, które prokuratura postawiła Gawłowskiemu, są związane z prowadzonym od maja 2013 r. śledztwem w innych sprawach związanych z tzw. aferą melioracyjną. To miał być sztandarowy program rządu Platformy Obywatelskiej na Pomorzu Zachodnim. Setki inwestycji wartych kilkaset milionów złotych musiały zainteresować cwaniaków w Szczecinie i okolicach. Śledczy ustalili, że mniejsze i większe nieprawidłowości dotyczyły co najmniej 105 inwestycji, które nadzorował Zachodniopomorski Zarząd Melioracji i Urządzeń Wodnych w Szczecinie, w tym właśnie Tomasz P.

– W toku śledztwa zarzuty usłyszało już 56 osób. Są wśród nich dyrektor oraz zastępcy dyrektora Zachodniopomorskiego Zarządu Melioracji i Urządzeń Wodnych, pracownicy jednostek terenowych tego zakładu, kierownicy budów w podmiotach wykonujących na jego rzecz usługi, a także przedsiębiorcy – informuje Prokuratura Krajowa.

SĄD I PROKURATURA ZGODNE – MUSI BYĆ ARESZT

Sprawa nieruchomości w Chorwacji w kontekście afery melioracyjnej jest, według naszych informacji, jednym z ważniejszych powodów, dla których sąd wydał zgodę na tymczasowe aresztowanie Gawłowskiego, mimo że formalnie najważniejszym elementem prokuratorskiego wniosku o areszt jest sprawa przyjęcia przez polityka PO łapówki na cele kampanii wyborczej. Sąd zdał sobie bowiem sprawę, że nowe wątki w aferze, pojawienie się sprawy apartamentu w Chorwacji, mogą być przedmiotem matactwa w wykonaniu zarówno Gawłowskiego, jak i Bogdana K.

W ubiegłym tygodniu portal Tvp.info ujawnił fragmenty uzasadnienia decyzji Sądu Rejonowego w Szczecinie o tymczasowym areszcie Gawłowskiego. Zostało ono podzielone na kilka wątków. Sąd wskazał na wysokie prawdopodobieństwo, że poseł PO dopuścił się zarzucanych mu czynów. Dowodzić tego mają zeznania i wyjaśnienia co najmniej kilku osób.

Sąd przekonywał, że wziął pod uwagę wskazane przez obronę nieścisłości w zeznaniach osób obciążających Gawłowskiego. Uznano bowiem za konieczne podejść do relacji osób ubiegających się o status tzw. małego świadka koronnego „ze szczególną wnikliwością i starannością, a zarazem z krytycyzmem".

28/0418/F

eprasa.pl 15af488151

„Jak wynika z szeregu czynności podjętych przez Prokuraturę już po zatrzymaniu podejrzanego, pojawiły się zupełnie nowe wątki, mające charakter rozwojowy, gdzie materiał dowodowy nie został jeszcze w pełni zgromadzony – i w tym zakresie potrzebę zabezpieczenia postępowania dowodowego poprzez zastosowanie tymczasowego aresztowania należy uznać za uzasadnioną. […] Niemniej jednak w przedmiotowej sprawie należy podkreślić, że nie mamy do czynienia z pojedynczym, odosobnionym dowodem pomówienia, a z kumulacją niezależnych od siebie dowodów. Przy tym depozycje te znajdują potwierdzenie także w innych, obiektywnych dowodach" – czytamy w uzasadnieniu sądu.

Sąd mocno podkreślił też wagę zeznań Bogdana K. oraz teściów pasierba Gawłowskiego i ich córki Katarzyny L. To ona zapewniała, że małżeństwo K. nigdy nie przebywało w Chorwacji, więc i bajka o zakupie przez nich apartamentowca musiała być wyssana z palca.

„Należy zauważyć, że zasadniczą podstawą do wydania postanowienia o zatrzymaniu była obawa matactwa wyrażająca się m.in. w próbie skontaktowania z osobami, których postępowanie dotyczy, celem uzgodnienia wspólnej wersji. W tym zakresie decyzję Prokuratora należy uznać za zasadną, mając na względzie szeroko zakrojone czynności, podjęte w ramach prowadzonego śledztwa w dniach 13 i 14 kwietnia 2018 r. – a dotyczące przeszukań pomieszczeń, zatrzymania osób, postawienia zarzutów i przesłuchań, w szczególności małżonków K., Bogdana K., Katarzyny L." – uznał sąd.

Prokuratorzy nie mają wątpliwości, że Gawłowski musi pozostać za kratkami. Także podnoszą argument ewentualnego matactwa podejrzanego o korupcję polityka.

– Poseł Stanisław G., znając zakres śledztwa w części dotyczącej przestępstw korupcyjnych, może usiłować dotrzeć do osób, których przesłuchania zaplanowano, w celu uzgodnienia wspólnych wersji oświadczeń procesowych. Tym samym może on podejmować działania zmierzające do zakłócenia prawidłowego toku dalszego postępowania. Zachodzi również uzasadniona obawa, że pozostając na wolności, Stanisław G. ostrzeże inne, nieustalone dotąd osoby i np. uzgodni z nimi wspólną linię obrony w celu uniknięcia przez nie odpowiedzialności karnej albo jej zminimalizowanie – informuje Ewa Bialik, rzecznik Prokuratury Krajowej.

„TEREN" ODETCHNĄŁ, „GÓRA" W PANICE

Tymczasowe aresztowanie Gawłowskiego i tym samym blamaż jego obrońcy Romana Giertycha zszokowało wierchuszkę Platformy Obywatelskiej. Ewa Kopacz przedstawiła płaczliwe oświadczenie, a Grzegorz Schetyna zapowiedział, że o Gawłowskiego będzie walczył przed instytucjami unijnymi. W szeregach PO wielu zadaje sobie pytanie: „Kto następny?". Skąd taka panika, a jednocześnie bezwzględne trwanie u boku najprawdopodobniej skorumpowanego polityka?

– Stasiek wie bardzo dużo o ludziach Platformy, i to nie tylko w Szczecinie, lecz także w centrali. Przez lata zbierał tajemnice, grzeszki i plotki najważniejszych ludzi w partii. Wielu uwierzyło, że lojalność wobec „bankiera" to polisa bezpieczeństwa, w razie gdyby Gawłowski zaczął sypać – mówi nam jeden z polityków PO, który zapewnia, że osobiście nie boi się ewentualnych „rewelacji" barona ze Szczecina.

Inaczej na tę sprawę patrzą szczecińscy szeregowi działacze Platformy. Zdaniem naszych rozmówców ze stolicy Zachodniopomorskiego wynika, że wielu odczuło ulgę w dniu, w którym Gawłowski trafił za kraty. Część lokalnych platformersów bowiem uważa, że wizerunkowo był on obciążeniem dla ich partii. Takie sygnały płyną też do Warszawy, ale są ignorowane przez szefostwo PO. W rozmowach z nami szczecińscy działacze PO przyznają, że dla nich zatrzymanie i aresztowanie Gawłowskiego było tylko kwestią czasu.

REKLAMA

10.
JUBILEUSZOWA EDYCJA

EUROPEJSKI KONGRES GOSPODARCZY

European Economic Congress

14-16 maja 2018 Katowice
Spodek i Międzynarodowe Centrum Kongresowe

@EECKatowice /EECKatowice /EECPoland
#eec2018
#ekg2018

GŁÓWNE NURTY TEMATYCZNE:

Nasza nowa Europa

Rewolucja technologiczna

Digitalizacja – w kierunku nowej gospodarki

Energia dla klimatu

Energetyka w Europie. Dylematy i wyzwania

Inwestycje

Przyszłość wolnego handlu w Europie i na świecie

Przyszłość miast i metropolii w Europie

PEŁNY PROGRAM NA:
www.eecpoland.eu



Dogłębnie wstrząśnięci zbrodnią

Prof. Grabowski eksponuje głosy oskarżycielskie, pomija zaś głosy stanowiące obronę. W ten sposób próbuje uwiarygodnić relację Fajwela Bielawskiego. Twierdzi, że jego los „to jest opowieść o tym, jak walka o przetrwanie zderzyła się z bezlitosną obojętnością i przyzwoleniem na zło". Celowo nie wspomina relacji o ludziach autentycznie poruszonych, wstrząśniętych, zszokowanych tym, co się stało, choćby obrazu płaczących na Rynku kobiet węgrowskich, gdy likwidowano getto

Jacek Karnowski rozmawia z Radosławem Jóźwiakiem, historykiem badającym wojenne dzieje Węgrowa oraz zagłady tamtejszych Żydów

Jest pan historykiem z wykształcenia?

Radosław Jóźwiak: Tak, jestem nauczycielem historii w Liceum Ogólnokształcącym im. Adama Mickiewicza w Węgrowie. Od lat interesuję się także wojennymi dziejami Węgrowa, ze szczególnym uwzględnieniem tragicznych losów miejscowej społeczności żydowskiej.

Wiemy, że Węgrów i powiat węgrowski zostały opisane w książce pod redakcją prof. Barbary Engelking i prof. Jana Grabowskiego „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski". Książki jeszcze nie ma na rynku, ale trudno sądzić, że będzie to portret pozytywny. Można wnosić, że powieli zarzuty postawione przez Fajwela Bielawskiego w książce „Ostatni Żyd z Węgrowa".

Tak to prawda. Prof. Grabowski udzielił już trzech obszernych wywiadów, w których Węgrów zajmuje poczesne miejsce. I rzeczywiście jest to opis m.in. na podstawie relacji Fajwela Bielawskiego, która ukazała się w 1991 r. w Stanach Zjednoczonych, w małym nakładzie. Polski przekład wydało dwa lata temu Centrum Badań nad Zagładą Żydów, a jej redaktorem naukowym był właśnie prof. Grabowski. Ku mojemu zdumieniu polska edycja nie wywołała właściwie żadnego echa. A powinna, bo zawiera szokujące treści na temat roli mieszkańców miasta i okolic, a de facto wszystkich Polaków, w zagładzie swoich żydowskich sąsiadów.

Rozumiem jednak, że pana ta publikacja zainteresowała?

Tak, zaraz po jej polskim wydaniu zacząłem weryfikować to, co tam znalazłem. W zasadzie mogę powiedzieć, że kończę pisać swoją książkę na ten temat. Obecna sytuacja zmusiła mnie do zabrania głosu, mimo że są wątki

eprasa.pl 15af488151



Fot. Andrzej Wiktor (x3)

w biografii Bielawskiego, których jeszcze nie zbadałem. Dotyczą one głównie okresu powojennego.

Zacznijmy od pytania, kim był Fajwel Bielawski, który – jak rozumiemy – ma być głównym świadkiem oskarżenia mieszkańców Węgrowa.

Fajwel Bielawski był przedwojennym kupcem, który prowadził razem z braćmi i siostrą dwa interesy: handlowali drewnem i mieli sklep tekstylny przy rynku. Jak twierdzi, w czasie okupacji utrzymywali się z tego sklepiku. W momencie likwidacji getta rodzina Bielawskich miała się schronić na stryszku nad swoim sklepem. Tam schowana miała najpierw słyszeć, a później widzieć przez wydrążony otwór to, co się działo na rynku podczas akcji likwidacyjnej i w dniach następnych.

Jak długo się ukrywali?

Według Bielawskiego pięć tygodni, aż do „amnestii". W kryjówce przebywali od 22 września do 10 listopada. Później aż do kwietnia 1943 r., gdy w Węgrowie funkcjonowało tzw. getto szczątkowe, ci Żydzi, którzy ocaleli, mogli tam przebywać. Po likwidacji tego getta pan Bielawski z rodziną ukrywał się, aż do wyzwolenia, u okolicznych chłopów. Po kolejnym roku wyjechał najpierw z Węgrowa, a później z Polski, i osiadł w Stanach Zjednoczonych. To jest krótka kompilacja jego oficjalnej notki biograficznej.

Mówi pan o „oficjalnej notce", czyli ma pan wątpliwości co do tego, czy to zapis prawdziwy?

Przedstawiony przez Bielawskiego opis działań Polaków z Węgrowa w czasie likwidacji getta był dla mnie szokujący. Przedstawił on w istocie całą społeczność miasta jako aktywnych współuczestników akcji likwidacyjnej. Okolicznych chłopów, z wyjątkiem tych, którzy go przechowali, przedstawił również jako grupę polującą na Żydów. Wyłania się obraz, w którym Polacy dorównują Niemcom, a nawet są od nich aktywniejsi i gorliwsi. Opisując okres powojenny, rozwodzi się nad złowrogą, antysemicką atmosferą, która wraz z rzekomym zagrożeniem życia ze strony Urzędu Bezpieczeństwa zmusza go do ucieczki i porzucenia domu oraz sklepu.

Bielawski pisze m.in. o likwidacji getta: „Przez cały dzień esesmani z ochoczą pomocą Polaków ładowali Żydów na otwarte ciężarówki, które odjeżdżały w stronę Treblinki". W następnych dniach mieszkańcy miasta gorliwie wyszukują żydowskie kryjówki i wydają ukrywających się w ręce Niemców, a potem: „Polakom nie wystarczyło, że wyłapywali swoich sąsiadów do komór gazowych. Teraz Niemcy pozwolili im, żeby sami wymordowali tych, którym udało się uniknąć ciężarówek do Treblinki". Masowe egzekucje rozpoczyna granatowa policja. Obok scen zbrodni mamy też idyllę: „Niemcy spacerowali pod rękę z polskimi dziewczynami. Polacy i Niemcy współpracowali ze sobą i dobrze im poszło". Uznał pan, że przy zarzutach takiej wagi wiarygodność świadka jest kluczowa?

Tak, te zarzuty są tak poważne, że wnikliwie je zbadałem. A już pobieżna analiza relacji Bielawskiego pokazuje, że coś jest nie tak. Choćby sprawa ciężarówek, na które miano ładować Żydów. Przecież tu chodzi o poważną grupę ludzi, zazwyczaj podaje się liczbę od 8 do 9 tys. Ile musiałoby być owych ciężarówek, aby ich załadunek trwał przez cały dzień? Według moich obliczeń co najmniej 200, przy założeniu, że na jednej zmieści

eprasa.pl 15af488151

się ok. 40 osób. Nawet gdyby założyć, że kursowały na trasie, musiałoby ich być kilkadziesiąt, co też jest bzdurą.

Czy inne źródła wspominają o ciężarówkach, na które załadowano Żydów?

Jakieś ciężarówki były, bo przyjechała nimi ekipa likwidacyjna, ale było ich najwyżej kilka. Żydów z Węgrowa nie wywieziono, ale popędzono kolumną do Sokołowa Podlaskiego, oddalonego o 16 km, a dalej koleją do Treblinki. Piszą o tym wszystkie źródła, zarówno polskie, jak i żydowskie. Bielawski twierdzi tymczasem, że węgrowskich Żydów wywieziono, i to nie do Sokołowa, ale w zupełnie innym kierunku, do odległych o 35 km Siedlec. Autor wspomnień błędnie twierdzi, że Treblinka położona jest blisko Siedlec.

Jakie inne elementy w relacji Bielawskiego budzą pana wątpliwości?

Jest ich bardzo wiele. I wiele udowodnionych kłamstw. Prosty i bezdyskusyjny przykład. Pierwszą osobą, którą miał usłyszeć Bielawski, gdy rozpoczęła się akcja, był niejaki Maniek Karbowski, sąsiad Fajwela, który miał zachęcać Niemców do szukania Bielawskich, a także wyważać drzwi siekierą. Miał to być więc człowiek opętany obsesją, aby ich wykryć. Według Bielawskiego ojcem Mańka był leniwy, przedwojenny policjant, zastrzelony za jakieś machlojki przez Niemców. Ale sprawdziłem i okazuje się, że Bolesław Karbowski – ojciec Mańka – jest na liście policjantów zamordowanych w Miednoje. Tymczasem w książce jest jedynym Polakiem, który zginął z rąk Niemców. Do wspólników zbrodni się nie strzela.

Co jeszcze?

W relacji Bielawskiego występują trzy siostry Złotowskie, które mieszkają na węgrowskim rynku na trzecim piętrze. Polacy mieli o tym wiedzieć, donieść Niemcom, którzy z kolei wyciągnęli je na rynek i załadowali na ciężarówkę. Problem w tym, że na węgrowskim rynku nie ma trzypiętrowych kamienic.

Może po prostu się pomylił?

Oczywiście autor każdej relacji może się czasem pomylić w dobrej wierze, ale jeśli tych pomyłek jest za dużo, to... Zacytuję panu jeden fragment z książki Bielawskiego, o wywózce Żydów do obozu: „»Szybciej, szybciej«, wrzeszczeli Polacy. Tego popołudnia miało się odbyć wesele, i nie chcieli się spóźnić na tę uroczystość. Dziecko płakało i błagało mamę: »ja chcę żyć!«. Mężczyzna stojący obok małej dziewczynki krzyczał do Polaków: »Wpychacie nas do pieców. Bóg się na was zemści. W sidurze jest napisane: inne narody będą was prześladować. Będziecie niewolnikami innych narodów«”. W innym fragmencie znajdziemy scenę, w której pani Bielawska, matka autora wspomnień, pyta Boga: „Czego oczekujesz od swoich dzieci. [...] czy muszą palić się w piecach? Czy musisz pozwalać Polakom, by z taką radością wydawali ich Niemcom?”. I właśnie te piece bardzo mnie zastanowiły.

> Bielawski nie był w stanie ze swojej kryjówki obserwować tego, co działo się na rynku. Tuż przed jego strychem stała bowiem duża hala handlowa, która zasłaniała mu widok na większość rynku. Nie mógł widzieć wywożenia Żydów, co jednak opisuje tak, jakby obserwował wszystko osobiście

Dlaczego?

Bo pan Bielawski odtwarza relacje ludzi z września 1942 r. Dziś wiemy, że w obozie w Treblince nigdy nie było pieców; tam ofiary zakopywano w ogromnych dołach; spotkało to również żydowskich mieszkańców Węgrowa. Proces wyciągania zwłok i ich palenia zaczął się na małą skalę późną jesienią w 1942 r., już po likwidacji getta węgrowskiego. Dopiero wiosną 1943 r. niemieccy „fachowcy” pod kierownictwem Herberta Flossa wprowadzają w Treblince specjalne ruszty do palenia ciał pomordowanych. W jaki sposób w ówczesnych realiach człowiek, który wie tylko tyle, że w Treblince morduje się ludzi, jest w stanie cokolwiek powiedzieć o piecach? To pojęcie nie miało prawa wówczas funkcjonować, to jest czysta kreacja ex post, oparta na wiedzy szeroko znanej dopiero po wojnie.

Czy mówimy o pomyłkach, literackich ubarwieniach, czy też czymś więcej: o fikcji, a może i kłamstwach?

Jest za dużo tych wątpliwości, by mówić o zwykłych pomyłkach, raczej o ciągu udowodnionych przeze mnie kłamstw. Potrafię przedstawić historię, która na 100 proc. została wymyślona przez Bielawskiego. Przenieśmy się na moment do okresu, gdy rodzina Bielawskich ukrywa się na wsi u gospodarza Wacława Bujalskiego. Fajwel Bielawski wspomina, że obok Wacława mieszkał jego brat antysemita. Tenże brat miał być dużym zagrożeniem, więc np. kryjówkę budowano wówczas, gdy pojechał on do Węgrowa. Bielawski opisuje również scenę, gdy, już później, obaj bracia rozmawiają o zbliżającym się nadejściu Rosjan. Dotarłem do synów pana Wacława Bujalskiego, którzy jednoznacznie powiedzieli mi, że ich stryj już przed I wojną wyjechał do Ameryki, do Polski wrócił wraz z armią Hallera, ale chwilę po zakończeniu walk o niepodległość znowu wyjechał. Bielawski lubił podkreślać na każdym kroku zagrożenie ze strony chłopów, dlatego tę historię celowo wymyślił.

Tego stryja w Polsce w czasie okupacji po prostu nie było?

Tak, to są więc sceny wymyślone, które rzucają światło na wiarygodność całej relacji. Wątpliwości można mnożyć. W książce Polacy

eprasa.pl 15af488151



czwartego dnia likwidacji odkrywają kryjówkę zaprzyjaźnionej rodziny Chudzików, złożonej z matki i trzech córek. Sadystyczny żandarm Giller mimo błagań dzieci zabija całą czwórkę. Bielawski, dobrze znając wiek dziewczynek, celowo określa wiek najmłodszej Hindy na pięć lat. W rzeczywistości miała ona zaledwie półtora roku. Dziecko w tym wieku nie jest w stanie powstrzymać płaczu ani nie można go uspokoić na dłuższą metę. Czterodniowy pobyt w ciasnej kryjówce pod podłogą byłby samobójstwem. Z wymyśloną pięcioletnią dziewczynką byłoby to już możliwe. Fałszowanie wieku, aby pasował do wymyślonej historii, pojawia się w jego książce kilkakrotnie.

Z kolei opisując targ obserwowany ze swojej kryjówki, wspomina chłopów, którzy sprzedają kury, kaczki, gęsi. Z pozoru sprawa prozaiczna, ale ma ona znaczenie. Bo getto węgrowskie zaczęto likwidować 22 września 1942 r., a cztery dni wcześniej starosta niemiecki Gramss wydał stanowczy zakaz handlu drobiem. Tych kur i kaczek tam być nie mogło. Tym bardziej że miejsce, które miał obserwować Bielawski, było położone bardzo blisko ówczesnego posterunku żandarmerii; nie sposób byłoby tej kontrabandy ukryć, nikt by takiego ryzyka nie podjął.

Jeśli już mówimy o kryjówce Bielawskiego: zgłasza pan wątpliwości również co do tego elementu relacji.

Tak naprawdę Bielawski nie był w stanie ze swojej kryjówki obserwować tego, co się działo na rynku. Tuż przed jego strychem była bowiem duża hala handlowa, wyższa od sklepiku, która zasłaniała mu widok większości obszaru rynku. Nie mógł widzieć wywożenia Żydów, które jednak opisuje tak, jakby obserwował wszystko osobiście.

Powtarzam pytanie: może to wszystko, co widział i czego nie widział, zlało mu się w jedno, jak to często bywa w przypadku traumatycznych przeżyć?

Gdybyśmy miasto Węgrów postawili przed sądem za to, co działo się w czasie wojny, i gdyby relacja pana Bielawskiego była prawdziwa, byłby on kluczowym świadkiem. To człowiek, który dysponuje rzekomo doskonałym punktem obserwacyjnym, który wszystko widzi. Nie wierzę w ani jedno słowo jego relacji z likwidacji getta. Warto zadać pytanie, czy ta kryjówka rzeczywiście funkcjonowała.

Jakie jest pana zdanie?

Jestem pewny, że nie, a nawet gdybym nie miał racji, Bielawski nic by nie zobaczył. Wspominałem o hali przesłaniającej widok na rynek. Zarówno dom, jak i sklep Bielawskich ocalały w lekko tylko zmienionym kształcie. Na przykład grubość ściany wynosi 70 cm na dole i trudno sądzić, by na górze był to tylko jeden rząd cegieł, jak wynika z rysunku kryjówki. W grubszym murze nie da się nożem zrobić otworu. Najciekawsze jest jednak to, że rysunki przedstawiające kryjówkę w amerykańskiej i polskiej edycji wspomnień bardzo się różnią. W wydaniu polskim część budynku przesłonięto pokryciem dachu, ukrywając drugi komin. Jeśli Fajwel Bielawski wymyślił kryjówkę, z której rzekomo widział dramatyczne wydarzenia dziejące się na rynku, musiał wymyślić również sposób, w jaki się do niej wchodziło. Wymyślił drugi piec w sklepie, dorzucił fałszywy komin i belkę maskującą wejście. Widząc rysunek z amerykańskiej wersji, krytyczny obserwator dostrzegłby absurd obecności aż dwóch kaflowych pieców w tak małym pomieszczeniu, jakim był sklep.

Redaktorem polskiej edycji był prof. Jan Grabowski.

Moja lista zarzutów do prof. Grabowskiego jest bardzo długa. Dwa zdjęcia zostały w wersji polskiej przerobione, a dotyczą one kluczowej sprawy, czyli kryjówki na rynku. Siostrę Bielawskiego, panią Menuchę, opisano na jednym ze zdjęć w wydaniu amerykańskim jako mającą 29–30 lat, ale wyglądającą znacznie starzej ze względu na przeżycia. Tymczasem w rzeczywistości miała ona 40 lat. I na tyle właśnie wygląda na fotografii. W polskiej wersji tego zdjęcia nie ma. Z polskiego wydania usunięto pewien fragment, w którym Bielawski twierdzi np., że Adolf Eichmann był zastępcą Hitlera, że kierował operacją Reinhardt. A przecież to pokazuje, że autor wspomnień nie miał podstawowej wiedzy historycznej. Ale to szczegół w porównaniu z tym, że prof. Grabowski w żaden sposób nie skonfrontował książkowych wspomnień Bielawskiego z innymi materiałami, zwłaszcza z tym, co zeznał on przed komisją żydowską w Łodzi w kwietniu 1945 r., kiedy złożył dwa zeznania, dziś znajdujące się w Żydowskim Instytucie Historycznym.

Różnią się one w stosunku do książki?

Tak. Z relacji złożonej zaraz po wyzwoleniu dowiadujemy się, że był w Węgrowie tylko na początku wojny. Podał też fałszywą datę urodzin. Sporo jest o pierwszym okresie getta, o przymusowej pracy. O likwidacji getta są zaledwie trzy zdania. Przytoczę je dosłownie: „10 000 Żydów wysłano do Treblinki. Około 5 000 rozstrzelała policja niemiecka i polska na cmentarzu żyd. w Węgrowie. Polska ludność zabrała cały majątek, który pozostał po Żydach". Koniec. Człowiek, który rzekomo był naocznym świadkiem masowych zbrodni, miał widzieć je z doskonałego punktu obserwacyjnego, nie mówi o tym ani słowa w swojej pierwszej relacji. Owszem, stawia granatowym policjantom zarzut współudziału w rozstrzeliwaniu, ale razem z nimi strzelają Niemcy. W książce zaś, opisując rozstrzeliwania na kirkucie, Bielawski wspomina już o tylko jednym nadzorującym oficerze SS, polskich strażakach i samodzielnie mordującej Żydów policji granatowej. W obu jego wspomnieniach nigdy nie pojawiają

eprasa.pl 15af488151

się też Ukraińcy, Litwini ani Łotysze, którzy są obecni – jako główna siła ekipy likwidacyjnej – w wielu innych relacjach.

Czy zarzut dotyczący udziału granatowej policji w masakrze na cmentarzu w roli plutonu egzekucyjnego potwierdzają inne źródła, poza Bielawskim?

Znane mi zarówno polskie, jak i żydowskie relacje, w tym naocznych świadków, mówią, że rozstrzeliwali Niemcy i Ukraińcy.

Może Bielawski bał się mówić o winie Polaków tuż po wojnie i dlatego pominął pewne szczegóły w swojej relacji złożonej w Łodzi?

Powtarzam: w relacji są poważne oskarżenia wobec granatowej policji i okolicznej ludności, jego zdaniem masowo wydającej Żydów za cukier. Nie wygląda na to, by w 1945 r. był skrępowany cenzurą. A jednak nie zrelacjonował ani jednej historii, którą rzekomo widział i opisał w książce. Co więcej, w tej samej relacji Bielawski twierdzi, że podczas likwidacji szczątkowego getta ukrył się w piwnicy. W książce z kolei ukrywa się na strychu. To, gdzie człowiek ocalił życie, wydaje się sprawą tak istotną, że trudno sądzić, by mógł pomylić piwnicę ze strychem. Świadkowie, z którymi rozmawiałem, są też całkowicie pewni, że od września 1942 r. nie mieszkali na ulicy żadni Żydzi, dom narzeczonej, w którym rzekomo przebywał Bielawski, zajęła polska rodzina Majchrów. Nigdy nie mieszkała tam żadna wdowa po komendancie policji, na której stryszku rzekomo ukrył się przed Niemcami i tłumem 30 Polaków, którzy przeszukiwali całą ulicę.

Czy są inne źródła na temat likwidacji węgrowskich Żydów i późniejszych losów ocalałych, a zwłaszcza rodziny Bielawskich?

Są wspomnienia Zygmunta Klema, jest relacja Jerzego Tchórzewskiego, jest też obszerna relacja komisarycznego burmistrza Węgrowa z nadania Niemców, Władysława Okulusa, miejscowego pedagoga i działacza



społecznego. Cennych informacji dostarczają relacje żydowskie; relacje małżeństw Schneidermanów, Fishmanów czy Rubina Birda. Z dokumentów: akta procesowe z procesu strażaków i policjantów oskarżonych po wojnie o aktywny udział w likwidacji getta. Są też ciekawe źródła pośrednie, choćby akta sprzedaży. One mówią nam np., że po wojnie Fajwel Bielawski sprzedał swój sklep i dom 15 października 1945 r. za dużą ówcześnie kwotę 250 tys. zł rodzinie Jaworskich. Przygotowania do sprzedaży trwały całe miesiące. A w książce czytamy, że gdy wyjeżdża, to nagle i z niczym, z jedną walizką, konkludując, że „miasto wygrało", a „Polacy i Niemcy (Polacy – co szokujące – stawiani na pierwszym miejscu) nie zabili wszystkich Żydów, ale wszyscy wyjechali". Twierdzenie Bielawskiego z książki, że nie wie, co się stało z jego domem i sklepem, jest więc kłamstwem. Wiedział doskonale, bo sam ten majątek sprzedał za dobrą cenę. Nieprawdziwa jest także relacja Bielawskiego o tym, że tuż po wyzwoleniu stanął na czele odradzającego się życia żydowskiego. Z dokumentów wynika, że przez większość czasu na czele Komitetu Żydowskiego stał inny ocalały, Szmul Rajzman, były więzień Treblinki. Bielawski stanął na czele komitetu dopiero w maju lub czerwcu 1945 r. Grabowski do tego się nie odnosi. Tak jak nie odnosi się do twierdzenia Bielawskiego o spotkaniu zaraz po wyzwoleniu w sierpniu 1944 r. ze Szmulem Willenbergiem; a to spotkanie było wówczas niemożliwe, bo Willenberg – znana przecież postać – walczył wówczas w powstaniu warszawskim. Nieuwzględnienie tych dwóch źródeł jest, w mojej ocenie, kolejnym poważnym zarzutem wobec pracy prof. Grabowskiego. Miał oba w ręku, a więc musiał wiedzieć, że i w tych punktach Bielawski kłamie.

Na podstawie tych wszystkich źródeł, do których pan dotarł, jak pan oceni zachowanie się polskiej społeczności w czasie likwidacji żydowskich sąsiadów?

Zachowania ludzi były oczywiście różne. Były jednostkowe przypadki zachowań nikczemnych. Najgorszy przypadek to Edward Witecki, który jako bardzo młody chłopak przystąpił do Niemców, pełnił funkcję swego rodzaju pomocnika, czasem dostawał od Niemców broń. Z własnej woli zabijał Żydów, ale działał również na szkodę Polaków. Po wojnie wstąpił do aparatu bezpieczeństwa, walczył z „reakcyjnym podziemiem", później stanął jednak przed sądem i został skazany na 10 lat więzienia. To osoba zasługująca na pełne potępienie.

Witecki brał udział w likwidacji getta we wrześniu 1942 r.?

Edward Witecki jest wskazany z nazwiska przez prof. Grabowskiego jako

eprasa.pl 15af488151

przykład Polaka, który strzela do Żydów w czasie akcji likwidacyjnej. Ale z powojennych akt procesowych Witeckiego wynika, że wszystkie jego zbrodnie zostały popełnione w 1943 r. A getto Niemcy likwidowali we wrześniu 1942 r. Co robi prof. Grabowski? Celowo bierze relację z 1943 r., prawdopodobnie dotyczącą likwidacji getta szczątkowego, i przerzuca do roku 1942. I wszystko mu się zgadza. Dlaczego to robi? Bo to uwiarygodnia obserwowaną rzekomo przez Bielawskiego scenę, w której granatowi policjanci z zimną krwią zabijają młodą dziewczynę, Marię Nisman. To jedna z najbardziej wstrząsających scen w książce.

Jest też pytanie o rolę węgrowskich strażaków.

Straż węgrowska liczyła 30–35 członków. Po wojnie ośmiu strażakom postawiono zarzuty, że aktywnie pomagali Niemcom, doprowadzając Żydów na miejsce egzekucji. Ostatecznie skazano jedną osobę – komendanta, co nie oznacza, że uważam pozostałych oskarżonych za niewinnych, jestem wręcz przekonany o winie kilku z nich. Po prostu trudno im było udowodnić indywidualną winę, świadkowie żydowscy popełniali błędy podczas identyfikacji. Prof. Grabowski także w odniesieniu do strażaków manipuluje, pisząc np., że o udziale strażaków węgrowskich w zbrodniach donosiła konspiracyjna prasa. Przytacza jednak przypadek ze... Stoczka Węgrowskiego. Powstaje wrażenie, że w Stoczku działali strażacy z Węgrowa, a nic takiego nie zaszło. W aktach procesowych nie ma żadnego zarzutu dotyczącego tego miejsca. Jedyne, co łączy strażaków z Węgrowa ze Stoczkiem Węgrowskim, to przymiotnik „węgrowski".

Co wiadomo o zachowaniu się miejscowych policjantów?

Po wojnie postawiono też zarzut zabicia Żydówki jednemu z policjantów, ale chodziło o zdarzenie niezwiązane z likwidacją getta we wrześniu 1942 r. Są relacje, że policjanci przeszukiwali domy, ale nie wiadomo, czy to było wykonywane na rozkaz Niemców, bez chęci wyszukiwania kryjówek, czy samodzielna akcja wynikająca z gorliwego poszukiwania Żydów. Z relacji żydowskiego świadka Moszko Góry wynika, że jego kryjówkę znaleźli samodzielnie granatowi policjanci i strażacy, bez udziału Niemców. O takich przypadkach też trzeba mówić.

> Z relacji Bielawskiego złożonej zaraz po wyzwoleniu dowiadujemy się, że był w Węgrowie tylko na początku wojny. Sporo jest o pierwszym okresie getta, o przymusowej pracy. O likwidacji getta są zaledwie trzy zdania

Z relacji Bielawskiego i opracowania prof. Grabowskiego wyłania się obraz lokalnej społeczności, która albo brała udział w zbrodniach, albo wyrażała satysfakcję z tragicznego losu, który spotkał Żydów.

To jest kolejny zarzut do prof. Grabowskiego. Pomija on relacje, które prezentują inny obraz, np. Władysława Wójcika, który wspominał o ludziach autentycznie poruszonych, wstrząśniętych, zszokowanych tym, co się stało, który przywołuje obraz płaczących na rynku kobiet węgrowskich. Z relacji Wójcika prof. Grabowski wybiera to, co mu pasuje, np. opis bestialskiego zamordowania, przy użyciu wideł i siekier, kilku rodzin żydowskich w gospodarstwie Franciszka Wojtyry w oddalonej o 5 km od Węgrowa miejscowości Liw. Zdaniem Wójcika zbrodnię popełniło dwóch pijanych sadystów, podobno namówionych przez gospodarza. Ale prof. Grabowski, opisując tę tragedię na podstawie zeznań Wójcika złożonych w Yad Vashem, pomija istotną jego część. Bo Wójcik mówi tam także: „Ludność polska, mieszkańcy Liwa, Węgrowa oraz okolicznych wiosek, była dogłębnie wstrząśnięta tą zbrodnią, przepowiadając zbrodniarzom wielką karę, jak nie w obecnym życiu, to po śmierci wymierzy im sprawiedliwość Boża. Na ogół mieszkańcy Liwa, Węgrowa czy powiatu węgrowskiego byli bardzo dobrze ustosunkowani do prześladowanej ludności żydowskiej i w miarę możliwości nieśli pomoc materialną oraz pomoc moralną prześladowanym". Zdaniem Grabowskiego tragedia żydów węgrowskich „to jest opowieść o tym, jak walka o przetrwanie zderzyła się z bezlitosną obojętnością i przyzwoleniem na zło". Obojętność łatwo wykreować, wystarczy omijać opisy stanów emocjonalnych Polaków niepasujące do założonej tezy.

Czyli opowieść o okrutnych w swojej masie mieszkańcach Węgrowa i powiatu węgrowskiego została ulepiona z selektywnie wybranych materiałów?

Jeszcze nie wiem, co Jan Grabowski napisał o powiecie, ale w przypadku Węgrowa, który badałem, tak to wygląda. Relacja telewizyjna Grabowskiego o strażakach, którzy widłami dźgali Żydów w płonącym domu w getcie, jest oparta na głosach oskarżycieli. Ale są też skrajnie odmienne relacje świadków obrony. Jest np. relacja Czesława Słupa, który opisuje tych samych strażaków wyciągających z płonącego w getcie domu dzieci żydowskie i pozwalających im uciec. Prof. Grabowski eksponuje głosy oskarżycielskie, pomija głosy stanowiące obronę. Manipulacje pana profesora mogą wręcz szokować: rodzina Bielawskich ukrywała się w Pieńkach Jarnickich, gdzie Niemcy zamordowali 23 Żydów i ukrywającego ich Polaka. Jan Grabowski, korzystając z tego, że w książce pada tylko skrócona nazwa Pieńki, celowo w przypisie podaje oddalone o 20 km Pieńki Jagodzińskie, gdzie Żydów zamordowała policja granatowa bez udziału Niemców. Rodzina Bielawskich nigdy tam się nie ukrywała.

eprasa.pl 15af488151



Piątka+ Morawieckiego

Nowy plan rządu wzmacnia premiera, osłabia wewnętrzne konflikty i zmusza rządzących do rozmowy z Polakami



STANISŁAW JANECKI

Na początku „piątka Morawieckiego" była dwunastką. Plan nowych przedsięwzięć premiera Mateusza Morawieckiego i jego rządu, przedstawiony na konwencji zjednoczonej prawicy 14 kwietnia 2018 r., zawierał 12 propozycji przygotowanych przez i dla prezesa Rady Ministrów, które po dyskusji w kierownictwie rządu i jego politycznego zaplecza zostały zredukowane do pięciu konkretów. Nie chodzi tylko o to, że piątka dobrze się kojarzy, np. z tym, że rząd będzie na piątkę, lecz także o to, że zbyt dużo celów trudno spamiętać, szczególnie przez przeciętnego odbiorcę. Zapewne w związku z podobnymi skojarzeniami rząd AWS, kierowany przez Jerzego Buzka, podjął się przeprowadzenia pięciu reform ustrojowych (inna sprawa, jak te reformy wdrożono i jakie efekty one przyniosły). Z tym że „piątka Morawieckiego" to same konkrety, przeliczalne i łatwe do wyobrażenia, a nie kwestie ogólne, których skutki mogą być przez lata niewidoczne, przeciętni obywatele zaś mogą w ogóle nie odczuwać ich efektów w domowych budżetach czy w codziennym życiu. Te konkrety są jeszcze bardziej widoczne na tle odbywającej się w tym samym dniu konwencji zjednoczeniowej Platformy Obywatelskiej i Nowoczesnej. Jedynym przesłaniem tej konwencji było to, że istnieje koalicja, i samo jej istnienie jest wielką wartością. A jedyne, czym ta koalicja ma się zająć, to niedopuszczenie Prawa i Sprawiedliwości do władzy w tych samorządach, w których obecnie rządzą PO lub koalicja PO-PSL, oraz wyrzucenie PiS z tych miejsc, gdzie rządząca partia ma dobrą pozycję. Zaprezentowano program władzy dla władzy, a właściwie dla ludzi PO władzę już sprawujących,

eprasa.pl 15af488151


Fot. Andrzej Wiktor

z możliwością dokooptowania kolegów z Nowoczesnej. Polska i Polacy byli na zjednoczeniowej konwencji opozycji całkowicie nieobecni. A o konkretach nie było nawet co marzyć, gdyż nie podano ani jednego.

Jedną z 12 wstępnych propozycji, które zostały odrzucone w dyskusji, było przekazanie z budżetu centralnego każdej jednostce samorządowej 100 tys. zł na cele uwzględniane w tzw. budżetach obywatelskich. Obawiano się jednak, że w związku z wyborami samorządowymi jesienią 2018 r. pieniądze te mogłyby zostać wykorzystane (poprzez odpowiednie stymulowanie debaty publicznej czy ankiet na temat pilnych potrzeb) raczej na promocję obecnie rządzących w samorządach, a nie na cele ważne dla obywateli. Inne odrzucone propozycje były zbyt ogólnikowe albo wiązały się ze zbyt skomplikowanymi mechanizmami ich wdrażania.

O „piątce Morawieckiego" można jednak mówić jako o Piątce+, gdyż dodatkowe przedsięwzięcia rządu, też konkretne, zapowiedziała wicepremier Beata Szydło (program Mama+). Swoje propozycje, o znaczeniu dalekosiężnym, dodał również minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro (głównie zmiany w Kodeksie karnym i zwalczanie drobnej, uciążliwej przestępczości), a koncepcję dalece wybiegającą poza obecną debatę polityczną i zaskakującą nawet dla uczestników konwencji zjednoczonej prawicy zaprezentował wicepremier Jarosław Gowin (tzw. głosowanie rodzinne). Sam premier Morawiecki zapowiedział jeszcze ułatwienia w handlu dla rolników, by nie obciążały ich koszty pośrednictwa, ale żadne konkrety nie padły.

PIĄTKA NA PIĄTKĘ

„Piątka Morawieckiego" to mniejsza (proporcjonalnie) składka ZUS dla małych firm (program Mała Firma, Mały ZUS), obniżenie dla małych firm podatku CIT z 15 do 9 proc., wyprawki w wysokości 300 zł dla uczniów szkół podstawowych i średnich (do 18. roku życia), ułatwienia poruszania się i funkcjonowania dla osób niepełnosprawnych, starych lub niedołężnych (w ramach programu Dostępność+), przeznaczenie 5 mld zł na lokalne drogi. Jako plus do „piątki Morawieckiego" można zaliczyć przedstawiony przez wicepremier Szydło program Mama+. To przede wszystkim minimalne emerytury dla kobiet, które urodziły co najmniej czworo dzieci i po osiągnięciu wieku emerytalnego nie mają prawa nawet do tej minimalnej emerytury. To premia dla kobiet, które urodzą drugie dziecko przed upływem dwóch lat od narodzin pierwszego (m.in. ułatwienia w dostępie do żłobków i przedszkoli). To bezpłatne leki dla kobiet w ciąży. To ułatwienia dla mam będących studentkami. To darmowe przejazdy komunikacją miejską dla matek z dzieckiem w wózku. Uzasadniając swoją „piątkę", premier Morawiecki mówił: „Polska ma być krajem takich samych możliwości, równych szans dla wszystkich. Polska nie może być »Polską nie da się«, »Polską niemocy«".

Koszty „piątki Morawieckiego" oszacował sam premier: „Wyprawka to jest ok. 1,4 mld zł. Szacujemy, że mała działalność gospodarcza i ulga w ZUS to ok. 500 mln zł. W przypadku podatku CIT – obniżki z 15 proc. na 9 proc. – to może być też 500 do 600 mln zł. Program Dostępność+ jest rozpisany na kilka budżetów, w tym budżet UE, i jest rozpisany na wiele lat, bo on dotyczy np. dostosowania budynków administracji publicznej, wind w nowo budowanych budynkach mieszkalnych – na ten program wydajemy 23 mld zł. Na drogi lokalne będzie fundusz z co najmniej 5 mld zł". Ekonomiści wyliczyli, że koszty „piątki Morawieckiego" (ok. 7 mld zł) nie wpłyną znacząco na deficyt finansów publicznych, co oznacza, że w 2019 r. – mimo wzrostu wydatków państwa o ok. 5,5 mld zł – deficyt budżetowy wyniesie ok. 1,9 proc. PKB (wedle metodologii stosowanej w UE).

„Piątka Morawieckiego" niczego więc nie zrujnuje, choć ekonomiści związani z Platformą Obywatelską wieszczą ruinę budżetu, przede wszystkim były minister finansów Jan Vincent Rostowski oraz obecny główny doradca ekonomiczny PO Andrzej Rzońca. Niektórzy wątpią tylko, czy uda się bezproblemowo przeprowadzić program inwestycji w drogi lokalne. Przed wszystkim z powodu braku pracowników.

NOWY POCZĄTEK

Wystąpienie Morawieckiego na konwencji zjednoczonej prawicy nazwano „drugim exposé", a nawet „właściwym exposé". W gruncie rzeczy szef rządu dopiero zaczyna normalne urzędowanie. Dotychczas był premierem praktycznie tylko w kwestiach polityki zagranicznej, a i to głównie gasząc pożary. Polityka krajowa wiązała się zaś z problemami, z którymi szef rządu nie chciałby być kojarzony, gdyż w ogromnej większości nie wynikały one z jego decyzji. Wystąpienie Morawieckiego na konwencji zjednoczonej prawicy można więc nazwać nowym początkiem. Tym bardziej

eprasa.pl 15af488151

gdy dołożyć do tego wizyty w różnych częściach Polski, które prawie natychmiast po konwencji nastąpiły, także z udziałem premiera i ministrów jego gabinetu. Nowy początek był potrzebny, żeby utrwaliło się przekonanie, iż Morawiecki nie jest tylko kontynuatorem Szydło. Przecież wszystkie dotychczasowe reformy, które są dobrze odbierane w społeczeństwie (przede wszystkim 500+), mają znaczek obecnej wicepremier. Sama konwencja oraz pierwsze wyjazdy ministrów i innych polityków zjednoczonej prawicy w teren dowodzą, że Szydło wciąż cieszy się sympatią i uznaniem w PiS, wciąż porywa tłumy poza partią. Tyle tylko, że teraz to ona ma pracować na markę Morawieckiego. I tak też został zaprezentowany oraz zinterpretowany jej uzupełniający „piątkę Morawieckiego" program Mama+. Najwidoczniej kierownictwo PiS uznało, że nie da się ani nie trzeba politycznie osłabiać Szydło, co działo się zarówno przed zmianą szefa rządu, jak i przez pierwszych kilka tygodni po tej zmianie.

Wymiana premiera i niektórych ministrów w styczniu 2018 r. miała zintegrować rząd i osłabić udzielne księstwa w poszczególnych resortach. Przez pierwszych kilkanaście tygodni tak się jednak nie stało, gdyż premier był zbyt zaangażowany w działania na zewnątrz Polski, w rozwiązywanie kolejnych wewnętrznych kryzysów, m.in. związanych z tłumaczeniem się z decyzji ministrów poprzedniego gabinetu oraz z nagród i premii wtedy przyznawanych. W tych pierwszych miesiącach właściwie nie było czasu, żeby zademonstrować, iż Morawiecki naprawdę rządzi i twardo egzekwuje swoje polecenia. Przez pierwszych kilkanaście tygodni premier był identyfikowany z przemówieniami podczas ważnych rocznic i upamiętniania narodowych bohaterów oraz ważnych wydarzeń historycznych. A przecież jego atutem miały być konkrety odnoszące się do współczesności, przede wszystkim dotyczące gospodarki. To nawet nie wynikało z intencji Morawieckiego, lecz ze splotu wydarzeń. Po 100 dniach funkcjonowania gabinetu było jasne, że potrzebuje on nowego impulsu, nowego początku, nowego pakietu programowego, zrozumiałego dla każdego. Dlatego powstała „piątka Morawieckiego".

WZMOCNIENIE RZĄDZĄCYCH, KŁOPOT OPOZYCJI

Promocja „piątki Morawieckiego" i tego, co jest jej uzupełnieniem (Piątka+), „ustawiła" nie tylko ministrów, lecz także parlamentarzystów i lokalnych działaczy zjednoczonej prawicy. Zaabsorbowanie nowymi zadaniami sprawia, że na dalszy plan zeszło zajmowanie się przez nich wewnętrznymi rozgrywkami i walkami o poszerzanie wpływów. Promocja wypchnęła też polityków zjednoczonej prawicy poza Warszawę, gdzie za głęboko zapuścili korzenie. Zmusiła ich do rozmowy z przeciętnymi Polakami, do wysłuchiwania ich żalów i problemów. To nie tylko kontakt z przeciętnymi ludźmi, lecz również ćwiczenie umiejętności rozmowy o konkretach, konfrontowanie się z argumentami (często niemiłymi), których w stolicy nie słyszeli albo nie musieli na nie reagować. Nic tak dobrze nie robi politykom, szczególnie rządzącym, jak konfrontacja z ludźmi w terenie. I do tego parł prezes PiS Jarosław Kaczyński, widząc w tym metodę na zajęcie się przez polityków swojej partii obywatelami i problemami, a nie samymi sobą. To miał być sposób na wygaszenie wewnętrznych konfliktów i wojenek, na zintegrowanie rządu, na zmniejszenie dążenia poszczególnych ministerstw do jak największej autonomii. I to miał być sposób na zademonstrowanie, kto tu rządzi, a rządzi przede wszystkim premier Morawiecki. Do tego potrzebny był jednak konkretny program. Te konkrety miały też mobilizować działaczy na wszystkich szczeblach, gdyż cechą tych, którzy sprawują władzę przez jakiś czas, jest przyzwyczajanie się do panowania i odcinania kuponów, a nie służenia ludziom. I „piątka Morawieckiego" nie jest jedynym oraz skończonym programem konkretów. Następne mają się pojawić we wrześniu 2018 r., gdy kampania samorządowa wejdzie w najgorętszą fazę. To wszystko ma sprawić, że wszyscy ludzie zjednoczonej prawicy będą zaangażowani w pracę, będą aktywni oraz obecni w każdej gminie i miejscowości.

> W PiS zawarto kompromis, że teraz wszyscy pracują na premiera, gdyż jeśli będzie słaby, nie poprowadzi obozu prawicy do wyborczych zwycięstw

W PiS zawarto kompromis, że teraz wszyscy pracują na premiera, gdyż jeśli będzie słaby, nie poprowadzi obozu do wyborczych zwycięstw. A i sam szef rządu ma skorzystać na tym, że będzie się zajmować konkretami oraz sprawami technicznymi. Dotychczasowe funkcjonowanie Morawieckiego w opinii publicznej z konkretami się nie wiązało lub wiązało w niewielkim stopniu. A konkrety czy sprawy techniczne są najmocniejszą stroną premiera, za to jest też najwyżej oceniany. „Piątka Morawieckiego" ma również odbudować zaufanie do władzy i wyzerować negatywne konto rządzących – poprzez odcięcie się od błędów przeszłości, obietnicę ich niepowtarzania oraz wyjątkową aktywność w terenie.

Nie bez znaczenia jest też to, że „piątka Morawieckiego" oraz inne przygotowywane konkrety są największym problemem opozycji, nieumiejącej tym konkretom przeciwstawić niczego własnego, równie uchwytnego. Jedynym konkretem była kampania PO i PSL piętnująca tych ludzi władzy, którzy otrzymali nagrody i premie. Byłaby ona skuteczna na dłuższą metę, gdyby PO i PSL były w tej kwestii bez skazy i gdyby to nie był ich jedyny program. A straszenie Polaków, że „piątka Morawieckiego" zrujnuje budżet państwa, co robi np. była wiceminister finansów Izabela Leszczyna, zupełnie nie działa, skoro nie zrujnowały budżetu czterokrotnie wyższe wydatki na program 500+.

53/0318/F

eprasa.pl 15af488151

Twoja POŻYCZKA NA START

Skorzystaj do 30.04.2018 r. ze specjalnych warunków dla nowych Klientów:

- pożyczka do **3000 zł**
- **0%** prowizji
- okres spłaty do **24 miesięcy**



Bank Pekao

Docenisz różnicę

www.pekao.com.pl

801 365 365 (opłata wg cennika operatora)

Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO) dla całkowitej kwoty pożyczki 2000 zł, zaciągniętej na okres 15 miesięcy, wynosi 6,13% przy następujących założeniach: oprocentowanie zmienne – 5,99% w stosunku rocznym, całkowity koszt kredytu – 80,79 zł (w tym odsetki – 80,79 zł), całkowita kwota do zapłaty – 2080,79 zł, płatna w 14 ratach miesięcznych po 138,72 zł, oraz ostatniej racie wyrównującej – 138,71 zł. Kwota pożyczki wynosi 2000 zł. Kwota pożyczki do wypłaty – 2000 zł. Kalkulacja została podana na podstawie przykładu reprezentatywnego wg stanu na dzień 27.03.2018 r.

Warunki dotyczą nowych Klientów, którzy złożą kompletny wniosek o udzielenie pożyczki / formularz kontaktowy do dnia 30.04.2018 r. Pożyczka nie może być przeznaczona na spłatę innych zobowiązań kredytowych zaciągniętych w Banku Pekao S.A. Bank podejmuje decyzję o udzieleniu kredytu po dokonaniu oceny zdolności kredytowej. Kredytodawcą jest Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna. Komunikat nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.

eprasa.pl 15af488151



Fot. Andrzej Wiktor

Dwa mityngi partyjne, które odbyły się 14 kwietnia, klarują nieco horyzont polskiej polityki pół roku przed wyborami samorządowymi

Ochłodzenie klimatu



JAN ROKITA

Podczas konwencji na warszawskiej Pradze obóz rządowy dość czytelnie oznajmił, że w obliczu wyborów komunalnych nie ma żadnego lepszego konceptu na umocnienie swoich wpływów niż nawrót do obdzielenia różnych grup społecznych dodatkową gotówką, narzędzia wielokrotnie już wypróbowanego. Co prawda tym razem nie jest to już gotówka tak pokaźna i okazała, jak bywało w przeszłości, ale też możliwości finansowe władzy powoli się wyczerpują, mimo ciągle wybornej europejskiej koniunktury gospodarczej. Wystarczy zauważyć, że choć w roku poprzednim rekordowo niski polski deficyt budżetowy wyniósł ledwie 1,5 proc. PKB, to zaplanowany przez premiera Mateusza Morawieckiego na ten rok jest niemal dwukrotnie wyższy. Mimo to społeczna rozpiętość adresatów dodatkowej gotówki wygląda na dość pokaźną. Począwszy od paruset tysięcy mikrofirm, poprzez rodziców dzieci szkolnych, matki z czworgiem dzieci, kobiety w ciąży i studentki z dziećmi, skończywszy na mieszkańcach polskiej prowincji, którzy jeszcze przed wyborami mają dostać porcję wyasfaltowanych dróg lokalnych.

Każda z tych grup adresatów ma teraz prawo spodziewać się jakiejś, najczęściej niewielkiej, ale jednak szybkiej i wymiernej, korzyści od państwa. Pierwszorzędnym zadaniem menedżerskim szefa rządu jest teraz to, aby wszystkie one na serio ziściły się jeszcze przed wyborami. Od tych wyraźnie przedwyborczych obietnic nieco odbiega dołączony do „piątki" przez Morawieckiego wieloletni program wydatkowania pokaźnej sumy 23 mld zł (w tym większości z funduszy UE) na poprawę dostępności nowych inwestycji dla starców i osób niedołężnych. W najbliższym czasie Morawiecki planuje ponoć wielką imprezę propagandową, mającą publicznie „zwodować" ów program, ale pochodzące zeń przyszłe beneficja nie będą mieć realnego wpływu wyborczego. Minister spraw wewnętrznych Joachim Brudziński nie pozostawia wątpliwości, że wszystkie te pomysły na obdzielanie gotówką różnych grup elektoratu stanowią kwintesencję rządowej taktyki politycznej na najbliższe pół roku. Wiemy już zatem, czego można się spodziewać po PiS przed jesiennymi wyborami.

Rozjaśniła się także przedwyborcza sytuacja opozycji, która na Foksal, w „eleganckiej" lewobrzeżnej Warszawie, poinformowała o powołaniu koalicji obywatelskiej. Już od jakiegoś czasu

eprasa.pl 15af488151

było widać, że wysiłki Grzegorza Schetyny, zmierzające do uprzejmego wymuszenia na nowym szefostwie Nowoczesnej dwupartyjnego bloku wyborczego, wcześniej czy później muszą osiągnąć swój cel. Katarzyna Lubnauer po tym, jak nieoczekiwanie przejęła szefostwo Nowoczesnej, z upodobaniem głosiła hasło suwerenności swojej partii oraz starała się o jakieś formy politycznego związku z rozproszoną (po plajcie KOD) pozaparlamentarną opozycją i antypisowskimi ruchami obywatelskimi. Można było jednak przewidzieć, że samodzielność Nowoczesnej, balansującej od czasu do czasu na granicy progu wyborczego, jest niczym innym jak przejawem nie całkiem poważnej mocarstwowej propagandy partyjnej, na którą – w jakimś sensie – nowa przywódczyni ugrupowania była przecież skazana. A każda próba szerszej konsolidacji z przeważnie mocno lewicowymi, czasami otwarcie wrogimi wobec Schetyny, ulicznymi ruchami opozycyjnymi musi napotkać stanowczy sprzeciw lidera PO.

Na co jak na co, ale na wzmacnianie wszystkich tych partyjek i ruchów, których sensem działania była strukturalna przebudowa kształtu opozycji i pozbawienie dominującej w niej roli platformowych aparatczyków, Schetyna w żadnym razie nie mógł sobie pozwolić. Po sobotniej konwencji wiemy już zatem, że Lubnauer przyjęła w końcu do wiadomości, iż jest za słaba, aby być suwerenna. A cała kotłowanina opozycji pozaparlamentarnej, ostro wspieranej niegdyś przez „Gazetę Wyborczą", intelektualistów, sędziów i aktorów, musi radzić sobie sama, więc też w jesiennych wyborach komunalnych nie odegra zapewne żadnej roli. W kategoriach przedwyborczych rozgrywek i przetasowań po stronie opozycji Schetyna może zatem mówić o taktycznym sukcesie. Jego taktyka ostentacyjnego lekceważenia ruchów pozaparlamentarnych oraz – czasem nawet prowokacyjnej – samodzielności w nominowaniu kandydatów (jak w Warszawie czy we Wrocławiu) na razie przynosi efekty. Oczywiście tylko dlatego, że wszyscy inni potencjalni alianci PO okazują się w gruncie rzeczy słabi i bezradni. Zapewne nie obędzie się jeszcze bez lokalnych skandalizujących buntów działaczy Nowoczesnej, zmuszanych do respektowania arbitralności szefa PO (jak np. już się zdarzyło w Ciechanowie), ale dla całości koalicji obywatelskiej pod wodzą Schetyny nie będzie to mieć istotnego znaczenia.

Gdy idzie więc o opozycję, mityng na Foksal jest symbolicznym zakończeniem okresu organizacyjnego zamętu i zaciętych debat o tym, jaką formę organizacyjną powinien przyjąć antypis, aby okazać się maksymalnie skuteczny. Wiadomo już, że przeciwnicy dzisiejszej władzy nie będą mieć na serio żadnego innego wyboru, jak amorficzna i aparatczykowska PO, jedną ręką przygarniająca antyklerykalną Lubnauer, a drugą mianująca na prezydenta Wrocławia ultrakatolika Kazimierza Ujazdowskiego. Oznacza to powrót do prymatu tradycyjnej, giętkiej i oportunistycznej polityki partyjnej, z wytrzebieniem na poły rewolucyjnego antypisowskiego ruchu ulicznego.

> Po konwencji PO i Nowoczesnej wiemy już, że Katarzyna Lubnauer przyjęła w końcu do wiadomości, iż jest za słaba, aby być suwerenna

Ale rozstrzygnięcia ogłoszone przez obóz rządowy podczas mityngu po drugiej stronie Wisły też jasno unaoczniają to, co się nie zdarzy w tegorocznej kampanii wyborczej po stronie PiS. Wbrew niedawnym deklaracjom Jarosława Kaczyńskiego, mówiącego (w wywiadzie dla portalu wPolityce.pl): „Cóż, nie ukrywam, że wzorujemy się na premierze Orbánie", pisowska kampania wyborcza w niczym nie będzie przypominać zwycięskiej kampanii Fideszu na Węgrzech. Orbán, który w całej Europie jest podziwiany przez polityków z jednego powodu – jako wybitny macher od demokratycznego zdobywania władzy – zrobił wszystko, aby dać swoim wybor-com poczucie żarliwej i gorącokrwistej walki z prawdziwymi albo i nawet po trosze wyimaginowanymi wrogami kraju, licząc na to, że tylko w takim ogniu walki ma szanse zyskać wymarzone kolejne przytłaczające zwycięstwo.

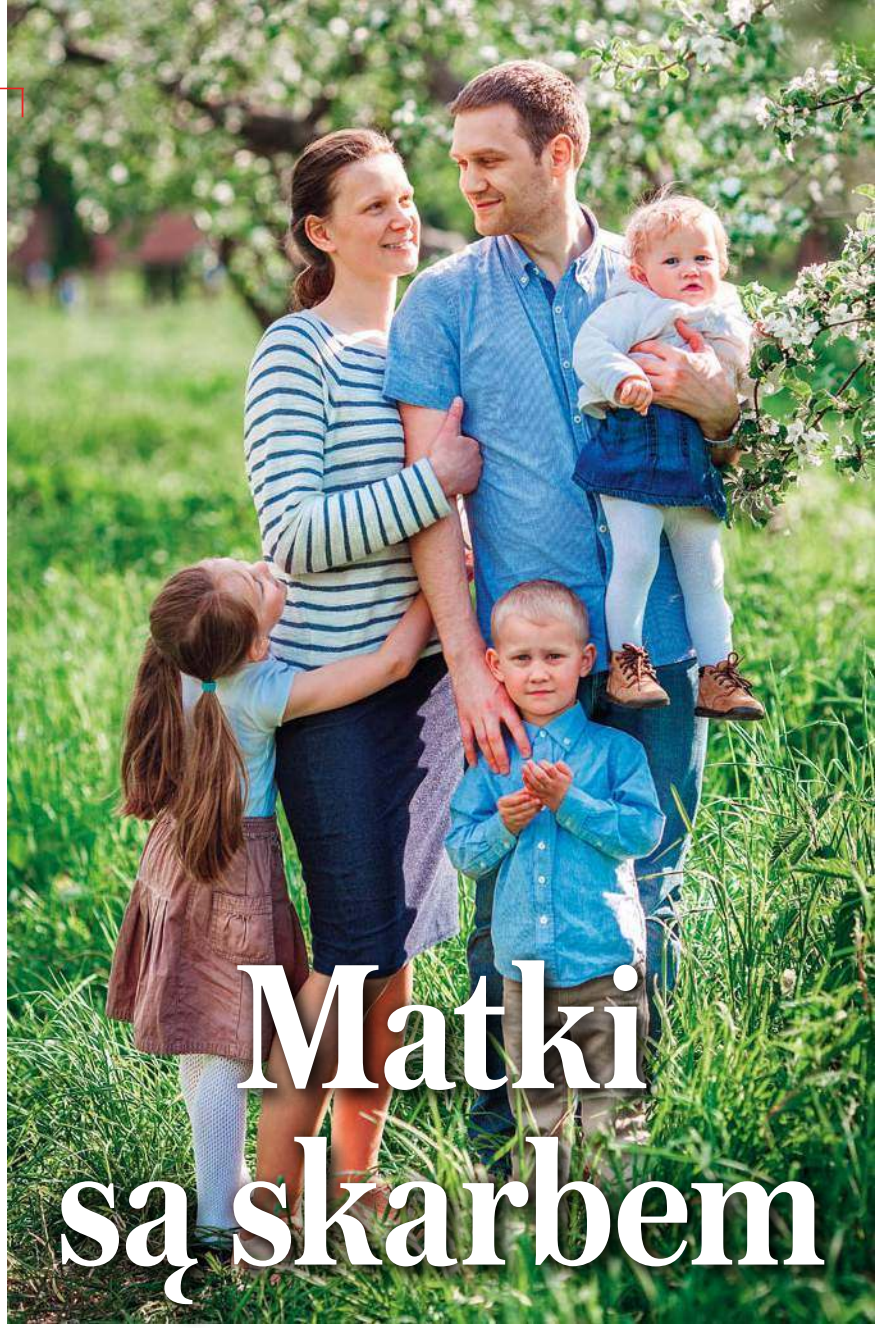
Tymczasem w Polsce społeczna sytuacja PiS jest dziś dokładnie odwrotna. Emocjonalne konflikty dwóch poprzednich lat właśnie dogasają, na większości dotychczasowych frontów rysują się jakieś kompromisy, a najbardziej zajadli bojownicy (casus Maciarewicza) są właśnie – jak złośliwie, choć nie bez racji, mówi opozycja – „wygaszani". Skończona jest batalia o sądy i trybunały, Timmermans czule obejmuje się z Morawieckim, telewizja Kurskiego ma być bardziej roztropna i umiarkowana, i nawet walka o prawdę smoleńską jakoś utknęła we mgle oraz w niejasnościach. W tych warunkach dość mizernie brzmią podczas praskiego mityngu odwetowe pohukiwania Morawieckiego, który oskarża dawną władzę (skądinąd nieprawdziwie), że jest winna „zerowemu przyrostowi" dochodów państwa z podatku CIT. Ale najwyraźniej to właśnie w tym „finansowym" kierunku PiS będzie próbowało ożywić jakieś antyplatformowe zbiorowe emocje, szykując jako przedwyborcze widowisko komisję śledczą, która miałaby udowodnić udział PO w tzw. mafii VAT-owskiej. Nie wygląda jednak na to, aby owe fachowe przesłuchania finansistów poprzedniej ekipy były w stanie faktycznie ożywić pacyfikowane ostatnio namiętności wyborców.

Oczywiście trudne do przecenienia znaczenie ma to, że pewne ochłodzenie politycznego klimatu i uspokojenie nastrojów zbiorowych może dobrze posłużyć poprawie jakości polityki państwowej. Ale mało prawdopodobne, by mogło ponieść jesienią PiS do jakiegoś większego wyborczego triumfu. Co prawda wyborcy cenią sobie władzę, która przed wyborami obdziela ich choćby nawet niewielką gotówką, ale masowo mobilizują się do jej poparcia wtedy, gdy potrafi ich ona uwieść namiętnością walki z wielkim i groźnym wrogiem. Dzisiejsze PiS tego już nie potrafi albo raczej świadomie nie chce.

eprasa.pl 15af488151



MACIEJ PAWLICKI



Matki są skarbem

Fot. Shutterstock

Emerytury dla matek to znakomity pomysł. Ale nie czworga, tylko już trojga dzieci

Spośród nowych, dobrych pomysłów rządu jeden uważam za szczególnie ważny. Wręcz kluczowy dla zatrzymania trwającej od lat i pogłębiającej się demograficznej katastrofy, której nie zawaham się nazwać powolną, dobrowolną samozagładą Polaków. Pomysł emerytur dla matek może być przełomowy. Ale został zatrzymany w połowie drogi, nawet w jednej czwartej. By odniósł efekt, musi dotyczyć matek, które wychowują/wychowały nie czworo, ale troje (lub więcej) dzieci.

Polska wymiera, i to już od 25 lat. Główny Urząd Statystyczny szacuje, że aby przestała wymierać, czyli nastąpił powrót do prostej zastępowalności pokoleń, na 100 Polek w wieku rozrodczym (tak to się niezbyt ładnie nazywa) przypadać powinno 210 urodzonych dzieci. Tymczasem jest ich dziś w Polsce niewiele ponad 130. Ze współczynnikiem 1,32 Polska była w 2015 r. na przerażającym, przedostatnim miejscu w Europie. Dla innych krajów współczynnik ten wynosił m.in.: Francja 1,96, Irlandia 1,92, Szwecja 1,85, Wielka Brytania 1,80, Czarnogóra 1,74, Dania 1,71, Litwa i Łotwa po 1,70, Finlandia 1,65, Rumunia 1,58, Czechy 1,57, Austria 1,49, Węgry 1,45. W roku 2016 współczynnik w Polsce minimalnie wzrósł do 1,36, ale to nadal wynik katastrofalny.

Bardzo niskie zarobki, brak szans na realizację życiowych aspiracji, ekonomiczna dyskryminacja i skazanie na dewastację tzw. Polski B, bezkarność łamiących polskie prawo i jawnie rabujących Polaków korporacji, a także promocja egoizmu i konsumpcjonizmu, słabo maskowane ośmieszanie i zwalczanie rodzicielstwa, jakie z wielką intensywnością odbywają się w mediach „okołogazetowyborczych", niemieckich tabloidach i magazynach kobiecych, w komercyjnych telewizjach – przyniosły upiorny efekt.

Rząd Zjednoczonej Prawicy jest pierwszym, który to rozumie i dokonuje realnych zmian, by wymieranie Polski zatrzymać. 500+ jest wielkim zwycięstwem Polaków i wielką szansą dla Polski. Ale by zatrzymać polskie wymieranie – nie wystarczy. Propozycję minimalnych emerytur dla matek trojga lub więcej dzieci złożyli posłowie Prawa i Sprawiedliwości Jerzy Gosiewski i Adam Ołdakowski. Z kongresowych przemówień premiera Morawieckiego i wicepremier Szydło dowiedzieliśmy się, że pomysł wejdzie w życie, ale dotyczyć będzie kobiet, które nie mają praw emerytalnych, a wychowały czworo lub więcej dzieci. Znakomicie, że rząd podjął sprawę, ale niedobrze, że tak bardzo chce jej zakres ograniczyć.

Nie my pierwsi. Niemcy, przerażeni niskim współczynnikiem dzietności (1,50), w roku 2017 wprowadzili podobny mechanizm (Mütterrente), który znacząco zwiększa zasiłki na dzieci dla kobiet niepracujących zawodowo. Viktor Orbán uzależnił wysokość emerytur

eprasa.pl 15af488151

od liczby wychowanych dzieci – im więcej wychowanych dzieci, tym wyższa emerytura. Mechanizmy wzmacniające emerytury matek wielodzietnych wprowadzają Francuzi, o podobnych zmianach myślą Hiszpanie i Włosi.

EMERYTURA RAFALALI

Czy aby wszyscy zdajemy sobie sprawę, kto będzie pracował na emeryturę Rafalali, Jacka Poniedziałka i Roberta Biedronia? Kto będzie pracował na emerytury wszystkich bezdzietnych, zarówno tych, którzy dzieci mieć nie chcieli i nie chcą, jak i tych, którzy nie mogli, którzy pragnęli je mieć, ale nie było im to dane? Tak, na ich emerytury będą pracowali ci, którzy dziś wychowują się w rodzinach dzietnych, zwłaszcza wielodzietnych. Im więcej dzieci wychowali matka i ojciec każdej polskiej rodziny, tym większy mają wkład nie tylko w to, że Polska jednak nie wymrze, lecz także – konkretnie, każdego miesiąca – mają udział w tym, że wszyscy uprawnieni, także bezdzietni, do końca życia otrzymywać będą swoje emerytury. Powiedzmy głośno i dobitnie: to właśnie dzięki rodzicom decydującym się na trzecie dziecko mamy szanse wszyscy mieć emerytury, a Polska ma szansę przetrwać.

Wiemy, że dziś 627 tys. polskich matek wychowuje troje lub więcej dzieci. Z tego 74 proc. (466 tys.) troje, a 26 proc.(163 tys.) czworo lub więcej. GUS informuje (dane z 2017), że aż 68 proc. matek rodzin wielodzietnych jest aktywnych zawodowo. Wnioskować więc można, że z tej grupy minimalne emerytury mieć będzie 320 tys. matek trojga dzieci, nie mieć zaś ich – około 150 tys. Zatem potrzeba dla nich ok. 150 tys. nowych minimalnych emerytur – po 1029 zł, czyli (zakładając, że nie mają żadnych okresów składkowych) 1,8 mld zł rocznie. Wobec ogromnego pozytywnego efektu społecznego, psychologicznego i ekonomicznego – koszt bardzo mały. Oczywiście doliczyć należy kobiety, które troje dzieci już wychowały, a świadczeń emerytalnych nie nabyły. Załóżmy, że będzie to podobna liczba. Zatem 3,6 mld zł kosztować może radykalna, pozytywna zmiana myślenia polskich rodzin o wielodzietności.

Jasne, że w walce o biologiczne ocalenie narodu pierwszym pytaniem jest to, czy Polki i Polacy będą decydować się na drugie dziecko, a nie poprzestawać na jedynaku/jedynaczce. Ale nie mniej ważną decyzją setek tysięcy kobiet będzie moment, w którym uznają, że muszą wracać do pracy, by zapewnić sobie choćby minimalną emeryturę. A więc zrezygnować z dziecka trzeciego. Kobiet, które niestety podjęły taką decyzję, są w Polsce miliony. I kolejne będą podejmować ją nadal.

> Proszę, niech rząd poprawi swój projekt. Niech wróci do pierwotnej idei dwóch posłów, bo to dla Polski o wiele lepsze

Jeśli radykalnie nie zmienimy społecznego trendu, będzie jeszcze gorzej, niż jest, program 500+ nie wystarczy. Jak wynika z twardych faktów demograficznych, liczebności pokoleń, Polek zdolnych rodzić dzieci będzie coraz mniej. GUS ocenia, że w roku 2050 kobiety w wieku rozrodczym będą stanowiły zaledwie 67 proc. stanu z roku 2014. Polaków będzie wtedy o 3,5 mln mniej niż dziś, będziemy też o wiele starsi.

Dlatego szczególnie ważne jest, by kobiety, które mają już dwoje dzieci, zechciały także (oraz ich mężowie, ma się rozumieć) mieć dziecko trzecie. Moim zdaniem właśnie ta różnica zadecyduje o demograficznym, ekonomicznym, narodowym i państwowym przetrwaniu i rozwoju Polski.

DRAKOŃSKI POLSKI STAŻ

By otrzymać emeryturę, wymagany staż pracy (okres oskładkowania) jest w Polsce najdłuższy w Europie. By nabyć prawa do emerytury w Szwecji, wystarczą trzy lata pracy, w Niemczech pięć lat, w Austrii Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Luksemburgu i Holandii po 10 lat, na Węgrzech, Słowacji, w Austrii, Francji, Estonii – 15 lat. W Polsce to dla mężczyzn 25 lat, dla kobiet, od niedawna, 20 lat.

Polki, które w wieku 30, 35, 40 lat decydują się na trzecie dziecko, nie mają obowiązującego w naszym kraju drakońskiego emerytalnego stażu, bo mieć go nie mogą. Podejmują więc ryzyko, że nigdy tego stażu nie uzyskają, że w wieku emerytalnym pozostaną bez prawa do emerytury. Ich decyzji nie nazwę heroiczną, bo każde kolejne dziecko jest skarbem, szczęściem i podporą na starość. Ale przecież może być inaczej, trzecie dziecko może przewlekle chorować i wymagać wieloletniej opieki uniemożliwiającej powrót matki do pracy, może wyemigrować, może nie odczuwać moralnego ani finansowego zobowiązania wobec rodziców. A nawet w najbardziej kochających się rodzinach pełne zdanie na łaskę dzieci odbiera starym rodzicom choćby skrawek niezależności i część poczucia godności.

Przypomnę, że chodzi zaledwie o uzupełnienie świadczeń do emerytury najniższej, o 1029 zł brutto. Minimum szans na przeżycie. A jednak, mimo że tak niska, już ta suma daje poczucie godności, zapewnia minimum bezpieczeństwa, niezależności, podmiotowości. Setki tysięcy Polek, które dały Polsce troje dzieci, nie ma praw do nawet minimalnej emerytury.

Zapewnienie emerytury dla matek co najmniej trojga dzieci da setkom tysięcy wahających się Polek bardzo mocny argument, by po dziecku drugim zdecydować się na dziecko trzecie. Proszę więc, niech rząd poprawi swój projekt. Niech wróci do pierwotnej idei dwóch posłów, bo to dla Polski o wiele lepsze – na dziś, politycznie, jako kolejna bardzo dobra zmiana, ale przede wszystkim w perspektywie strategicznej. A ten rząd o niej myśli bardzo poważnie.

Dzieci są wielkim polskim skarbem. Ale jeszcze większym polskim skarbem są polskie matki – trojga i więcej dzieci. Są skarbem z przyczyn duchowych i etycznych, ale także z powodów czysto ekonomicznych. Polska musi pozwolić sobie na to, by je za ten piękny trud choćby minimalnie wynagrodzić. I do niego zachęcać.

eprasa.pl 15af488151



Kiedy ujawniono, że z konta Fundacji Czartoryskich zniknęło ponad 100 mln euro, wybuchł skandal. Odżyły wątpliwości: czy kupno kolekcji przez polski rząd było transakcją stulecia, czy raczej marnowaniem pieniędzy na coś, czym i tak dysponowaliśmy?

Fot. M. Lasyk/REPORTER

Dama z gronostajem, arystokraci bez masek



MAJA NARBUTT

Coraz więcej detali świadczy o tym, że walka o kolekcję była ostrzejsza, niż sądziliśmy, i nic nie było pewne. Z naszych informacji wynika, że Czartoryski od kilku lat poprzez międzynarodowe kancelarie prawne starał się rozwiązać fundację. Bał się jednak, że rząd wprowadzi do niej zarząd komisaryczny.

Trzy lata temu Karol Adam Czartoryski pojawił się w Paryżu w renomowanej kancelarii Gide Loyrette Nouel. Starał się dowiedzieć, jak rozwiązać Fundację Czartoryskich i stać się bezpośrednim właścicielem bezcennych dzieł sztuki. Przeżył rozczarowanie. Usłyszał, że raczej nie da się tego zrobić. Był jednak zdeterminowany. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że będzie szukał innych prawników, nowych rozwiązań i desperacko walczył o pieniądze.

– Nie jestem zdziwiony rozwojem sytuacji, choć mnie ona brzydzi. Zero zdziwienia, mówiąc kolokwialnie. Od początku było oczywiste, że Czartoryskiemu chodzi o pieniądze. Sprzedając kolekcję, od razu domagał się, by przelano je na jego konto – mówi prof. Marian Wolski, były prezes fundacji, który podał się do dymisji w grudniu 2016 r., twierdząc, że utracił zaufanie do fundatora.

Opowiada ciekawe rzeczy – wynika z nich, że zanim doszło do transakcji

eprasa.pl 15af488151

Książę Adam Karol Czartoryski z córką Tamarą Laurą Czartoryską, z żoną Josette Calil

z polskim rządem, Czartoryskim targały silne emocje. Bał się, że wpadnie w pułapkę. Wolski brał też pod uwagę podobną możliwość. Dwukrotnie pośredniczył na prośbę Czartoryskiego w przygotowaniach do spotkania z wicepremierem Glińskim. Niepokoiło go to, że miało się odbyć bez zarządu, bez zaufanego tłumacza Czartoryskiego, a w dodatku nie w ministerstwie, lecz w restauracji na Saskiej Kępie.

– Nie ukrywam, że bałem się prowokacji, nagrywania rozmowy i sprowadzenia jej na takie tory, że Czartoryski powie coś niezręcznego, co stanie się pretekstem do wprowadzenia w fundacji zarządu komisarycznego i jej bezkosztowego przejęcia – ujawnia Wolski.

Ostatecznie Sejm przegłosował uruchomienie rezerwy budżetowej, rząd kolekcję kupił. Za 100 mln euro. Podpisanie transakcji było możliwe, bo do zarządu weszło dwóch nowych członków – Maciej Radziwiłł i Jan Lubomirski-Lanckoroński – którzy razem z Czartoryskim złożyli podpisy na akcie sprzedaży.

Niedawno się okazało, że Fundacja Czartoryskich została postawiona w stan likwidacji, a jej środki przetransferowane do Liechtensteinu na konto nowo powołanej fundacji Le Jour Viendra, która ma się zajmować działalnością charytatywną. Teoretycznie jest to zgodne z prawem, ale dla wielu było to zaskoczeniem – zwłaszcza dla tych, którzy nie znali motywów Adama Karola Czartoryskiego.

Paradoksalnie jest to jeszcze jeden argument świadczący o tym, że należało kupić kolekcję i całkowicie odsunąć ją od wpływów Czartoryskiego.

KSIĄŻĘCE KAPRYSY

– Przykre, że kupno kolekcji Czartoryskich staje się znów przedmiotem politycznych rozgrywek. A przecież historia z rozwiązaniem fundacji nie powinna przyćmić radości z tego, że wreszcie mamy tę niezwykłą kolekcję dzieł sztuki na własność. Jeśli ktoś twierdzi, że kupiliśmy coś, co i tak kontrolowaliśmy, to się myli. Wiem o tym najlepiej, podobnie jak inni muzealnicy – mówi Zofia Gołubiew, wieloletnia dyrektor krakowskiego Muzeum Narodowego.

Wiele razy przekonywała się, jak bezradne było państwo polskie wobec woli, a nawet kaprysów fundatora Adama Karola Czartoryskiego. – Nie liczyły się dla niego żadne ustalenia. Przed wypożyczeniem „Damy z gronostajem" na wystawy w Madrycie, Berlinie i Londynie uroczyście podpisał w krakowskich Sukiennicach memorandum, a potem złamał wszystkie jego punkty. Nie pozwolił na przykład, by obraz po powrocie do kraju szczegółowo przebadali konserwatorzy – wspomina Zofia Gołubiew.

Najcenniejszy obraz znajdujący się w polskich zbiorach, namalowany przez Leonarda da Vinci portret Cecylii Gallerani, kochanki księcia Ludwika Sforzy, znany jako „Dama z gronostajem", był od początku istnienia Fundacji Czartoryskich przedmiotem kontrowersji. Podróżował po świecie, przynosząc organizacji zyski. Sumy, za jakie go wypożyczano, były objęte tajemnicą handlową.

Zachowywano oczywiście wszelkie środki ostrożności – ubezpieczone na 300 mln euro arcydzieło przewożono w specjalnej kasecie, nigdy w luku bagażowym samolotu, ale na siedzeniu klasy biznes. Przed każdym wypożyczeniem wydelegowany pracownik Muzeum Narodowego w Krakowie sprawdzał systemy alarmowe placówki, w której obraz miał być eksponowany, liczbę i wyszkolenie strażników.

Problem polega na tym, że namalowany na cienkiej orzechowej desce obraz podróżować nie powinien. Konserwatorzy obawiali się, że zmiany warunków atmosferycznych doprowadzą do mikrouszkodzeń. Na jego powrót czekano zawsze z niepokojem.

Ale nawet kiedy „Dama z gronostajem" była w Polsce, wcale nie oznaczało to, że można ją oglądać. Przez sześć długich lat takiej możliwości nie było. Trwał remont muzeum Czartoryskich, a Adam Karol Czartoryski nie chciał, by obraz Leonarda da Vinci pokazywano w Muzeum Narodowym. W końcu zgodził się na Wawel – gdy ówczesny minister kultury Bogdan Zdrojewski zasilił konto fundacji milionową dotacją.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby Czartoryski się uparł, mógłby zdecydować, iż chociaż arcydzieło Leonarda da Vinci nie opuści Polski – na co potrzebna była każdorazowo zgoda Ministerstwa Kultury – to jednak znajdzie się w miejscu, w którym oglądać je będą mogli bardzo nieliczni.

– Pamiętajmy, że zbiory kolekcji Czartoryskich przed transakcją kupna nie należały do narodu ani państwa polskiego. One były tylko udostępniane przez prywatną fundację. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: znajomy pozwala nam zawiesić w naszym mieszkaniu obraz, który do niego należy. Nie znaczy to, że jesteśmy właścicielami. Musimy się też liczyć z sytuacją, że w każdej chwili znajomy może stwierdzić, iż obraz będzie wisieć w innym miejscu – mówi dr hab. Andrzej Betlej, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie.

Jak podkreśla, nie ma też żadnego dokumentu, który potwierdzałby, że założycielka kolekcji, księżna Izabela Czartoryska, podarowała ją wszystkim Polakom. Piękne sformułowania o oddaniu w wieczystą służbę narodowi nigdy nie wykluczały własności prywatnej.

Po II wojnie światowej kolekcja Czartoryskich nie została znacjonalizowana, traktowano ją jako depozyt powierzony Muzeum Narodowemu.

Kiedy w 1991 r. Karol Adam Czartoryski powołał fundację, która miała czuwać nad zbiorami, wydawało się to idealnym rozwiązaniem. Dostał nawet wysokie odznaczenie państwowe od ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsy. Ale już wkrótce zaczęły się problemy. Diabeł jak zawsze tkwił w szczegółach – państwo polskie nie zadbało wówczas, by umowa o powołaniu fundacji była precyzyjna i ograniczała możliwość zmian.

– Wystarczyło, by fundator wyraził taką wolę i zmieniał się zarząd. Zmieniano też statut, coraz bardziej rozluźniając związki z instytucjami państwowymi – mówi dyrektor Andrzej Betlej. Wbrew obiegowej opinii nic nie było trwałe i po wsze czasy, nawet umowa depozytowa z Muzeum Narodowym mogła być w każdej chwili wypowiedziana.

O starciach przedstawicieli muzeum z Czartoryskim krążyły w Krakowie legendy. Nie tylko zresztą Czartoryski traktował ich trochę jak służbę, która

eprasa.pl 15af488151

powinna się nagiąć do jego wymagań. Ten wielkopański styl udzielał się zarządowi fundacji, obsadzanemu przez członków spokrewnionej z Czartoryskimi arystokracji i ziemiaństwa.

Obowiązki i przywileje po stronie państwa polskiego i fundacji nie były rozdzielone sprawiedliwie. Państwo miało płacić, także za pomieszczenia fundacji, zapewniać konserwację obiektów, otrzymując w zamian coraz mniej.

I mogło być tylko gorzej. Bo przecież należało się spodziewać, że po 77-letnim Adamie Karolu Czartoryskim kontrolę nad fundacją przejmie w końcu ktoś inny. A wtedy możliwe byłyby różne scenariusze.

SERIAL Z ŻYCIA WYŻSZYCH SFER

– Kiedy Adam Karol przeszedłby do lepszego świata, pojawiłby się problem, kto stanie na czele fundacji. Należy sądzić, że gdyby był ciężko chory i poprosił członków rady nadzorczej, by fundacją pokierowała jego żona Josette, spełniliby tę prośbę – uważa Maciej Radziwiłł.

Nie chce spekulować, co oznaczałoby to dla fundacji, jednak zgodnie z opinią osób, które znają Czartoryskich, niosłoby to z sobą spore zmiany. Josette Calil, z pochodzenia Libanka, uchodzi za kobietę o luksusowych upodobaniach. Nie ma też powodu, by żywić jakieś sentymenty do Polski, więc zapewne jej negocjacje z polskim Ministerstwem Kultury byłyby bardziej zaciekłe.

Nieoczekiwanie rodzinne perypetie Czartoryskich znalazły się w kręgu zainteresowań polskiej opinii publicznej, a nawet polityków. Wszystko za sprawą jedynej córki Adama Karola, Tamary, która nadesłała do polskich mediów kilka bulwersujących oświadczeń. Bez ogródek oskarżyła ojca, że od początku miał plan, jak zlikwidować Fundację Czartoryskich i wyprowadzić z Polski 100 mln euro plus VAT, które fundacja dostała od polskiego rządu. Nie szczędziła przy tym barwnych szczegółów. Oznajmiła, że ojciec oświadczył, iż nienawidzi Polski i Polaków, a „jego libańska żona" mówiła, że nie można ufać Polakom oraz że po sprzedaniu kolekcji wreszcie będą żyć jak miliarderzy.

– Nie sądzę, by Adam Karol rzeczywiście mówił, że nienawidzi naszego kraju, choć często skarżył się na polską pogodę. Jeśli chodzi o Josette, to to zdanie jest rzeczywiście w jej stylu – uważa jeden z ich znajomych.

Związki Adama Karola Czartoryskiego, jedynego potomka starszej linii Czartoryskich, z Polską są dość luźne. Może byłoby inaczej, gdyby nie to, że jego ojciec zmarł, gdy Adam Karol miał zaledwie sześć lat. W tradycjach hiszpańskiego dworu królewskiego wychowywała go matka, Maria de los Dolores Burbon.

> Jedna rzecz nie ulega jednak wątpliwości – suma, jaką zapłaciło państwo polskie za kolekcję Czartoryskich, to nieznaczny ułamek jej wartości

– Matka chciała, by miał kontakt z polską tradycją. Opowiadał mi wzruszającą historię: przed Wielkanocą malowała zawsze w Sewilli dla syna pisanki – opowiada Marian Wolski.

Malowanie pisanek to zdecydowanie za mało, by wyrobić narodową tożsamość. To, że potomek Izabeli z Flemingów Czartoryskiej nie identyfikował się z Polską, może być oczywiście przykre, ale należy to przyjąć do wiadomości. Podobnie jak to, że uznał, iż Fundacja Czartoryskich jest dla niego sposobem na zdobywanie środków do życia.

– W pewnym momencie był praktycznie bankrutem. Utrzymywał się więc z wypożyczania eksponatów z kolekcji, a także oczywiście z Hotelu Polskiego w Krakowie, który jest jego własnością – mówi znajomy arystokraty.

To w kręgach towarzyskich, w których obracał się Czartoryski, było tajemnicą poliszynela, choć nie wszyscy wiedzieli, że poprzedni zarząd fundacji zastanawiał się nawet nad przeznaczeniem gmachu muzeum Czartoryskich na cele hotelowe.

UBEZWŁASNOWOLNIĆ OJCA

Motywy działania Czartoryskiego były więc jasne i proste, ale błędem jest uwierzenie w wersję Tamary Czartoryskiej – że to ona stoi na straży moralności oraz etosu rodzinnego. Jej spór z ojcem, który nieoczekiwanie zaczął być rozgrywany na łamach polskich gazet i plotkarskich portali, miał zupełnie prozaiczne podłoże.

– To wszystko bardzo smutne. Mógłbym powiedzieć o niej wiele przykrych rzeczy, przenoszenie konfliktów rodzinnych do mediów jest naganne w każdej sytuacji, wypowiedzi o ojcu nie przynoszą jej chluby, a cytowanie wyrwanych z kontekstu fragmentów prywatnej korespondencji jest nie do przyjęcia – komentuje Radziwiłł.

W kręgu znajomych Czartoryskich mówi się, że w pewnym momencie Tamara chciała ojca ubezwłasnowolnić, twierdząc, że ma on alzheimera. Wypłacałaby mu wówczas rentę, a sama przejęła kontrolę nad finansami. Nie była w tym konsekwentna, bo równocześnie dawała ojcu do podpisu korzystne dla siebie dokumenty.

Być może właśnie te zabiegi Tamary miał na myśli Radziwiłł, gdy zagroził jej, że jeśli nie zaprzestanie swej medialnej kampanii, to upubliczni fakty, które zrujnują jej wiarygodność.

Tamara Czartoryska wpadła we wściekłość, gdy się okazało, że nie ma dla niej miejsca w zarządzie założonej w Liechtensteinie fundacji Le Jour Viendra. Zaczęła wywierać presję, a w końcu publicznie oskarżać ojca, eskalując konflikt.

– Spaliła za sobą wszystkie mosty, godzi się z tym, że już się z ojcem nie spotka. W tle oczywiście są też dawne zaszłości, niechęć do macochy – mówi znajomy Czartoryskich.

Nie ma sensu robić strażniczki honoru Czartoryskich z bohaterki reality show, która uczyła Amerykanki, „jak zostać księżniczką", pozowała na ściankach i grała małe role w drugorzędnych produkcjach filmowych. A jednak nie-

59/0318/F

eprasa.pl 15af488151

które jej argumenty trafiają do wyobraźni. A to, co się stało po sprzedaży kolekcji Czartoryskich, może budzić wątpliwości, a nawet niesmak.

Nawe jeśli wytransferowanie funduszy do Liechtensteinu i przekazanie ich nowej fundacji było zgodne z prawem, to nie jest to rozwiązanie, które może się podobać opinii publicznej. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że Liechtenstein ma opinię raju podatkowego.

– Zdecydowały względy praktyczne. Karol Adam Czartoryski żyje pomiędzy Libanem, Madrytem, Peru a Monako. Fundacjami zarejestrowanymi w Liechtensteinie można zarządzać zdalnie, decyzje mogą zapadać bez konieczności brania udziału w posiedzeniach. W Liechtensteinie zarejestrowane są fundacja Ciechanowieckich oraz inne działające w Polsce fundacje charytatywne i nie budziło to niczyjego oburzenia – twierdzi Radziwiłł.

Nie do końca brzmi to przekonująco. Wątpliwości może też budzić fakt, że z nowej fundacji przekazano już środki na trzy inne fundacje, związane z polskimi arystokratami. Pieniądze wpłynęły m.in. na konto Fundacji Trzy Trąby, związanej właśnie z Maciejem Radziwiłłem, a także fundacji Jana Lubomirskiego-Lanckorońskiego. Ponieważ obaj panowie rzutem na taśmę pod koniec 2016 r. weszli do zarządu Fundacji Czartoryskich i ich podpis umożliwił sprzedaż kolekcji, sprawia to wrażenie, jakby dostali swój kawałek tortu.

Jedna rzecz nie ulega jednak wątpliwości – suma, jaką zapłaciło państwo polskie za kolekcję Czartoryskich, to nieznaczny ułamek jej wartości. Bo przecież kolekcja oprócz „Damy z gronostajem", która stała się jej symbolem, to 86 tys. cennych eksponatów, w tym obraz Rembrandta „Pejzaż z miłosiernym Samarytaninem". A także 250 tys. starodruków i rękopisów o niezwykłym znaczeniu dla polskiej historii, jak akt hołdu pruskiego, akt unii polsko-litewskiej w Horodle czy rękopisy Kronik Długosza. Nie wspominając już o nieruchomościach, które także przejął skarb państwa, oraz gwarancji, że jeśli odnajdzie się zaginiony w czasie wojny z kolekcji Czartoryskich portret młodzieńca Rafaela, to też stanie się własnością państwa polskiego.

– To smutne, iż nie potrafimy się cieszyć z tego, że kolekcja Czartoryskich należy w końcu nie do prywatnej fundacji, ale do wszystkich Polaków. Kiedyś byłoby to olbrzymie, niezwykłe wydarzenie. Nie wątpię, że tak traktowano by to jeszcze w czasach mego dzieciństwa. Ale w epoce „Tańca z gwiazdami" nie chcemy w ogóle zrozumieć, co ten zakup oznacza dla polskiej kultury – uważa była dyrektor Muzeum Narodowego Zofia Gołubiew.

Może uświadomimy sobie wagę tego wydarzenia, gdy za kilkanaście miesięcy remontowane przez państwo muzeum Czartoryskich otworzy znów swe podwoje. A my zobaczymy upchnięte przez lata w magazynach czy rozproszone po innych obiektach bezcenne eksponaty i będzie to prawdziwe narodowe święto.

REKLAMA

FUNDACJA WSPIERANIA
UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

TUW-y dla samorządów

Wiele samorządów chcąc najlepiej wykorzystać własny budżet, zweryfikowało swoją politykę w kwestii ubezpieczeń i skorzystało z oferty towarzystw ubezpieczeń wzajemnych (TUW).

Coraz częściej słyszymy o korzyściach, jakie mogą odnosić samorządy terytorialne, korzystając z oferty TUW-ów. Polegają one przede wszystkim na oszczędnościach, które wynikają z niższych składek. – TUW-y są wolne od konieczności osiągnięcia zysku, który zadowoliłby akcjonariuszy – jak jest w przypadku towarzystw działających w formie spółki akcyjnej – wyjaśnia Jarosław Bierecki, prezes FWUW. – Brak wymogu osiągnięcia odpowiedniego zysku wpływa na kalkulację składki. W TUW-ie składka na ubezpieczenie ma wystarczyć na pokrycie kosztów odszkodowań i świadczeń oraz kosztów związanych z działalnością zakładu. Pomija się tutaj zysk, który jeżeli zostanie wypracowany, i tak zostaje w TUW-ie.

Pochodną charakteru działalności TUW-ów jest też ograniczenie kosztów związanych z reasekuracją, czyli przerzucaniem części ryzyka, jakie zakład ubezpieczeń za opłatą przenosi na inną instytucję finansową. W TUW taki niedobór, powstały na skutek ujemnego wyniku, może być uzupełniony przez dopłaty członków. – Obowiązek taki powstaje dopiero wtedy, kiedy likwidacja szkód jest wyższa niż wpływy ze składek członków TUW-u – wyjaśnia Jarosław Bierecki. – A więc taka sytuacja nie musi nastąpić. Nie słyszałem w sumie o przypadku, by jakiś TUW wystąpił do członków o dopłaty. Towarzystwa wzajemne najczęściej rezygnują z tego przywileju. Jeżeli chodzi o ubezpieczycieli komercyjnych, to ich składki mają już wliczony koszt reasekuracji.

Bardzo ważne dla samorządu jest to, że TUW to nie tylko możliwości skorzystania z oferty ubezpieczeniowej na analogicznych zasadach jak u komercyjnego ubezpieczyciela. Taki samorząd może mieć swój własny TUW, w którym będzie ubezpieczony on, a także jednostki mu podległe. – Oznacza to konsolidację podmiotów w jednym zakładzie ubezpieczeniowym, co z kolei przekłada się na możliwość pełnej kontroli nad wydatkami na ubezpieczenia oraz nad właściwym zakresem ochrony ubezpieczeniowej – dodaje prezes FWUW. – Dzięki temu obniża się nie tylko wydatki związane z obsługą ubezpieczeń, lecz także unika dublowania ubezpieczeń w ramach samorządu. Ważne jest również, że taki samorządowy TUW może z łatwością pozyskiwać dodatkowe środki z funduszu prewencyjnego, który jest tworzony na poczet finansowania działań mających zapobiegać powstawaniu szkód. Fundusz taki tworzony jest z 1 proc. wpłaconych składek – a to są niemałe kwoty, którymi można sfinansować np. zabezpieczenie posiadanego majątku – wyjaśnia Jarosław Bierecki.



Jarosław Bierecki, prezes FWUW

eprasa.pl 15af488151

Niemcy też mogli nas zdradzić



Fot. Andrzej Wiktor

W '39 długofalowo lepsza dla nas była ewentualność, w której byliśmy oszukanym partnerem Zachodu niż jakakolwiek inna

Z Piotrem Gursztynem, autorem książki „Ribbentrop–Beck. Czy pakt Polska–Niemcy był możliwy?" rozmawia Piotr Skwieciński

W swej nowej książce próbujesz przekonać Polaków, że to, co się z nimi stało w czasie wojny, nie było wcale najgorszym rozwiązaniem, że choć alianci nas zdradzili, uniknęliśmy gorszego losu. Ambitne zadanie. Prawie wszyscy są przekonani, że gorzej być nie mogło.

Piotr Gursztyn: A jednak mogło, i to na kilka sposobów. Przy czym kluczowa była decyzja ówczesnych rządzących, aby nie przyjmować niemieckich propozycji, tylko walczyć. Gdyby nie to, byłoby z nami z pewnością znacznie gorzej niż w znanej nam rzeczywistości.

Jak to, nie podbilibyśmy wraz z Niemcami Rosji? – zapytam ironicznie.

Mógłbym na to odpowiedzieć cytatem z płk. Becka, który już po klęsce wrześniowej powiedział, że wtedy pasalibyśmy na uralskich pastwiskach krowy Hitlera. Ale to tylko jedna ewentualność. Uważam za prawdopodobne to, że kiedy Niemcy już rozbiliby sojusz polsko-francuski i uzależnili od siebie osamotnioną Polskę, wtedy wcale by na Rosję nie uderzyli, tylko cynicznie sprzedali jej nasze Kresy, aby w ten sposób zabezpieczyć sobie radziecką neutralność przed uderzeniem na Zachód.

A jeśliby jednak napadli na Związek Radziecki, to Anglicy i Francuzi, a w jakiejś perspektywie również Amerykanie, i tak zawarliby sojusz ze Stalinem, nie dali Rosji zginąć i razem z nią ostatecznie zniszczyliby Rzeszę. Wraz z jej satelitami, czyli z Polską. Ale rewizjonista powiedziałby: no i co z tego, stracilibyśmy mniej ludzi, a Ziemie Odzyskane i tak byśmy dostali.

To wątpliwe, byśmy je dostali. Coś jednak wynikało z faktu, że alianci mieli wobec nas przynajmniej formalne zobowiązania, i od Teheranu aż do Poczdamu trzeba było choćby dla pozoru w jakiś sposób próbować Polsce wynagradzać. Poza tym komunizacja naszego kraju, będącego pokonanym sojusznikiem Niemiec, byłaby szybsza i bardziej brutalna niż ta, której doznaliśmy.

Tu można by się powołać na przykład Węgier, gdzie stalinizm miał przebieg, według wszelkich obiektywnych wskaźników (np. odsetka więźniów w całej populacji kraju), znacznie bardziej bezwzględny niż w Polsce.

Ja posługuję się przykładem Rumunii. Też sojusznika Niemiec, który w dodatku Niemcy zdradził. A komunizm rumuński, który przed wojną był jeszcze bardziej marginalny niż polski, po wojnie okazał się wielokrotnie bardziej brutalny. Przy czym to jest również efekt złamania ducha narodu nie tylko przez klęskę w wojnie, lecz także przez dwie poprzednie kapitulacje bez walki – przez ZSRR, który w 1940 r. zażądał i otrzymał rumuńskie Besarabię oraz Bu-

eprasa.pl 15af488151

kowinę, i przed decyzją Niemiec, które w tymże roku nakazały Bukaresztowi oddać Węgrom połowę Siedmiogrodu. I Rumuni wykonali to. Co wywarło potężne, długofalowe, negatywne skutki psychologiczne na ten naród.

Mnie w rozumowaniu rewizjonistów uderza, że zupełnie tego czynnika nie dostrzegają. Że według nich można doznać potężnego poniżenia, a potem być mniej więcej tym samym, czym było się przedtem. Nie da się, psychologia społeczna tak działa. Rewizjoniści nie dostrzegają tego, że podjęcie uważanych przez nich za lepsze decyzji uruchomiłoby różne dynamiki. I nie byłoby tak, żebyśmy po tym wszystkim byli jako zbiorowość tacy jak przedtem czy też tacy, jakimi staliśmy się w znanej nam rzeczywistości. Ale na wszystkie zastrzeżenia rewizjoniści odpowiadają: nie ponieślibyśmy tak ogromnych strat, a w odpowiednim momencie zręcznie przeskoczylibyśmy do obozu aliantów...

To przeskoczenie nie byłoby możliwe. Bylibyśmy położeni w zbyt newralgicznym dla Niemców punkcie, na najważniejszych liniach komunikacyjnych wiodących na front, aby na to pozwolili. Tym bardziej że tak jak we wszystkich krajach sojusznikach Rzeszy pojawiłyby się z pewnością również u nas siły polityczne konkurujące z polskim rządem o przychylność Niemców. Starające się wykazać, że w odróżnieniu od rządu, tego trwającego od czasów przedwojennych, są prawdziwie narodowosocjalistyczne i lepiej od niego rozumieją „ducha Nowej Europy". Na przykład jeśli chodzi o antysemityzm i o to, czy unikać, czy nie unikać bezpośredniego polskiego udziału w eksterminacji Żydów. I gdyby tylko polski rząd spróbował zmiany przymierzy, Niemcy interweniowaliby zbrojnie, i zapewne intronizowaliby rząd polskich faszystów, tak jak to zrobili na Węgrzech.

I to ci zwasalizowani wobec Niemiec polscy faszyści by rządzili?

O ile rządziłby ktokolwiek. Bo całkiem prawdopodobne, że w istocie nie rządziłby nikt, gdyż Polska byłaby objęta wojną domową.

Między kim a kim?

Oprócz polskiego państwa, przejętego przez siły już jawnie proniemieckie i odsuniętych przez nie od władzy polityków sanacyjnych, widzę jeszcze dwa ośrodki, które mogłyby być potężne i w tej wojnie domowej uczestniczyć. Pierwszy to podziemie prozachodnie. Bo gdyby w '39 roku władze zdecydowały się przyjąć niemieckie żądania, odbyłoby się to wbrew ugruntowanym i emocjonalnie przejawianym nastrojom zdecydowanej większości narodu, w tym wojska.

W podobnej sytuacji trzy lata później, w Jugosławii, siły antyniemieckie z pomocą tajnych służb Anglii i Rosji przeprowadziły przewrót i obaliły rząd, który wszedł w sojusz z Rzeszą. I u nas mogłoby się tak stać.

A nawet gdyby tak się nie stało w '39 roku, to z pewnością powstałoby antyniemieckie i antyrządowe podziemie, powiązane z Paryżem i Londynem. Gdzie zresztą zapewne, pod skrzydłami aliantów powstałby jakiś emigracyjny komitet polityczny, aspirujący do roli rządu na uchodźstwie.

Całkiem możliwe, że z gen. Sikorskim na czele.

To podziemie...

...nazwijmy je „londyńskie"...

...byłoby z pewnością bardzo popularne, bo już przed '39 rokiem nastroje antyniemieckie były niezwykle silne. A w czasie wojny, kiedy przez Polskę przetaczałyby się fale Wehrmachtu, te emocje jeszcze by urosły. Nawet gdyby do momentu ewentualnej próby przejścia Polski do obozu alianckiego czy – skromniej – wyjścia naszego kraju z wojny Niemcy jeszcze nie zmusiliby Warszawy do oddania im Pomorza i Śląska.

Rumunii status sojusznika Rzeszy nie uchronił przed stratami terytorialnymi na rzecz innego sojusznika Rzeszy, podobnie rządzonej przez Mussoliniego Republiki Salo – tu już na rzecz samych Niemiec. A emocjonalne związki Niemców z zachodnimi terenami Polski były znacznie potężniejsze, więc i ich pokusy silniejsze, zwłaszcza kiedy nasz kraj byłby już od Berlina uzależniony.

To wszystko tworzyłoby warunki dla wojny domowej, zwłaszcza że byłby jeszcze jeden potężny ośrodek, skonfliktowany z wszystkimi innymi, czyli komuniści. W tym wariancie historii alternatywnej, który omawiamy, mogliby oni stać się w Polsce siłą nieporównywalną do tej, którą stanowili w znanej nam rzeczywistości. Zauważmy: Związek Radziecki nie byłby skompromitowany Katyniem, bo Katynia by przecież nie było, podobnie jak nie byłoby wywózek Polaków na Sybir, bo przecież nie byłoby zajęcia Kresów 17 września.

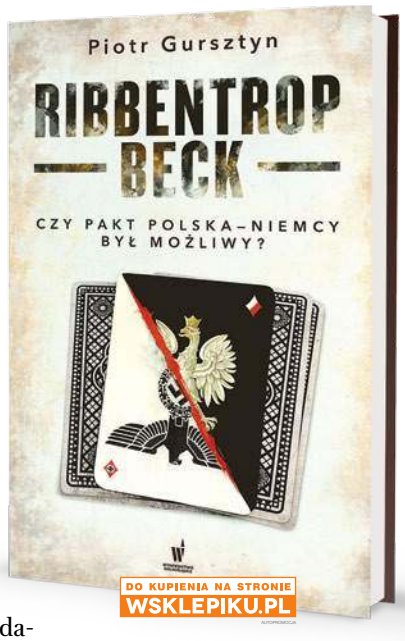
Popularność jugosłowiańskich komunistów wzrosła skokowo, kiedy rząd w Belgradzie skapitulował przed Niemcami, i to komuniści zaczęli organizować opór.

W efekcie teren Polski stałby się obszarem anarchii i wojny wszystkich z wszystkimi. Przy czym działalność komunistów i podziemia „londyńskiego" pacyfikowana byłaby przez karne ekspedycje niemieckie, a w warunkach wojny domowej mogłoby to przybrać zasięg jeszcze większy niż w znanej nam rzeczywistości. Może na początku, zaraz po wyrażeniu zgody na niemieckie żądania, byłoby Polakom lepiej, za to potem nastąpiłyby brutalna okupacja i terror na pewno nie mniejszy niż ten, którego ofiarami byli nasi dziadkowie. A jednocześnie Wojsko Polskie wykrwawiałoby się na Wschodzie, ponosząc straty w wysokości charakterystycznej dla tego frontu. Dla mnie otwarte pozostaje pytanie, czy w efekcie tego wszystkiego ponieślibyśmy straty mniejsze niż w rzeczywistości? Ale nawet gdyby trochę mniejsze, to i tak teraz Polaków byłoby mniej, niż jest ich obecnie.

Dlaczego?

Dlatego, że mogłoby nie być powojennego boomu demograficznego.

eprasa.pl 15af488151



Przecież on był spowodowany przez dążenie do kompensacji strat, przez to, że przez parę lat Polacy rozmnażali się w mniejszym stopniu niż przed wojną. Ten korek musiał zostać wypchnięty z butelki.

Nie do końca, to by nie wystarczyło. Wielką rolę odegrał sam fakt, że bezpośrednio po wojnie były warunki do posiadania dzieci. Bo było gdzie je mieć, bo były Ziemie Odzyskane. A gdybyśmy poszli z Niemcami, tych terenów by nie było i na obszarze przedwrześniowej Polski centralnej oraz zachodniej musiałoby się zmieścić jeszcze kilka milionów Polaków zza Buga. Decyzje reprodukcyjne byłyby wówczas trudniejsze. Jest też taki czynnik, którzy Francuzi nazwali élan vital – pęd życiowy, siła nadająca dynamizm. Kapitulacja złamałaby polską élan vital, to miałoby też negatywny efekt w przyroście naturalnym. I nie tylko. Również w całościowej postawie polskiego społeczeństwa. Przecież Polacy buntowali się przeciw PRL-owskiej niewoli. Twierdzę, że gdyby w '39 skapitulowali, toby się nie buntowali. Bo nawet te polskie zrywy, które nazywa się buntami na początku niepolitycznymi, o kiełbasę, miały u podstaw postawę godnościową. Ta kiełbasa nam się należy! A dlaczego nam się należy? Bo walczyliśmy!

Moim zdaniem to paradoksalny efekt patriotycznej narracji PRL, wychowywania kolejnych pokoleń w świadomości może fałszywej, ale przynoszącej dobry efekt – że byliśmy potężnym narodem, od którego wiele zależy. W karykaturalnej, lecz w tym sensie pożytecznej formie symbolem tej narracji i tego przesłania byli „Czterej pancerni".

Zgoda, ale to było możliwe właśnie dlatego, że naprawdę walczyliśmy. Gdyby nie to, nie byłoby materiału.

Ja tak jak ty uważam, że polskie władze przed wrześniem podjęły słuszną decyzję. Różnimy się co do tego z jakiego powodu. Ty twierdzisz, że na skutek mądrej oceny sytuacji. Ja natomiast myślę, że była to decyzja dobra przypadkowo, bo wyprowadzona z fałszywych przesłanek. Krótko mówiąc, że ówcześni rządzący odmówili Niemcom, bo byli megalomanami. Bo tej ich megalomanii nie sposób nie zauważyć. Ambasador Polski w Moskwie Wacław Grzybowski jeszcze na początku '39 roku uważał, że Związek Radziecki za moment się rozpadnie, i jego jedyną troską – kilka miesięcy przed wrześniem! – było to, żeby (gdy Rosji już nie będzie) nie musieć się dzielić Ukrainą z Niemcami. Minister Beck mówił, że trzeba „dociągnąć" Polskę do stanowiska mocarstwa. Dla mnie to przejaw niezrozumienia podstawowych mechanizmów, tego, że nikt nie staje się mocarstwem na skutek własnych świadomych starań. Status mocarstwa jest wynikiem rozwoju własnego potencjału. Często państwo, które stało się mocarstwem, jest tego na początku nieświadome, a potem tym zaskoczone...

Nie zaprzeczam, że element megalomanii był, ale broniłbym Becka. Moim zdaniem z tym „dociąganiem" chodziło mu o zachowanie pokoju. O to, że procesy, które wtedy zachodziły, gdyby nie zostały przerwane przez wojnę, obiektywnie prowadziłyby do poważnego wzrostu znaczenia Polski. Weźmy pod uwagę nasz ówczesny przyrost demograficzny. Weźmy pod uwagę wskaźniki gospodarcze – one naprawdę rosły dynamicznie, tuż przed wrześniem wchodziliśmy w rzeczywiście dynamiczny rozwój, ludzie to odczuwali. A Grzybowski... wtedy, po kolektywizacji, Wielkim Głodzie i Wielkim Terrorze, po wyniszczeniu przez NKWD kadry oficerskiej Armii Czerwonej, wielu nie tylko w Polsce uważało, że Rosja staje się państwem upadłym. Polskie władze tutaj się myliły, ale tak samo jak pół Zachodu.

A jednak, kiedy się czyta, jak w 1938 r., w czasie kryzysu czechosłowackiego, radziecki wiceminister spraw zagranicznych Potiomkin powiedział, że „Polska przygotowuje swój czwarty rozbiór", trudno nie pomyśleć, iż sanacja była ślepa... Przecież gdyby Warszawa wystąpiła wtedy po stronie Pragi, to nawet jeśli Francja i Anglia zachowałyby się biernie, wojna na wspólnym froncie polsko-czechosłowackim byłaby inna niż rok później. Wspólny opór Polaków i Czechów na pewno trwałby znacznie dłużej, prawdopodobne, że w takiej sytuacji w pewnym momencie Francja i Anglia jednak weszłyby czynnie do wojny...

Oczywiście. To otwierałoby wiele nowych możliwości. Tylko że tak możemy na to patrzeć dzisiaj, mając wiedzę, której Beck, Śmigły i Mościcki nie posiadali. Wtedy było dla nich jasne, że nadstawianie głowy za Czechów bez pewności, że na Niemcy uderzy Francja, jest dla Polski zbyt ryzykowne. I trudno się dziwić takiej ocenie sytuacji.

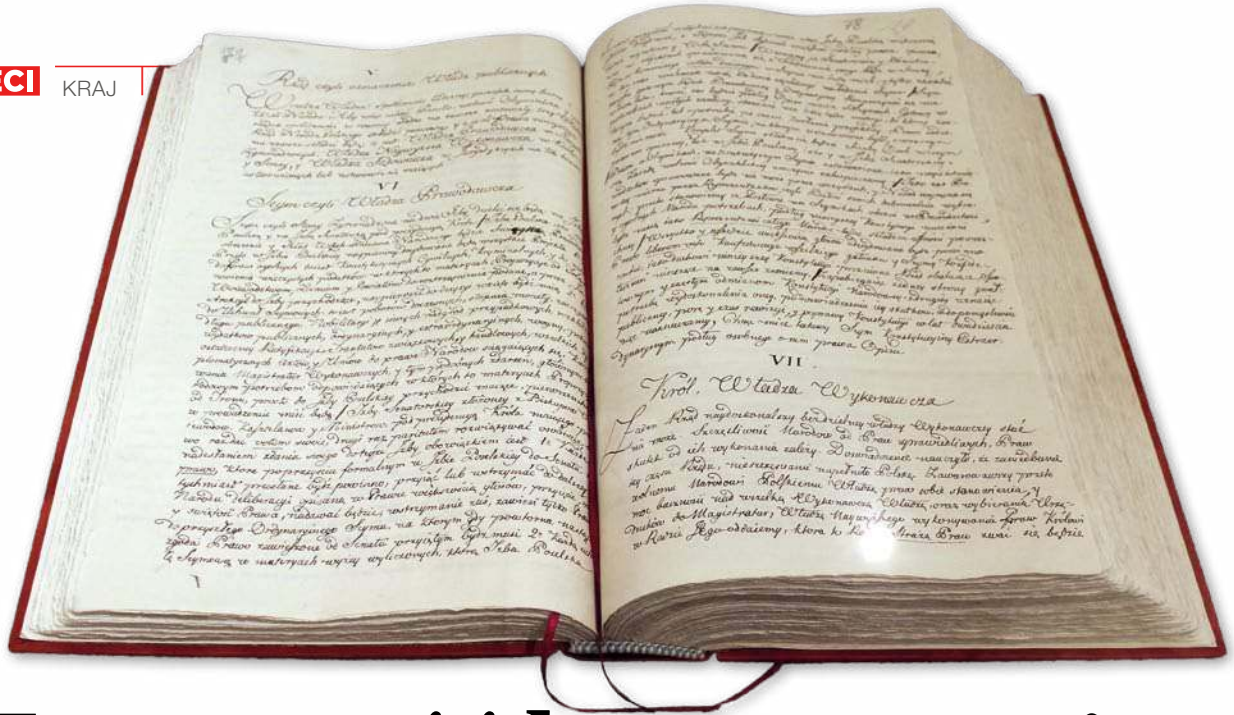
Rok później sojusz z Francją nic nam nie dał, przynajmniej doraźnie.

Nikt wtedy nie znał rzeczywistości blitzkriegu. Wszyscy i w Polsce, i na Zachodzie uważali, że nasz opór będzie trwał znacznie dłużej, ostatnim doświadczeniem była wojna hiszpańska, która trwała ponad trzy lata. I swoje plany czynili w perspektywie kampanii trwającej nie kilka tygodni, tylko co najmniej kilka miesięcy.

Czyli gdyby jakimś cudem opór Polski trwał znacznie dłużej, Zachód by jednak, twoim zdaniem, pomógł?

To możliwe. Ale nawet jeśli nie, w '39 lepsza dla nas była ewentualność, w której byliśmy oszukanym partnerem Zachodu niż jakakolwiek inna. Oczywiście długofalowo.

eprasa.pl 15af488151



Fot. Fratria

Tożsamość konstytucyjna i narodowa

Punktem wyjścia do moich uwag jest esej profesora Lecha Morawskiego „O tożsamości konstytucyjnej Polaków". Autor uznaje, że tożsamość konstytucyjna to zbiór przekonań charakteryzujących zbiorowość poddaną temu samemu panowaniu politycznemu. W tym sensie w Polsce nie mogła się ona rozwinąć. (Wystąpienie na konferencji „Tożsamość konstytucyjna" poświęconej pamięci prof. Lecha Morawskiego, zorganizowanej przez Trybunał Konstytucyjny)



BRONISŁAW WILDSTEIN

Pierwsza nowoczesna konstytucja w naszym kraju uchwalona została w 1791 r., ale nie miała szans funkcjonować, gdyż dwa lata później utraciliśmy niepodległość na blisko 130 lat. Zresztą uznać można, że nasza suwerenność zasadniczo zredukowana została wcześniej, a datą graniczną był tzw. Sejm Niemy w 1717 r. Odzyskana w 1918 r. niepodległość okazała się dwudziestoletnim epizodem, a późniejszy okres do 1989 r. był epoką pozbawienia Polaków podmiotowości. PRL nie tylko podporządkowana była ościennemu imperium, lecz stanowiła system totalitarny, który zaprzeczał państwu prawa.

Mimo nieszczęść historii uznać trzeba, że naród polski cechował się zdumiewającą trwałością kulturalną i ciągłością postaw, która sięgała w epokę przedrozbiorową. Czy bez odwołania się do tej tradycji możliwy byłby fenomen „Solidarności", który zaskoczył wszystkich na świecie i w kraju, włącznie z tymi najbardziej zaangażowanymi w odbudowę polskiej podmiotowości?

„Solidarność" była odrodzeniem się ducha republikańskiego, który stanowi świadomość wspólnoty losu i każe poświęcać partykularne interesy na rzecz dobra wspólnego. Za datę jej powstania uznać można moment, gdy robotnicy Stoczni Gdańskiej nie przerwali strajku, pomimo że wszystkie ich zakładowe postulaty zostały spełnione. Zdecydowali się na to w geście solidarności ze strajkującymi w całym kraju. Dominacja dobra wspólnego nad indywidualnymi czy grupowymi interesami stanowiła charakterystyczną postawę lat 1980–1981.

System totalitarny niszczy wszelkie poziome więzi społeczne, rozbija wspólnotę i redukuje człowieka do samotnej jednostki naprzeciw wszechmocnego, ideologicznego molocha. To, że w naszym kraju po czterech i pół dekadach tego systemu poprzedzonego grożącą wręcz naszemu biologicznemu bytowi wojną odrodził się duch republikański, świadczy, że przetrwał on w narodowej kulturze, a więc i w zbiorowej podświadomości. Przeżył wbrew totalitarnemu ciśnieniu i długotrwałym historycznym nieszczęściom.

eprasa.pl 15af488151

Jest to fundament, na którym powinniśmy budować nasze instytucje.

Czy zresztą w republikańskich postawach nie przejawia się głębsze dziedzictwo prawne, które odwołuje się do dawnych, tworzących naszą tożsamość instytucji? Pomimo utraty niepodległości tradycja republikańska funkcjonowała w naszej kulturze. Była istotnym elementem odwołującej się do niej literatury romantycznej i późniejszej, w której wielką rolę odegrał m.in. Henryk Sienkiewicz. To tradycja eksponująca zbiorową wolność pozytywną, czyli zdolność do kształtowania wspólnego losu.

Czy więc nie jest tak, że nie do końca w zgodzie z Morawskim, głębiej rozumiana tożsamość konstytucyjna pozostaje istotnym elementem naszej narodowej tradycji?

II

Dziedzictwo to jest zadziwiająco dawne. W napisanej na samym początku XIII w. „Kronice" mistrza Wincentego zwanego Kadłubkiem mocno akcentowany jest republikański charakter mitycznego państwa polskiego. Miało ono powstać przede wszystkim jako wspólnota etyczna. Jego baśniowy założyciel Krak zostaje wybrany na króla – sam określa się jako „towarzysz królestwa", czyli nie władca, ale partner rządzonych – i ustanawia prawa, którym wszyscy, a więc i on, mają być posłuszni. Jego poddani są obywatelami, a Kadłubek pierwszy używa określenia Res Publica na ustrój panujący w Polsce.

W dobie dekonstrukcji łatwo wyszydzać tego typu odwołania. Uczciwość intelektualna nakazywałaby jednak odpowiedzieć na pytanie: skąd wzięła się nasza narodowa specyfika dostrzegana zarówno przez nas samych, jak i obcokrajowców. Nie tylko wspomniana kronika pokazuje, jak dawno i głęboko w świadomości Polaków ukształtował się ideał Rzeczypospolitej. Ten wolnościowy charakter państwa polskiego wielokrotnie był krytykowany czy wręcz potępiany jako przejaw typowego dla naszej nacji anarchizmu i warcholstwa, ale czy to w pozytywnym, czy negatywnym ujęciu był podkreślany przez obserwatorów dawnej Polski.

Ten stan rzeczy przede wszystkim demonstrują nasze dzieje, w których najpierw możnowładcy, a potem cały stan szlachecki domagali się praw stanowiących barierę dla królewskiej arbitralności i nadających obywatelskie uprawnienia rycerstwu. Ahistoryczne zastrzeżenia, że obywatelami w dawnej Polsce była tylko szlachta, równie dobrze zwrócić można by przeciw dumie Anglików z ich wolnościowych tradycji i Wielkiej Karty Swobód, którą słusznie szczycą się do dziś.

Elity mają charakter wzorotwórczy, a ich postawy ulegają upowszechnieniu. Tak było w Polsce. Już w XIX w. dziedzictwo szlacheckie stawało się własnością całego narodu.

Czy nie stanowi ono jakiejś formy tożsamości konstytucyjnej, a w każdym razie, czy nie powinno być jej fundamentem?

III

Konstytucja nie musi mieć charakteru pisanego. Takie jak angielska to nakładające się w długim trwaniu zbiory norm i rozstrzygnięć prawnych, a także po prostu obyczaje i uznawane powszechnie zasady. Sędziowie powinni odkrywać prawo, wydobywać je z tradycji. Zresztą również prawo pisane wyrasta z obyczaju, a więc dziedzictwa, i stanowi jego doprecyzowanie oraz ujednoznacznienie. Nawet w nowoczesnych, liberalnych konstytucjach, takich jak np. ta z 1997 r., która obowiązuje obecnie w naszym kraju, dostrzegamy tego typu podejście.

Wskażę jeden przykład. W punkcie 1 art. 25 naszej ustawy zasadniczej czytamy: „Kościoły i inne związki wyznaniowe są równouprawnione". Ale z punktu 4 tego artykułu dowiadujemy się, że: „Stosunki między Rzecząpospolitą Polską a Kościołem Katolickim określają umowa międzynarodowa zawarta ze Stolicą Apostolską i ustawy".

Wprawdzie kolejny punkt precyzuje, że: „Stosunki między Rzecząpospolitą Polską a innymi kościołami oraz związkami wyznaniowymi określają ustawy uchwalone na podstawie umów zawartych przez Radę Ministrów z ich właściwymi przedstawicielami", niemniej różnica między traktowaniem wszelkich wyznań a Kościoła katolickiego rzuca się w oczy. To temu ostatniemu poświęcony został cały punkt, który zawiera konkretną normę prawną, gdy wszystkie inne potraktowane są zbiorczo, a podstawa prawna jest dla nich ujęta dość ogólnikowo. Autentyczna równość nakazywałaby jeden zapis traktujący tak samo wszystkie religie, a więc wystarczyłby punkt 5. Punkt 4 poświęcony wyłącznie Kościołowi katolickiemu wskazuje jego szczególne traktowanie.

Nie piszę tego, broń Panie Boże, w celu krytyki tego podejścia. Wydaje się ono uzasadnione i właściwe. Jest konsekwencją roli, jaką dla polskiej tożsamości odgrywał i odgrywa katolicyzm. Jeśli „Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu", jak mówi artykuł 4 konstytucji, to uznać chyba trzeba, że nie chodzi w tym wypadku wyłącznie o zbiór jednostek połączonych utylitarnym, a więc czasowym kontraktem, a „dobro wspólne" utożsamione w preambule konstytucji z „Ojczyzną" lub „Polską" nie jest wyłącznie sumą ich doraźnych korzyści. Jeśli dodatkowo czytamy tam o „prawdzie, sprawiedliwości, dobru i pięknie", jako „uniwersalnych wartościach", które łączyć powinny rodaków, którzy, co więcej, są: „zobowiązani, by przekazać przyszłym pokoleniom wszystko, co cenne z ponadtysiącletniego dorobku", to rozumiemy, że konstytucja wpisana jest w tradycję określającą, czym jest naród polski i jakie cechy winny go kształtować. Warto przy okazji pamiętać, że ta ustawa zasadnicza w głównej mierze pisana była przez byłych komunistów i skażona ich niezwykle interesowną perspektywą. Najlepiej opisał ten stan rzeczy prof. Zbigniew Stawrowski w tekście „Aksjologia i duch konstytucji III RP".

Okazuje się jednak, że nawet taka obdarzona grzechem pierworodnym konstytucja III RP musi wyrastać z tradycji narodowej, co oznacza, że w tradycję tę wpisana jest jakaś forma tożsamości konstytucyjnej. Czy więc nie powinniśmy przyjąć, że istnieje polska tożsamość konstytucyjna funkcjonująca niezależnie od władzy i narzucanych przez nią systemów prawnych, które przez długie okresy nie były akceptowane przez wspólnotę?

IV

Wróćmy do kwestii konieczności spisania normy podstawowej, która dziś wydaje się powszechna. Czy jednak nie jest to

eprasa.pl 15af488151

kolejny przesąd współczesny, który wyrasta z naszej naiwnej wiary w to, że całość ludzkich spraw da się zapisać i uregulować raz na zawsze? Okazuje się, że nawet – wydawałoby się – najlepiej napisane konstytucje jak amerykańska wymagają interpretacji, musimy odnosić ją do nowych zjawisk społecznych i cywilizacyjnych, a jej historia to nie tylko 27 poprawek, lecz przede wszystkim dzieje jej kolejnych wykładni sądowych i praktyki jej stosowania. Wszędzie zresztą mamy do czynienia z kontrowersjami konstytucyjnymi podobnymi do tych, z którymi zderzyliśmy się ostatnio w Polsce. Okazuje się więc, że normy pisane nie są gwarancją definitywności rozstrzygnięć.

Nawiasem mówiąc: konstytucja amerykańska mogła obyć się bez preambuły i odwołania do ideowego porządku, gdyż wpisana była w tradycję angielskiego common law żywego wśród mieszkańców, którzy wówczas stanowili w miarę homogeniczne społeczeństwo. Uwaga ta ma znaczenie w odniesieniu do tych, którzy chcieliby postrzegać ją wyłącznie jako zespół przepisów na rządzenie, które jakoby mogą się obyć bez osadzenia we wspólnotowej kulturze.

V

Kiedy mówimy o swoistym fenomenie polskiej tożsamości konstytucyjnej, nie sposób nie wskazać na istotne napięcie, jakie dzieli naród polski już od setek lat. Podział ten jest zdaniem Morawskiego dowodem na to, że tożsamość konstytucyjna w naszym kraju nie mogła się ukształtować. Czy jednak istnienie mniejszości, która neguje w ogóle polską tożsamość, uznając ją za obciążenie, a wybawienia szukając w jej odrzuceniu i zasadniczym przeorientowaniu na odmienną modłę, wystarczy, aby uznać, że tożsamość polska jest trwale rozdarta? Mniejszość ta nastawiona jest na modernizację imitacyjną, która pragnęłaby doprowadzić do rozpłynięcia się Polski w mitycznej Europie – piszę „mitycznej", gdyż realnie podstawowe tożsamości na naszym kontynencie wyznaczane są przez narody i nie sposób nie zauważyć różnicy między Anglikiem, Francuzem a Niemcem. Mniejszość ta jest wpływowa i znacząca, czego dowodzą choćby dzieje III RP. Potrafiła nieomal w całości zdominować ośrodki opiniotwórcze państwa, przejąć polski system edukacyjny i uniwersytety. A przecież eksperyment anihilowania polskiej tradycji się nie udał. Świadczy o tym nie tylko zwycięstwo polityczne PiS, lecz przede wszystkim odzyskiwanie przez Polaków swojej przeszłości, która miała zostać stygmatyzowana i odrzucona. Wygranie wbrew dominującej narracji przez Polaków pamięci o Żołnierzach Wyklętych czy Powstaniu Warszawskim pokazuje, jak wygląda polska świadomość i podświadomość i jak jest ona silna.

Znamienna jest odpowiedź, z jaką spotkał się jeden z bardziej radykalnych rzeczników antynarodowej polityki ostatnich dekad, Janusz Palikot, który ogłosił, że „przyszedł czas, by powiedzieć Polakom, że muszą się wyrzec swojej polskości". Powiedział to siedem lat temu w okresie, wydawałoby się, powszechnego uznania, że celem naszym jest wyłącznie dostosowanie się, „płynięcie w głównym, europejskim nurcie". Niemniej to jeden z jego sojuszników, realnie rzecznik podobnej postawy, skrajny oportunista Aleksander Kwaśniewski stwierdził w odpowiedzi: „Proszę nie szaleć. Rozumiem intencje, ale odradzałbym takie sądy".

Dodać trzeba, że kampania wymierzona w tradycję polską nałożyła się na szerszą tendencję europejską, której celem była emancypacja mieszkańców naszego kontynentu z wszelkich mocnych tożsamości, m.in. narodowej. Jak widać, i to nie przyniosło rezultatów, a postawy najbardziej świadomych politycznie modernizatorów, jak Kwaśniewski, którzy chcieliby przekroczyć polskość, ale zdają sobie sprawę, że nie mogą robić tego w sposób otwarty, dobitnie tego dowodzi.

VI

Chyba najbardziej ostentacyjną próbą konstruktywizmu konstytucyjnego, z którą mieliśmy do czynienia w obecnym wieku, była nieudana próba stworzenia europejskiej ustawy zasadniczej w 2004 r. Nie chcę zajmować się typowymi dla Unii zakulisowymi metodami, które niespodziewanie, w zgromadzeniu powołanym całkiem w innym celu, zaowocowały pojawieniem się projektu najważniejszego aktu europejskiego. Pierwotnie jego twórcy w preambule odwoływali się do Antyku, a zaraz potem do Oświecenia i Rewolucji Francuskiej. To pominięcie tradycji chrześcijańskiej blisko półtora tysiąca lat kształtującej Europę i tworzących z niej wspólną cywilizację oznaczało zerwanie z jej dotychczasowym kształtem i podjęcie konstruktywistycznego przedsięwzięcia stworzenia jej na nowo. Była to przemyślana i twarda postawa, gdyż pomimo protestów i oburzenia twórcy konstytucji odmówili włączenia w nią chrześcijańskiego dziedzictwa i ostatecznie zgodzili się na ogólnikowy zapis o „kulturowym, religijnym i humanistycznym dziedzictwie Europy".

Projekt europejskiej konstytucji odrzucony został w narodowych referendach i pozostał jedną z historycznych pamiątek owej konstruktywistycznej hybris, czyli pychy, od czasów antycznych uznawanej za fundamentalny grzech człowieka.

Wyobrażenie stworzenia europejskiej demokracji i takiegoż narodu – gdyż nowoczesna, przedstawicielska demokracja nie może obejść się bez połączonej świadomością zbiorowego losu wspólnoty, czyli narodu – odłożona została do lamusa i pozostanie tam jako eksponat utopijnych przedsięwzięć.

Dziś wizja wspólnej Europy coraz bardziej cechuje się, nienazwaną oczywiście przez swoich projektodawców, imperialną charakterystyką, zgodnie z którą Unią zarządzać ma układ dominujących państw z Niemcami na czele. No, ale nie to jest tematem naszej konferencji. Najważniejsze z tego, co chciałbym powiedzieć, jest przekonanie, że tożsamość konstytucyjna to świadomość prawa, a więc i sprawiedliwości, co zdecydowanie wykracza poza narzucony przez władzę i zapisany system norm. I to ze względu na tę elementarną świadomość są one oceniane i akceptowane albo odrzucane. Owa tożsamość konstytucyjna przenika się z tradycją narodową i winna z niej wypływać. Przypominam, że tradycja to aktualizowane i afirmowane określone wątki dziedzictwa narodowego, które często bywa złożone i agoniczne, a więc ma w siebie wpisany konflikt. Ostatecznie jednak z tych napięć wykluwa się w miarę spójny kształt tożsamości. Myślę, że historia Polski jest tego dobrym przykładem.

eprasa.pl 15af488151

AŻ 381 NAGRÓD!

KONKURS

plastyczny dla dzieci

POLSKA, MOJA OJCZYZNA

VI edycja konkursu w 100. rocznicę odzyskania przez Polskę Niepodległości

Konkurs plastyczny dla dzieci w wieku: • 5-9 lat • 10-16 lat •

1. Wykonaj pracę plastyczną swoją ulubioną techniką na temat „Polska, moja Ojczyzna". Możesz skorzystać z pomocy rodziców.
2. Dołącz **2 kupony konkursowe** z tygodnika „Sieci" (oba mogą pochodzić z tego samego wydania). Obok drukujemy pierwszy kupon, kolejne ukażą się 7, 14 i 21 maja 2018 r. Kupony wypełniają rodzice lub opiekunowie.
3. Wyślij pracę z dopiskiem „konkurs plastyczny" na adres redakcji: FRATRIA Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa. **Termin dostarczenia prac: 25 maja 2018 r.**
4. Sprawdź, co wygrałeś! **Listę nagrodzonych opublikujemy 4 czerwca 2018 r.** w tygodniku „Sieci" i na www.wsieciprawdy.pl.

REGULAMIN I PEŁNA LISTA NAGRÓD NA **www.wsieciprawdy.pl**

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PARTNERZY GŁÓWNI:

PGE Polska Grupa Energetyczna | PZU | GRUPA LUXMED

PARTNERZY:

ATAS | KOMPAS | GRANNA | wydawnictwo FRONDA | Prószyński i S-ka

PARTNERZY INSTYTUCJONALNI:

FUNDACJA NIEPODLEGŁOŚCI

Centrum Bajki w Pacanowie | ENERGY LANDIA | FARMA ILUZJI PARK EDUKACJI I ROZRYWKI | HULAKULA ROZRYWKOWE CENTRUM MIASTA | PARK ROZRYWKI JULINEK | INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ



12/0418/F, 22/0418/F, 29/0418/F, 30/0418/F



WYGRAJ JEDNĄ Z **381** NIESAMOWITYCH NAGRÓD:



<< **2** wakacyjne obozy o wartości 2 000 zł każdy od Biura Turystyki Aktywnej KOMPAS



>> **2** zagraniczne wyjazdy językowe o wartości 2 500 zł każdy od firmy ATAS

89 voucherów rodzinnych do miejsc rozrywki: Hulakula, Park Rozrywki Julinek, Farma Iluzji, Energylandia, Centrum Bajki w Pacanowie o wartości 130-450 zł każdy





>> **50** zestawów gier dla całej rodziny o wartości 140-210 zł każdy od Granny





<< **45** zestawów książek od Wydawnictwa Fronda o wartości 45-125 zł każdy



>> **45** zestawów książek od wydawnictwa Prószyński i S-ka o wartości 65 zł każdy



<< **100** zestawów komiks + płyta o wartości 50 zł każdy od Fundacji Niepodległości

18 zestawów komiksów o wartości 135 zł każdy

30 gier o wartości 45-54 zł każda

od Instytutu Pamięci Narodowej





SIECI KUPON KONKURSOWY **NR 1**

imię i nazwisko rodzica/opiekuna .....

imię i nazwisko dziecka .....

data urodzenia i wiek dziecka .....

dokładny adres zamieszkania .....

.....

e-mail rodzica/opiekuna .....

telefon rodzica/opiekuna .....

Akceptuję regulamin konkursu.

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych oraz umieszczenie ich w informatycznej bazie danych Fratria Sp. z o.o. w rozumieniu ustawy z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (Dz.U. 2016 r., poz. 922) w celach prowadzenia konkursu, wyłaniania zwycięzców i przyznawania, wydawania, odbioru i rozliczania nagród.

☐ * Wyrażam zgodę na umieszczenie moich danych osobowych w bazie danych Fratria Sp. z o.o., która będzie ich administratorem, na ich przekazywanie osobom trzecim, a także na ich przetwarzanie zgodnie z ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (Dz.U. 2016 r., poz. 922) w celach marketingowych. Oświadczam, że zostałam/em poinformowana/y o prawie wglądu do swoich danych i możliwości żądania uzupełnienia, uaktualnienia, sprostowania oraz czasowego lub stałego wstrzymania ich przetwarzania lub ich usunięcia.

* pole do akceptacji

data ..... podpis rodzica lub opiekuna .....

eprasa.pl 15af488151

Wojna LOT


Fot. Materiały prasowe

Z Rafałem Milczarskim, prezesem PLL LOT, rozmawia Ewa Wesołowska

Gdy prowadzimy tę rozmowę, w LOT trwa referendum strajkowe, którego wyniki mają zadecydować o tym, czy w długi majowy weekend samoloty największego polskiego przewoźnika będą kursować normalnie, czy pasażerowie muszą się liczyć ze wstrzymaniem lotów i z koczowaniem na lotniskach. Można temu zapobiec?

Rafał Milczarski: Głęboko wierzę w naszych pracowników i mam nadzieję, że nie dadzą się zmanipulować grupie osób, która ewidentnie nastawiona jest na zwarcie. Grożenie strajkiem to skrajna nieodpowiedzialność, działanie na niekorzyść spółki, a przede wszystkim na niekorzyść pasażerów i ludzi, którzy w niej pracują. Chcę zauważyć, że LOT jeszcze w 2015 r. miał 46 mln zł straty i właściwie stał na skraju bankructwa. Udało się tego uniknąć dzięki głębokiej restrukturyzacji, a przede wszystkim zmianie sposobu myślenia o tym, jak PLL mają działać. Pozyskaliśmy nowe samoloty, uruchomiliśmy rejsy w nowych kierunkach, stworzyliśmy nową siatkę połączeń, która umożliwia pasażerom sprawne przesiadanie się, a nie czekanie godzinami na lotnisku. To wszystko przełożyło się na wzrost liczby pasażerów i wyniki finansowe: w 2017 r. przewieźliśmy 6,8 mln pasażerów, czyli o 25 proc. więcej niż rok wcześniej, i osiągnęliśmy ponad 280 mln zł zysku operacyjnego.

I pewnie stąd te roszczenia związków zawodowych. Jeśli ludzie widzą, że firma zarabia, to oczekują gratyfikacji. W sumie mamy rynek pracownika, po dobrych pilotów ustawiają się na świecie kolejki.

Ale związkowcom tak naprawdę nie chodzi o pieniądze, bo gdyby chodziło, zauważyliby przecież, że my najlepszych pracowników awansujemy i podnosimy im wynagrodzenia. Chcemy się dzielić wypracowanym razem sukcesem. Z zysku za ubiegły rok przeznaczyliśmy 12 mln zł na premie. Wypłaty zaczynamy w lipcu, po walnym zgromadzeniu.

To o co im chodzi?

Moim zdaniem związkowcy po prostu walczą o władzę i wpływ na zarządzanie LOT. Chcą dyktować, kto ma awansować, ile zarabiać, co robić. Tymczasem zarządzanie firmą to wyłączna kompetencja zarządu i dopóki będę prezesem, tak właśnie będzie.

Spór zbiorowy ze związkami zawodowymi w LOT zaczął się pięć lat temu, czyli trzy lata wcześniej, niż przejął pan stery spółki. Ówczesny prezes Sebastian Mikosz zmienił wówczas system wynagrodzeń, odbierając pracownikom różne przywileje. Część z nich poszła do sądu i wywalczyła odszkodowania oraz przywrócenie zasad wynagradzania sprzed 2010 r. Związkowcy chcą, by taka zasada obowiązywała wszystkich oraz żeby wypłacić pracownikom ok. 70 mln zł odszkodowania. Twierdzą, że zmiana była bezprawna, bo przeprowadzona bez porozumienia z przedstawicielami pracowników. Dlaczego nie udało się rozwiązać tego problemu, osiągnąć jakiegoś kompromisu?

Po dwóch latach negocjacji należałoby stwierdzić, że związkowcom wcale na konsensusie nie zależy. W początkowej fazie, gdy sytuacja prawna była dalece inna od dzisiejszej, byliśmy gotowi do umówienia się na spłatę roszczeń.

eprasa.pl 15af488151

Pierwotnie zaproponowaliśmy przeznaczenie 25 proc. zysku gotówkowego każdego roku na systematyczną spłatę roszczeń, a następnie przemienienie tej wartości na premie dla pracowników. Byłby to największy program motywacyjny w Polsce. Związkowcy odrzucili to, wmawiając ludziom, że żadnych zysków w LOT nie będzie. A już za pierwszy rok osiągnęliśmy ponad 186 mln zysku operacyjnego. Potem opracowaliśmy kolejną propozycję: chcieliśmy dać 55 mln zł na odszkodowania plus 5 proc. zysku. Wszystko było już ustalone. Gdy rozmawialiśmy o poranku, część związkowców zgodziła się na to rozwiązanie. A po południu podjudzeni przez prawników powiedzieli: „Nie podpisujemy". Co ciekawe, ci sami prawnicy reprezentują i związki zawodowe, i pracowników, którzy występują o odszkodowania, co w naszej ocenie oznacza konflikt interesów. Nie było w interesie tychże prawników, by związki zawodowe dogadały się z pracodawcą.

Czyli wojna. A za chwilę być może strajk. Jakie to będzie miało konsekwencje dla firmy?

Gdyby taki strajk miał się odbyć, oznaczałoby to poważne straty. Proszę sobie wyobrazić, że każdy pasażer, który nie doleci na czas, zażąda odszkodowania. W jakiejś perspektywie czasu spółka może tego nie wytrzymać finansowo. I 600 mln zł, które LOT zaciągnął u społeczeństwa polskiego, żeby osiągnąć równowagę biznesową, zostanie zmarnowane. Związkowcy zapominają, że ta spółka nie należy do nich, tylko do Polski i Polaków. I do pracowników. Wie pani, proces uzdrawiania spółki nie udałby się, gdyby w sens tych wszystkich wprowadzanych przez zarząd przemian nie uwierzyli ludzie. Ci, którzy odpowiadają za rozwój floty, sprzedaży biletów, marketing, piloci i personel pokładowy. W Polsce mamy niedobory kapitału ludzkiego. Dlatego trzeba docenić tych najlepszych, którzy są w stanie konkurować ze swoimi odpowiednikami pracującymi dla konkurencji, potrafią negocjować z rekinami biznesu. Jeżeli teraz zaprzepaścimy to, co udało się osiągnąć, jeżeli wszystkim zaczniemy płacić więcej, bez względu na efekty pracy, to LOT znowu stanie nad krawędzią.

To przedstawiciele kilku związków zawodowych chcą zniszczyć swoje miejsce pracy? Nie wierzę.

Mnie też to się nie mieści w głowie. Dopóki nie przyszedłem do LOT, nie wyobrażałem sobie, że można się z kimś nie dogadać, nie osiągnąć jakiego porozumienia. Ba, byłem przekonany, że trzeba wypłacić ludziom zasądzone odszkodowania i nie kontynuować batalii sądowej, bo spokój społeczny jest bardzo ważny. Tylko zrobić to tak, aby nie wywrócić firmy. Związki różnych ofert, które były na stole, konsekwentnie nie przyjmowały, aż do teraz, kiedy sytuacja zmieniła się diametralnie.

To znaczy?

Związkowcy chyba nie zdają sobie sprawy, jak dalece sytuację zmienił wyrok Sądu Najwyższego z października 2017 r. Tak naprawdę uchylił on wyrok niższych instancji, które zobowiązywały LOT do wypłaty w sumie ok. 70 mln zł odszkodowania. Przypomnę, że Sąd Najwyższy uznał, iż w sytuacji wyższej konieczności, takiej jak widmo bankructwa spółki, możliwa jest jednostronna zmiana zasad wynagradzania przez pracodawcę. A więc jest to de facto usankcjonowanie zasad wynagradzania, które związki zawodowe uparcie nazywają nielegalnymi. W świetle tego orzeczenia związkowcy stoją przed widmem porażki, bo jest mało prawdopodobne, aby sądy niższej instancji orzekały inaczej niż Sąd Najwyższy. To, co związkowcami kieruje obecnie, to, w mojej ocenie, próba uniknięcia zderzenia z rzeczywistością, która czeka ich nieuchronnie.

Nie będzie więc odszkodowań dla pracowników?

Mało tego, pracownicy będą musieli jeszcze zapłacić reprezentującym ich w tej bezsensownej batalii prawnikom. W sumie będą więc na minusie. Nie rozumiem, dlaczego związki narażają ludzi na takie straty, dlaczego nie powiedzą im uczciwie, jak wygląda sytuacja.

Dużo pan ryzykuje, stawiając sprawę na ostrzu noża. Rządzący politycy nie chcą sporu ze związkami zawodowymi. Nie chcą strajków.

Ale nie chcą też zarzynać swoich najlepszych spółek. A dziś nie dość, że wyprowadziliśmy LOT na prostą, to jeszcze tworzymy bardzo nowoczesną Polską Grupę Lotniczą, która skupi pod swoimi skrzydłami PLL LOT, LOT AMS, LS Airport Services. PGL to lotnicze narzędzie, za pomocą którego jako Polska mamy szansę stać się lotniczym liderem regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Mamy nadzieję, że konsolidując siły, stworzymy konkurencyjną przeciwwagę dla zachodnich grup lotniczych.

Uważa pan, że referendum jest nielegalne. Dlaczego?

Bo zakłada, że nie ma u nas legalnego regulaminu wynagrodzeń. A zgodnie z wyrokiem Sądu Najwyższego regulamin jest. Po drugie: nie można prowadzić tego samego referendum dwa razy w tej samej sprawie.

A kiedy było pierwsze referendum?

W październiku ub.r. dotarła do nas informacja, że jest referendum. Ale nie dostaliśmy żadnej wiadomości ani o tym, że się zakończyło, ani o wynikach.

Czy to oznacza, że strajk też będzie nielegalny?

Według mojej wiedzy – tak. A to oznacza, że organizatorzy protestu muszą się liczyć z odpowiedzialnością cywilną.

Kilka dni temu, czyli 17 kwietnia, Europejski Trybunał Sprawiedliwości zadecydował, że linie lotnicze mają obowiązek zrekompensować swoim pasażerom opóźnienia lub odwołania lotów, które powstały wskutek strajków personelu pokładowego.

Linie lotnicze mają też prawo skarżyć osoby, które do tych szkód doprowadziły. I naprawdę nie omieszkamy tego zrobić. Ale, jeszcze raz powtórzę, wierzę w rozsądek pracowników LOT i mam nadzieję, że do strajku nie dojdzie.

eprasa.pl 15af488151

Czas na powroty z Anglii?



Prawie dwa lata po brytyjskim referendum w sprawie Brexitu wiadomo już, że Polaków nikt z Wielkiej Brytanii nie będzie wyrzucał. A jeżeli już, to w białych rękawiczkach. Widać też trend odwrotny niż jeszcze kilka lat temu: wielu Polaków, którzy dotąd się wahali, podejmuje decyzję o powrocie z Wysp



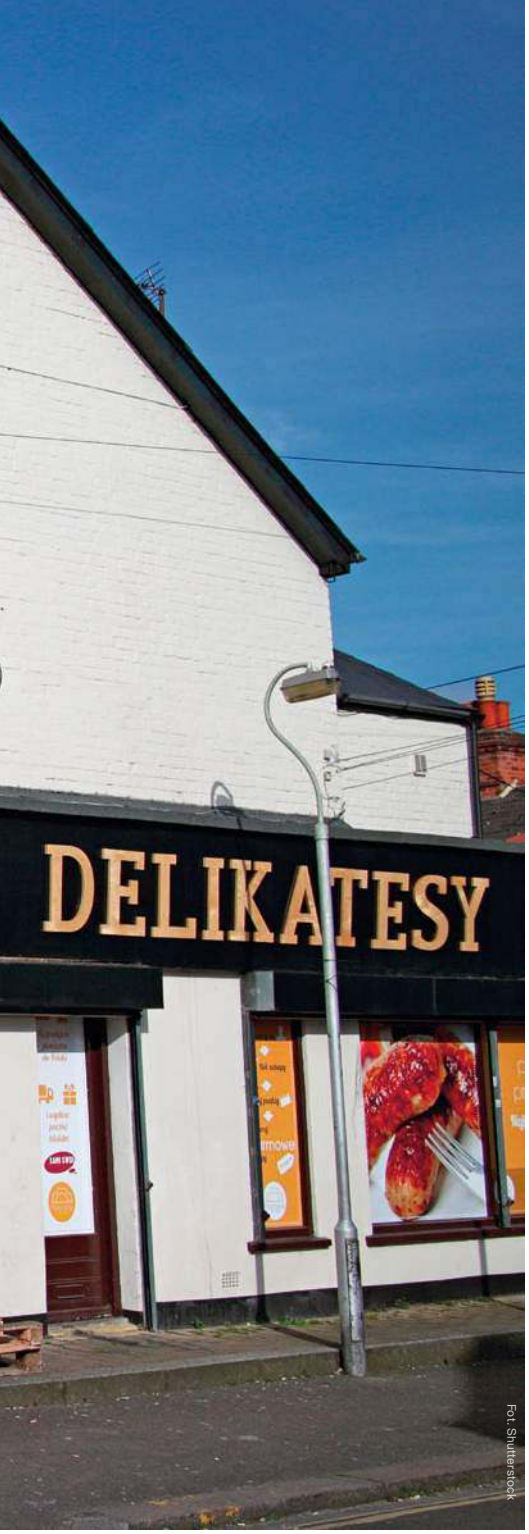
JAROMIR KWIATKOWSKI

Moimi przewodnikami po sytuacji Polaków w Wielkiej Brytanii są ks. Mateusz Konopiński, jezuita, duszpasterz Polaków w Londynie, gdzie przebywa od trzech lat; Tomasz Kania, w Londynie od 2005 r., współtwórca Katolickiego Radia Londyn i założyciel grupy Wodzireje znad Tamizy, z którą prowadzi imprezy w Wielkiej Brytanii; oraz Ewa Pastuła, która w 2016 r. wraz z mężem i dziećmi, po ponad 11 latach pobytu w Anglii, wróciła do Polski i zamieszkała pod Rzeszowem.

OBAWY

Dokładnych statystyk wprawdzie nie ma, ale szacuje się, że Polaków w Wielkiej Brytanii jest prawie 1 mln, z czego

eprasa.pl 15af488151



Fot. Shutterstock

zdecydowana większość – ok. 800 tys. – mieszka w Londynie. Moi rozmówcy potwierdzają, że tuż po ogłoszeniu Brexitu obawiali się o swój los.

– Z biegiem czasu dostrzegliśmy, że ruchy ze strony Anglików nie są wcale tak nerwowe, jak się spodziewaliśmy. Zwłaszcza w Londynie, który w referendum nie poparł Brexitu – podkreśla ks. Mateusz. Jego zdaniem nasi rodacy doskonale zdają sobie sprawę, jak są ważni dla angielskiej gospodarki.

– Nie wyobrażam sobie, że pół mln pracujących Polaków naraz zamknie firmy, wsiądzie do samolotów czy samochodów i wróci do Polski – twierdzi duszpasterz z Londynu. Ale podkreśla jednocześnie, że dotyczy to także innych narodowości, np. Hiszpanów czy Włochów.

– Proszę sobie wyobrazić, że nagle zamyka się setki włoskich kafejek, a bankierzy nie mają dokąd pójść rano na codzienne espresso – przekonuje ks. Mateusz. – Tu chodzi nie tylko o polskiego budowlańca, który trzęsie rynkiem. W tak multikulturowym środowisku wyłączenie ludzi z krajów UE oznaczałoby wyjazd wielkiej grupy pracowników i perturbacje, które dotknęłyby wielu przestrzeni życia codziennego.

Ks. Mateusz przyznaje natomiast, że sytuacja powstała po ogłoszenia Brexitu może być dla urzędów okazją, by jeszcze dokładniej kontrolować różne benefity (świadczenia socjalne). Jezuita nie uważa jednak, by było to coś złego – państwo, w którym żyjesz jako imigrant, ma prawo sprawdzić, czy uczciwie korzystasz z tego, co ci oferuje.

Ewa Pastuła wraz z mężem Zenkiem i dziećmi obserwowali to, co się działo po referendum w sprawie Brexitu, siedząc na walizkach przed powrotem do Polski (zdecydowali o nim wcześniej, po długim namyśle i nie miał on nic wspólnego z Brexitem). Obserwowali np., że znajomi, którzy wcześniej nie uregulowali swojego statusu w Wielkiej Brytanii, wpadli w lekką panikę.

– Już po naszym powrocie do Polski, jesienią 2016 r., a nawet jeszcze na wiosnę 2017, sporo osób dzwoniło do mnie z pytaniem, co zrobić, żeby ich nie usunięto z Wielkiej Brytanii – opowiada Ewa. Dodaje, że ci, którzy mieszkają w Anglii od kilkunastu lat i interesują się polityką brytyjską, wiedzą, iż jedyną gwarancją bezpieczeństwa jest uzyskanie obywatelstwa. Wielu znajomych Ewy i Zenka ma już brytyjskie obywatelstwo, które uzyskali jeszcze przed Brexitem.

Tomasz Kania potwierdza, że tuż po ogłoszeniu Brexitu można było wśród Polaków wyczuć niepewność przeplataną z hurraoptymizmem, że przecież „nie mogą nas ruszyć".

– W odpowiedzi na tego typu opinie opublikowałem felieton „Dlaczego nas wyrzucą i sposób, w jaki to zrobią", po którym ruszyła lawina hejtu – opowiada współtwórca Katolickiego Radia Londyn. I dodaje: – Sytuacja Polaków zmienia się w różny sposób. Znam przypadki, kiedy ludzie tracili pracę w banku, gdyż z dnia na dzień Polacy przestali brać kredyty hipoteczne. Zdarzyło się sporo chuligańskich wybryków, ale np. zachowanie Anglików wobec Polaków w sektorze biznesowym jest bez zmian. Znajomy Anglik powiedział mi wprost, że nie ma problemu z Polakami ani żadną inną narodowością. Interesuje go tylko, czy – zlecając innym firmom podwykonawstwo – na tym zarobi, narodowość nie ma tu znaczenia.

Współtwórca Katolickiego Radia Londyn uważa zatem, że wyrzucanie Polaków będzie się odbywało w białych rękawiczkach. – Na pierwszy ogień pójdą ci, którzy niewiele wnoszą do systemu i mało zarabiają – przekonuje. – Trudniej będzie im uzyskać pozwolenia lub potrzebne dokumenty, aby mieć zagwarantowany pobyt. Jeśli w Wielkiej Brytanii zacznie brakować pracowników, pojawią się umowy bezpośrednie pomiędzy krajami dotyczące przepływu pracowników i bez pośrednika w postaci UE. Zawsze znajdą się chętni do pracy na Wyspach.

POLACY – CHŁOPCY DO BICIA

To prawda, co mówi Tomasz Kania – że w biznesie narodowość nie powinna mieć znaczenia, ale to nie oznacza, iż w Wielkiej Brytanii nie ma zjawiska niechęci do obcych, choć jego nasilenie jest różne w różnych miejscach.

– Są miasta, np. Boston, w których Anglicy stanowią mniejszość i – delikatnie mówiąc – nie kryją swojego niezadowolenia, a zaledwie 35 mil dalej, w Lincoln, te relacje są o wiele lepsze. Wiem to z opowieści tamtejszych mieszkańców – podkreśla mój rozmówca.

Ewa Pastuła zauważa, że nastroje antyimigranckie pojawiły się kilkanaście miesięcy przed Brexitem. Podsycali je politycy, którzy chcieli zbić na nich kapitał polityczny. Dotyczyły one nie tylko

eprasa.pl 15af488151

Polaków, ale to nasi rodacy byli głównym chłopcami do bicia. Moja rozmówczyni podkreśla, że na antyimigrancką propagandę mediów, np. pism, jak „The Sun", byli podatni zwłaszcza ludzie niewykształceni, wykonujący proste prace, którym wmawiano, że Polacy są ich największą konkurencją.

Tu potrzebne jest małe wyjaśnienie. Rzeczywiście na początku imigracyjnej fali na Wyspy nasi rodacy wykonywali głównie proste prace. Ewa jest tego dobrym przykładem – zaczęła od sprzątania w hotelu, ale później, gdy podszlifowała język angielski i zdobyła uprawnienia księgowej, prowadziła działalność gospodarczą, wykonując usługi z zakresu księgowości (jak podkreśla, z czasem coraz więcej Polaków zajmowało wysokie stanowiska – menedżerów, wykładowców na uczelniach, prowadziło swoje firmy).

Po dwóch latach pobytu w Anglii Pastułowie kupili dom. Na kredyt, ale musieli być dla banku wiarygodni, skoro im go udzielił. Wiązało się to z tym, że Zenek pracował jako kierowca tira po kilkanaście godzin dziennie, a Ewa również musiała pójść do pracy. Kiedyś, gdy załatwiali w urzędzie sprawy związane z kredytem, usłyszeli od urzędniczki: „Polacy to najciężej pracująca grupa, z jaką się spotkałam". Ewa zna wielu rodaków, którzy – tak jak ona i mąż – uzbierali na tzw. depozyt i kupowali domy. Niektórzy także kolejne, pod wynajem. Zawdzięczali to ciężkiej pracy i wyrzeczeniom.

– Na nabycie domu stać jedynie wykształconych Anglików. Ci przeciętni nie kupują domu, nie stać ich nawet na odłożenie depozytu – opowiada Ewa Pastuła. – Żyją z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, i jedyną ekstrawagancją, na jaką ich stać, są wakacje na Majorce, w Grecji czy Hiszpanii, którymi się później chwalą przez cały rok.

Tacy ludzie byli głównymi zwolennikami Brexitu. Wmawiano im, że przez Polaków są dłuższe kolejki do lekarzy, więc na widok naszych rodaków krzyczeli „go away" lub „come back to home". Wiele niechęci do Polaków i przybyszów z Europy Wschodniej przejawiali także czarnoskórzy.

LĘK NIE MOŻE PARALIŻOWAĆ

Innym elementem, przez którego pryzmat postrzegana jest sytuacja Polaków w Wielkiej Brytanii, w szczególności w Londynie, są zamachy terrorystyczne, zwłaszcza dokonane przez islamistów.

U moich rozmówców zapytanych o tę kwestię obawa miesza się z realizmem. Ks. Mateusz Konopiński i Tomasz Kania zgodnie podkreślają, iż mają pełną świadomość, że Londyn od dawna nie jest miastem bezpiecznym i że w każdej chwili może się tu coś wydarzyć.

– W tak wielkiej aglomeracji szaleńcy po prostu są. Nie możemy być stuprocentowo pewni, że służby wykryją ich działania na czas – podkreśla ks. Mateusz. Dodaje, że jest świadom, w jakim miejscu żyje. Jednocześnie jego zdaniem ten lęk nie może paraliżować. I chyba nie paraliżuje, skoro – jak zauważa Tomasz Kania – osobiście nie spotkał nikogo, kto by zmienił tryb życia z obawy przed zamachami.

> Powodów powrotów do Polski jest wiele. Jednym z nich jest to, że Brexit odbił się jednak wyraźnie na brytyjskiej gospodarce, co widać choćby po spadającym kursie funta

Ewa Pastuła ma doświadczenie innego typu. Mieszkała z rodziną w Milton Keynes, 200-tysięcznym mieście położonym 75 km na północ od Londynu, w połowie drogi pomiędzy Londynem a Birmingham oraz między Oksfordem a Cambridge. Czuła się tam – w przeciwieństwie do mieszkańców Londynu – bezpiecznie. Dopiero jednak po powrocie do Polski zrozumiała, co to znaczy czuć się naprawdę bezpiecznie. I że oznacza to nie tylko brak obawy przed zamachami, lecz także świadomość, iż jest się w domu, u siebie. – To trudne do wytłumaczenia komuś, kto nie żył na emigracji. Bez względu na to, ile lat mieszkamy w obcym kraju, zawsze będziemy mieć duszę emigranta – przekonuje moja rozmówczyni.

LONDYN PRZESTAŁ BYĆ ATRAKCYJNY

Pytam o dość częstą w Polsce opinię, że tych Polaków, którzy w Anglii już są, Brytyjczycy zostawią w spokoju, ale możliwości zainstalowania się tam nowych imigrantów z Polski będą bardzo ograniczone. W odpowiedzi moi londyńscy rozmówcy wskazują, że coraz wyraźniejszy jest trend odwrotny – powrotu Polaków do ojczyzny.

Powodów jest wiele. Jednym z nich jest to, że Brexit odbił się jednak wyraźnie na brytyjskiej gospodarce, co widać choćby po spadającym kursie funta. – Zainteresowanie Londynem ze strony Polaków spada. Obserwuję, że przyjeżdża ich tu coraz mniej – podkreśla ks. Mateusz Konopiński. – W moim przekonaniu jest to związane z kursem walut, bo nie opłaca się mieszkać w bardzo drogim mieście w sytuacji, gdy 1 funt jest niemal równoważny 1 euro. A zatem Londyn przestał być opłacalnym miejscem emigracji zarobkowej. Poza tym nikt nie wybiera na miejsce emigracji kraju, który wychodzi z UE, w sytuacji gdy nie bardzo wiadomo, jak będą się układały jego stosunki z Unią.

– Statystyk dotyczących powrotów nie znam, ale obserwuję, że spora grupa Polaków planuje powrót do kraju – dodaje Tomasz Kania. Potwierdza, że dużo zależy od kursu funta wobec złotówki. – Wystarczy połączyć kilka faktów: słabnący funt, rosnące koszty życia, męczące podróże po Londynie, tęsknota za rodziną i zarazem nowe możliwości zawodowe, które pojawiają się w Polsce. To główne przyczyny decyzji o powrocie – wylicza współtwórca Katolickiego Radia Londyn.

Dodaje, że – jeżdżąc po całej Anglii, gdzie prowadzi imprezy i spotyka się z Polonią – obserwuje, iż Brexit spowodował przyspieszenie decyzji o powrocie u tych, którzy wciąż się wahali albo chcieli wrócić, ale nie mieli motywacji.

eprasa.pl 15af488151



Fot. Z archiwum Tomasza Kani, Ewy Pastuły i ks. Mateusza Konopińskiego

Na zdj. od lewej: Tomasz Kania, Ewa Pastuła z mężem Zenkiem i najmłodszym synem Jasiem i ks. Mateusz Konopiński

Podobne obserwacje ma ks. Mateusz Konopiński. – Widzę, że ludzie, którzy przyjechali tutaj na rok–dwa lata, by podreperować budżety, i... zostali na kilkanaście lat, mówią, że już wystarczy i że nigdy w tym kraju nie będą się czuli jak u siebie. Brexit był kroplą, która przelała czarę. Mówią: mamy rok, półtora, by spokojnie uporządkować swoje sprawy w Anglii i rozpocząć nowy rozdział w Polsce.

Jezuita zauważa też, że jest spora grupa Polaków chcących wrócić do Polski, bo – jak twierdzą – nasz kraj zmienił się na tyle, iż warto tu wrócić i przenieść na polski grunt doświadczenie, które zdobyło się w Anglii.

– Niedawno w „Financial Times" ukazał się świetny artykuł o tym, jak młodzi Polacy wracają do Polski z wielkim dorobkiem lat spędzonych w Anglii, aby wspierać ojczyznę w tym boomie ekonomicznym, który ona teraz przeżywa – mówi ks. Mateusz.

Ewa Pastuła opowiada o znajomym, który jest menedżerem w dużym domu handlowym i kieruje liczną grupą pracowników. Mimo brytyjskiego obywatelstwa nosi się z zamiarem powrotu do Polski. Nie może się pogodzić z tym, że poświęcał się dla brytyjskiej gospodarki, a teraz próbuje mu się wmówić, iż jest na Wyspach persona non grata.

– To nie chodzi o to, że ktoś mu to powiedział prosto w oczy – wyjaśnia Ewa. – On tak się czuje, ponieważ obserwuje, że jeżeli media mówią o kimś źle, to tylko o Polakach.

Innym powodem, dla którego Polacy chcą wracać, są – jak zauważa Tomasz Kania – rodzice w podeszłym wieku, którymi trzeba się zająć. Ale jest też – jak u Pastułów – obawa przed starością w Anglii. – Nie ma tam tradycji życia w rodzinie wielopokoleniowej. Dzieci odwiedzają rodziców albo i nie – podkreśla Ewa.

BY NIE PORZUCIĆ TRADYCJI

Ważnym kryterium, które bierze się pod uwagę, rozważając kwestię powrotu do Polski, jest to, na jakim etapie szkolnej edukacji są dzieci. – Dobry czas na wyjazd jest wtedy, gdy dziecko albo skończyło szkołę, albo jeszcze jej nie zaczęło – zauważa ks. Mateusz.

Zgadza się z tym Tomasz Kania. – Mówi się, że decyzja o powrocie powinna być zrealizowana do momentu pójścia dziecka do szkoły. Później już bardzo trudno wrócić – przekonuje.

Bywają również motywacje do powrotu wynikające z obawy o tożsamość dziecka. O to, czy będzie się czuło bardziej Anglikiem, czy Polakiem. Jak zauważa współtwórca Katolickiego Radia Londyn, dotyczą one sytuacji, gdy oboje rodzice są Polakami. – Ci, którzy związali się z osobami z innych krajów, raczej nie mają takich dylematów – mówi Tomasz Kania.

Tu pojawia się kolejny problem, na który zwraca uwagę duszpasterz Polaków w Londynie – porzucenia tradycyjnego katolicyzmu „wywiezionego z Polski". – Na niedzielne eucharystie do wspólnot polskich uczęszcza w Londynie niespełna 10 proc. Polaków – zaznacza ks. Mateusz. – To niewiele, choć oczywiście nie wiemy, ilu Polaków uczęszcza do innych wspólnot chrześcijańskich czy na msze w języku angielskim.

Obawa o tożsamość, o system wartości, jaki przyjmą dzieci, była jednym z motywów powrotu do Polski rodziny Pastułów.

– Anglicy są bardzo kulturalni i uprzejmi, ale też bardzo zdystansowani. Trudno nawiązać z nimi bliższe relacje, pozostają one na poziomie konwersacji „o wszystkim i o niczym" – opowiada Ewa. Przyjaźnie pojawiły się w ich życiu na emigracji dopiero wtedy, gdy zaczęli chodzić do polskiego kościoła (wcześniej, by podszlifować angielski, chodzili na msze w tym języku).

Dzieci poszły do szkoły angielskiej. – Większość rodzin ich kolegów to rodziny patchworkowe. Na 30–35 dzieci w klasie tylko kilka miało mamę i tatę – opowiada Ewa. – Zaczęliśmy obserwować dzieci naszych znajomych, które do takiej szkoły chodziły dłużej. Wsiąkały w tamten świat i zaczynały żyć w sposób zlaicyzowany, spędzać czas tylko na przyjemnościach. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy jest sens wychowywać nasze dzieci w takim środowisku. Baliśmy się, że w to wrosną. Syn mógł już w Polsce pójść do gimnazjum, więc uznaliśmy, że to najlepszy moment na powrót. Obawialiśmy się, że gdy poczekamy do matury, to później żadna siła go stamtąd nie ruszy.

eprasa.pl 15af488151

Parkowe szaleństwo

Podczas gdy dzieci wzdychają do odległych i drogich Disneylandu czy Legolandu, ciekawe parki rozrywki mamy na wyciągnięcie ręki także w Polsce. A majowy wydłużony weekend to doskonały czas na to, by je rodzinnie odwiedzić. Oto nasze propozycje



DOROTA ŁOSIEWICZ

JULINEK

Mieszkańcy Polski centralnej pod ręką mają podwarszawski Julinek. Ten park rozrywki położony jest w pobliżu tras S7 i A2, tuż obok Leszna, sąsiaduje z miejscowościami Kampinos i Granica, zaledwie 36 km od Warszawy, 22 km od Żelazowej Woli i Brochowa, 34 km od Sochaczewa i 23 km od Modlina. Park w Julinku otwarto trzy lata temu. Odwiedziło go już ponad pół miliona osób. Wiele atrakcji zapewnia całodzienną rozrywkę dla rodziny.

Julinek to miejsce niezwykłe. Prawie 70 lat temu stworzono tam wyjątkową w skali światowej stacjonarną Bazę Cyrkową. Ośrodek stał się nie tylko stałym centrum dla ekip cyrkowych działających w całej Polsce, lecz również terenem ich postojów i zimowania. Baza była przede wszystkim miejscem treningów artystów oraz ośrodkiem doskonalenia sztuki cyrkowej. To tutaj powstała i istnieje do dziś Państwowa Szkoła Sztuki Cyrkowej. Przez długie dziesięciolecia Julinek był ośrodkiem sztuki i rozrywki cyrkowej o znaczeniu światowym. Tutaj ściągali menedżerowie cyrków z całego świata, aby oglądać treningi i występy polskich artystów oraz zapraszać ich na areny wszystkich kontynentów. Szkoła oraz zachowane do dziś budynki ośrodka są częścią narodowego dziedzictwa. Wszak sztuka cyrkowa – przy całej swojej lekkości i ulotności – to część naszej kultury. Kultury popularnej, masowej, ludowej, dostępnej i zrozumiałej dla każdego, także dla dziecka.

Na terenie dawnej Bazy Cyrkowej od 2015 r. istnieje Park Rozrywki w Julinku, który łączy wypoczynek w naturze z beztroską zabawą dla całej rodziny. Park stara się także chronić dziedzictwo polskiej sztuki cyrkowej oraz upowszechnić wiedzę o niej wśród swoich gości. Stąd wystawa w budynku Małej Areny. To atrakcja absolutnie wyjątkowa w skali kraju. Znajdziemy tam plakaty, zdjęcia i rekwizyty dokumentujące historię polskiego cyrku od XIX w. do czasów współczesnych.



Energylandia

eprasa.pl 15af488151

– W żadnym innym kraju europejskim środowisko cyrkowe nie dysponowało tak dużą i tak znaczącą artystycznie bazą, jak ta, która istniała przez 40 lat w Julinku. Wizyta w Parku Rozrywki pozwala nam poznać to dziedzictwo, które przynosiło dobrą sławę naszemu krajowi i naszej kulturze we wszystkich zakątkach świata – podkreśla Janusz Sejbuk, absolwent szkoły w Julinku, były linoskoczek.

Julinek to także oczywiście miejsce, gdzie można naprawdę poszaleć. Np. w Podniebnym Cyrku, czyli jednym z najrozleglejszych w kraju i zdecydowanie największym na całym Mazowszu parku linowym. Ma on ponad kilometr długości i jest podzielony na siedem tras o różnych stopniach trudności. Dwie są przeznaczone dla dzieci. Aby przemierzyć całość Podniebnego Cyrku, trzeba pokonać aż 138 przeszkód. Cały obiekt spełnia rygorystyczne wymogi bezpieczeństwa oraz zapewnia doskonałą zabawę zarówno adeptom podniebnych spacerów, jak i doświadczonym miłośnikom mocnych wrażeń. Kraina Dmuchańców to zespół kilkunastu obszernych obiektów dmuchanych przeznaczonych dla dzieci i młodzieży. Dorośli także znajdą coś dla siebie, np. Hippo Slide – olbrzymią, 30-metrową zjeżdżalnię wodną. W Julinku znajdziemy także pola do gry w minigolfa, na których trzeba stawiać czoła klaunom i dzikim zwierzętom broniącym dostępu do dołków golfowych. Jest też Cyrkowa Strefa Animacji i plac zabaw. Od maja do października gości codziennie zabawiają tu animatorzy. Chętnych nauczą chodzenia na szczudłach i żonglerki. W końcu to najbardziej cyrkowe miejsce w Polsce. Kogo to nie zmęczy, powinien zajrzeć na specjalny tor wyścigowy, po którym poruszać się można ekologicznymi samochodami elektrycznymi (typu jeep, quad i buggy). Na terenie parku działa także wypożyczalnia rowerów i sprzętu sportowego: kijów do nordic walkingu, a zimą także nart biegowych.

Kto ma ochotę, ten może w Julinku spędzić więcej niż jeden dzień. Na miejscu znajduje się hotel Julinek i pole namiotowo-kempingowe. Restauracja Foccacia Pop-Up w budynku Małej Areny oferuje potrawy kuchni włoskiej, zaś w plenerowej strefie gastronomicznej zlokalizowanej w sąsiedztwie głównych atrakcji zostaniemy nakarmieni świeżymi, polskimi daniami bądź grillowanymi potrawami i napojami. Na łasuchów czekają też pyszne słodkości.

PARK EDUKACJI I ROZRYWKI FARMA ILUZJI

Nieco dalej od stolicy, dokładnie 85 km od Warszawy i 80 km od Lublina, koło Woli Życkiej przy ul. Mościska 9 znajdziemy Farmę Iluzji. To mocny i obowiązkowy punkt na turystycznej mapie Mazowsza. Zlokalizowany w środku lasu, na malowniczym, wielopoziomowym terenie, zachwyca zarówno przyrodą, jak i atrakcjami, które tam przygotowano. Park jest uniwersalny. Dobrze będą się bawić zarówno dzieci, jak i rodzice. Atrakcji jest dużo i by je wszystkie zobaczyć, może zabraknąć dnia.

Rodzicom i starszym dzieciom spodobają się miejsca związane z iluzjami. Latająca Chata Tajemnic, czyli uniesiony z jednej strony na kilku gigantycznych balonach dom, w którym dzieją się prawdziwe cuda. Ciekawy jest także Tunel Zapomnienia, który choć ma tylko 6 m długości, to bardzo trudno jest go przejść. Labirynt Luster tworzy iluzję nieskończonych korytarzy, a w Pokoju Amesa dzieci na chwilę stają się większe od swoich rodziców. W Pałacu Cieni można odbić na ścianie swój własny cień. To znikoma część atrakcji.

Jedną z nowości jest przygoda pod tytułem „Tajemnica Opuszczonej Kopalni", do której trzeba zjechać prawdziwą górniczą windą na głębokość kilkuset metrów (albo tak się tylko wydaje). Na dole czekają kopalniane korytarze i spotkanie z duchem. Na szczęście całkiem sympatycznym. Jest to jedyna tego typu atrakcja w Polsce.

Młodsze dzieci także nie powinny wyjść z Farmy Iluzji zawiedzione. Ponieważ maluchy mniej interesują się prawami fizyki, a chętniej stawiają na zabawę, przygotowano dla nich place zabaw, trampoliny, park linowy, dmuchańce, karuzele, kolejki, ruchome smoki, labirynty, domki czy duże klocki.

Są także zwierzaki w minizoo oraz sala zabaw z tysiącami kolorowych piłeczek. Uzupełnieniem jest duży pokój dla mamy z dzieckiem, gdzie mniejsze maluchy mogą się wyciszyć. Można tam dla nich przygotować posiłek czy zmienić pieluchę. Są także wydzielone, zapewniające dyskrecję fotele dla karmiących mam. W każdy weekend, a w wakacje codziennie na parkowej scenie odbywają się przeróżne pokazy.

Na Farmie Iluzji występują najlepsi iluzjoniści, którzy popisują się swoimi umiejętnościami z dużą dawką humoru.

Farma Iluzji to nie tylko rozrywka, lecz także relaks i wypoczynek. Odpoczywać można na leżakach umiejscowionych na plaży w Zatoce Piratów. W lato czynne są baseny wodne ze zjeżdżalniami. Na całym terenie porozwieszano hamaki. Są romantyczne huśtawki i ławeczki. Można także bezpłatnie skorzystać z ognisk (park zapewnia drewno) i samodzielnie przygotować posiłek z przyniesionych przez siebie produktów. Oczywiście jest też gastronomia. Restauracja z domowymi obiadami, prawdziwe hamburgery, grill i ciesząca się sporym powodzeniem kuchnia polowa serwująca wojskową grochówkę. Dla łasuchów oczywiście lody, gofry, naleśniki.

– Park otrzymał wiele nagród i certyfikatów, w tym dla Najlepszego Produktu Mazowsza MROT oraz bardzo prestiżowy Certyfikat Polskiej Organizacji Turystycznej – mówi Tomasz Wielemborek, prezes Farmy Iluzji.

EUROPEJSKIE CENTRUM BAJKI IM. KOZIOŁKA MATOŁKA W PACANOWIE

„W Pacanowie kozy kują, więc Koziołek, mądra głowa, błąka się po całym świecie, aby dojść do Pacanowa" – tak zaczynała się telewizyjna bajka rysunkowa dla dzieci, wykorzystująca postać Koziołka Matołka stworzoną przez Kornela Makuszyńskiego i Mariana Walentynowicza. A ów Pacanów znajduje się ok. 250 km na południe od Warszawy, a tam Europejskie Centrum Bajki im. Koziołka Matołka w Pacanowie. „W Pacanowie, w Międzynarodowy Dzień Dziecka, a jednocześnie w 70. rocznicę urodzin Matołka, 1 czerwca 2003 r., pomysłodawca i ówczesny minister kultury Waldemar Dąbrowski mianował uroczyście Pacanów Europejską Stolicą Bajek. Wówczas rozpoczęto prace nad przeobrażeniem Pacanowa oraz stworzeniem tutaj nowoczesnego dziecięcego centrum kultury – Europejskiego Centrum Bajki. Od tego

eprasa.pl 15af488151


Europejskie Centrum Bajki im. Koziołka Matołka w Pacanowie

czasu corocznie organizowany jest Festiwal Kultury Dziecięcej, na który przyjeżdżają tysiące turystów z całej Polski" – czytamy na stronie internetowej Centrum Bajki.

W Centrum Bajki na dzieciaki czekają różne atrakcje, ale by udać się w bajkową podróż, konieczna jest wcześniejsza rezerwacja. Jedną z przygód jest podróż przez Bajkowy Świat. To unikatowa ekspozycja łącząca najnowsze zdobycze technik multimedialnych z tradycyjnymi eksponatami muzealnymi. To stworzona specjalnie z myślą o dzieciach wspólna podróż przez baśniowe krainy – pełna obrazów, dźwięków, barw, zaskoczeń. W tej przygodzie pośrednikami między światem bajki a rzeczywistością są przewodnicy: Dzwoneczek, Czerwony Kapturek lub Królewna Śnieżka. Wszystko zaczyna się w Bajkowym Przedpokoju, potem zdarzenia nabierają tempa, zwłaszcza w zaczarowanym pociągu, który porywa pasażerów do świata wyobraźni. Wyprawa rozgrywa się na wielu płaszczyznach interaktywności. Jest to również podróż przez krainy geograficzne Europy, niosąca spotkanie z zamieszkującymi je stworami. Dzięki temu dzieci zauważają podobieństwa i różnice między baśniowymi światami różnych narodów. Ekspozycja uczy przez zabawę i poznawanie baśniowych fabuł. Umacnia wiarę dziecka w zwycięstwo dobra nad złem i nieuchronną karę dla tego, co podłe i podstępne.

Mały Teatr to kameralna scena lalkowa prezentująca znane i lubiane baśnie w pięknych aranżacjach. Jej zaletą jest bliski kontakt widzów z lalkami i animatorami. Publiczność zgromadzona w małej, przytulnej salce, nieusztywniona rzędami foteli, wczuwa się w oglądaną historię i przeżywa ją wraz z bohaterami. Po spektaklu widzowie uczestniczą w krótkiej prelekcji o teatrze lalkowym. Oglądają lalki, dowiadują się, jak działają i jak nazywają się różne techniki ich uruchamiania. Po takim spotkaniu również towarzyszący dzieciom rodzice i opiekunowie przestają mylić kukiełki z pacynkami czy marionetkami.

Kraina Soria Moria, będąca interaktywną wystawą, to opowieść oparta na fińskim systemie edukacji, nawiązująca do skandynawskich tradycji bajarskich, łącząca świat baśni, legend i podań krajów Północy (Norwegia, Szwecja, Dania, Finlandia, Islandia, Estonia) z najnowocześniejszą technologią ekspozycyjną. Zwiedzający Sorię Morię zostają zaproszeni do udziału w grze – historii o dramatycznej narracji – której celem jest przedstawienie podstawowych elementów kultury nordyckiej i wzbudzenie zainteresowania tym kręgiem cywilizacyjnym.

ENERGYLANDIA

A skoro odjechaliśmy już dość daleko na południe od Warszawy, nie sposób nie wspomnieć o Energylandii, która jest największym parkiem rozrywki w Polsce. Znajduje się w miejscowości Zator, w połowie drogi między Katowicami a Krakowem. Od Wadowic czy Oświęcimia to niespełna 17 km.

W Energylandii można poszaleć, korzystając z 60 atrakcji rozlokowanych na 26 ha. Znajdziemy tam 27 ogromnych urządzeń, 20 gier i zabaw interaktywnych, a także cztery sceny widowiskowe (dwa teatry i dwa amfiteatry), na których codziennie odbywają się różnego rodzaju pokazy artystyczne, pirotechniczne czy wizualne. Na terenie parku można także znaleźć kino 7D wyświetlające filmy dla dzieci i młodzieży w technologii 3D wspartej dodatkowymi efektami specjalnymi. Atrakcje Energylandii podzielone są na trzy strefy: 1. Bajkolandię – strefę dla najmłodszych, dzięki której można się przenieść do krainy najwspanialszych bajek, korzystając m.in. z klasycznej, pięknej wiedeńskiej karuzeli Sissi, minispływu wodnego Wyspa Skarbów czy kolejek Jeep Safari i Kraina Krasnali; 2. Strefę familijną, w której całe rodziny mogą spędzić niezapomniane chwile na największych w Polsce rollercoasterach, a także sprawiających wiele radości atrakcjach wodnych, np. płynąc łódkami i biorąc udział w bitwie wodnej; 3. Strefę ekstremalną, która dostarczy dużej dawki adrenaliny. Instalacje w tej strefie, takie jak roller coaster Mayan czy Viking, dodadzą dreszczyku emocji. Podobnie jest w przypadku wielkiej obrotowej ławki Apocalipto czy potężnego wahadła Aztek Swing. Water Park to zaś stworzona w 2016 r. strefa naśladująca tropikalną wyspę z mnóstwem atrakcji, zakątków, wodnych zabaw. Można tu zażyć słońca lub odpocząć w cieniu parasola, napić się pysznego napoju z Tropical Baru i swobodnie zrelaksować się całą rodziną pod okiem ratowników. Strefa składa się z trzech basenów z podgrzewaną wodą, o głębokości od 40 do 120 cm, rozmieszczonych na powierzchni 1800 m^2.

W tym roku Energylandia szykuje otwarcie jednego z najszybszych i najwyższych rollercoasterów w Europie. Będzie to już jedenasta kolejka w tym parku.

Na terenie Energylandii znajduje się aż 12 punktów gastronomicznych, a każdy serwuje inną kuchnię i przysmaki.

HISTORYLAND

Skoro zawędrowaliśmy w okolice Krakowa, to koniecznie trzeba wspomnieć o stworzonym w ubiegłym roku krakowskim HistoryLandzie, czyli interaktywnym centrum naukowym, którego główną atrakcją są makiety z klocków Lego ilustrujące najważniejsze momenty z historii Polski. „W naszym centrum przeniesiesz się w samo serce bitwy pod Grunwaldem. Usłyszysz szarżę wojsk, a ledwie kilka minut później będziesz już zupełnie gdzieś indziej. Staniesz za sterem okrętu wojennego pod Oliwą i poczujesz na twarzy morską bryzę. Albo spojrzysz z lotu ptaka na klasztor na Jasnej Górze. Znasz te wydarzenia i miejsca ze szkolnych

eprasa.pl 15af488151


Julinek


Farma Iluzji

Fot. Mat. prasowe (x4)

podręczników? W HistoryLandzie poczujesz emocje podobne do tych, które towarzyszyły ich uczestnikom! Już wiesz, że przeszłość Polski i Polaków jest pełna niesamowitych momentów. Dlatego zabierzemy Cię w interaktywną podróż, w czasie której odkryjesz historię naszego kraju wszystkimi zmysłami. Czeka Cię tu ekscytująca wyprawa przez dzieje Polski i Polaków, od osady w Biskupinie przez heroiczną obronę Westerplatte po krakowskie Sukiennice. To będzie wyjątkowa przygoda!" – zachęcają twórcy edukacyjnego centrum, gdzie historia opowiedziana jest klockami Lego. Wystawa jest zaprojektowana tak, by można było jej doświadczać, a nie wyłącznie ją oglądać. Każdej makiecie towarzyszy zadanie do wykonania – może to być zagranie hejnału krakowskiego lub wciągnięcie żagla na maszt statku biorącego udział bitwie pod Oliwą. W jednej z makiet wykorzystano też technologię Virtual Reality – dzięki okularom mamy możliwość odbycia wirtualnego lotu nad obleganym przez Szwedów klasztorem na Jasnej Górze.

Łącznie w HistoryLandzie znajduje się 10 makiet. M.in.: Biskupin, drzwi gnieźnieńskie w skali 1:1, rynek krakowski atakowany przez smoka, bitwa pod Grunwaldem, obrona Westerplatte, bitwa pod Monte Cassino, a także strajki w Stoczni Gdańskiej.

PRZYGODA Z DINOZAURAMI

A kto kocha dinozaury, może odwiedzić jeden z 18 parków poświęconych tej tematyce. Jeden z popularniejszych w Polsce to JuraPark w Bałtowie w województwie świętokrzyskim. Lokalizacja parku jest nieprzypadkowa, JuraPark powstał bowiem w miejscu odkrycia tropów górnojurajskich dinozaurów. W ostatnich latach stał się jednym z najbardziej popularnych miejsc w województwie świętokrzyskim, prześcigając Jaskinię Raj czy sanktuarium na Świętym Krzyżu. Na terenie parku można obejrzeć około 100 modeli dinozaurów w skali 1:1, pobawić się na placu zabaw, zwiedzić Muzeum Jurajskie. Znajdują się tu również stanowiska gastronomiczne i sklepiki z pamiątkami. Obok JuraPark Bałtów zlokalizowane są dodatkowe atrakcje, m.in.: Zwierzyniec Bałtowski, Ośrodek Jazdy Konnej, kolejka grawitacyjna Rollercoaster. Obok JuraPark Bałtów mamy jeszcze JuraPark Solec i JuraPark Krasiejów. Inne polskie parki związane z tematyką dinozaurów to m.in.: Bałtycki Park Dinozaurów, Dinopark Kołacinek, Dinopark Malbork, Dinopark Szklarska Poręba, Park Dinozaurów Nowiny Wielkie, Park Dinozaurów w Karłowie, Park Rozrywki Zatorland, Ścieżka Edukacyjna Dinozaury w Krasnobrodzie, Zaurolandia.

NA WYPADEK DESZCZU

A gdyby w majowy weekend pogoda miała nie dopisać lub gdyby ktoś po prostu miał ochotę pograć w kręgle, wówczas warto polecić Hulakulę, największe centrum rozrywki w Warszawie, obecne na rynku od ponad 15 lat, zlokalizowaną przy ul. Jagiellońskiej 82b. Hulakula swoim gościom oferuje 28 torów bowlingowych, salę bilardową, place zabaw dla dzieci z trzema strefami dostosowanymi do różnych grup wiekowych, restaurację, bar oraz letni ogródek z zewnętrznym placem zabaw.

REKLAMA



24/0418/F

eprasa.pl 15af488151



Zagadka tatrzańskiego fenomenu

Mimo że w całej Polsce nadeszła już wiosna, wyższe partie Tatr nadal są pokryte warstwą śniegu. Tymczasem w górskich dolinach rozgrywa się efemeryczny, niepowtarzalny i oszałamiający spektakl



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W iosna w wysokich górach to bardzo krótki okres. Śnieg utrzymuje się do maja, niekiedy nawet w tym wybitnie kojarzącym się z wiosną miesiącu na Kasprowym Wierchu nadal panują znakomite warunki narciarskie. W północnych, wyżej położonych kotłach śnieg może nie stopnieć w ogóle – doczeka kolejnej górskiej zimy. Nie jest to długie oczekiwanie – opady śniegu w sierpniu, a nawet w lipcu są raczej normą niż wyjątkiem (zresztą nie tylko w Tatrach: pamiętam pewien dzień 1 czerwca w Gorcach, kiedy pomiary drzewostanów świerkowych pod szczytem Turbacza przyszło mi prowadzić w kilkunastocentymetrowym śniegu).

Krótka, górska wiosna wykorzystywana jest więc intensywnie. Dla roślin to wyścig z czasem: zdążyć wyrosnąć, zakwitnąć i wydać nasiona, zanim znowu wszystko uśnie pod grubą, białą warstwą.

I właśnie teraz na górskich halach rozpoczyna się krótkie, niewiarygodnie intensywne i absolutnie piękne masowe kwitnienie krokusów. Olbrzymie powierzchnie, całe hektary w fiolecie, genialnie się odbijającym od białych łach śniegu, płowoszarej trawy, ciemnozielonego lasu i górujących ponad tym wszystkim wyniosłych, nadal zimowych turni.

URODA FIOLETOWEGO KIELICHA

Prawidłowa nazwa rosnącego dziko w Polsce krokusa to szafran spiski Crocus scepusiensis. Ze względu na brak barier geograficznych hamujących rozprzestrzenianie niewiele jest w naszej florze gatunków, które nie występowałyby gdzie indziej. Nasze krokusy należą do tych nielicznych wyjątków – szafran spiski jest subendemitem zachodniokarpackim, co oznacza, że możemy wprawdzie spotkać go z rzadka w innych rejonach, ale tylko w Gorcach, niektórych pasmach Beskidów, a przede wszystkim w Tatrach tworzy niezwykłe zjawisko jednoczesnego zakwitania milionów kwiatów, które całymi łanami przykrywają wielkie powierzchnie górskich

eprasa.pl 15af488151

łąk, zmieniających wówczas na krótko swoją barwę na fioletową.

Na tym jednak nie kończą się osobliwości polskich krokusów. Tak naprawdę wątpliwości niektórych botaników budzi już samo określenie ich statusu: czy są osobnym gatunkiem, czy też odmianą szafranu wiosennego? Nie wiadomo także, skąd kwiat pojawił się na górskich halach – wiele wskazuje na to, że onegdaj porastał niezbyt licznie wilgotne olszynki, a później, wraz z upowszechnianiem wypasu owiec wystrzygających górskie łąki w sposób idealny dla krokusów, zasiedlił to nowe środowisko. Niewykluczone też, że gatunek ten został do Polski przed wiekami celowo lub przypadkiem sprowadzony.

Niezależnie jednak od pochodzenia krótki moment górskiego przedwiośnia (krokusy kwitnąc, niejednokrotnie przebijają się przez śnieg lub roztapiają go wytwarzanym ciepłem) staje się scenerią jednego z najbardziej fenomenalnych spektakli przyrody.

Najlepszym zaś przepisem na ochronę zjawiskowego fioletu jest kierdel pasących się od wiosny do jesieni owiec, strzygących łąki i zapobiegających ich zarastaniu, udeptujących raciczkami glebę, w której tkwią krokusowe cebulki, zapewniających korzystny bilans żyzności – dzięki stałej produkcji owczych bobków.

Powódź kwiatów, których fiolet podkreślony jest przez świecący w jego wnętrzu pomarańczowo-żółty słupek i pręciki, przyciąga niewiarygodne tłumy. W szczycie kwitnienia tylko Dolinę Chochołowską w ciągu jednego pogodnego dnia może odwiedzić kilkadziesiąt tysięcy osób! Dlatego planując wyprawę na krokusy, lepiej wybrać się w dzień powszedni (warto poświęcić urlop, żeby chociaż raz uczestniczyć w święcie kwitnącego krokusa), a przede wszystkim pamiętać: wszystkie rośliny w parkach narodowych, również w Tatrzańskim Parku Narodowym, są chronione, a krokusy dodatkowo podlegają ochronie gatunkowej. Nie wolno ich zrywać ani deptać, poza tym w parku narodowym nie wolno schodzić ze szlaków turystycznych, nawet dla zrobienia najpiękniejszego zdjęcia. Równanie jest proste: tłumy turystów, którzy nie szanują przyrody = koniec krokusów.

PRZYPRAWA DROŻSZA OD SREBRA… I COŚ JESZCZE CENNIEJSZEGO

Szafran spiski jest spokrewniony z szafranem uprawnym, źródłem najdroższej przyprawy świata. Szafran uprawny, używany i ceniony od kilku tysiącleci, pochodzi z Azji lub południowo-wschodniej Europy. Jest najdroższą przyprawą świata: kilogram szafranu kosztuje kilka tysięcy złotych. Więcej niż kilogram srebra! Żeby zdobyć kilkadziesiąt gramów szafranu, trzeba ręcznie oskubać malutkie znamiona kwiatowych słupków z kilkudziesięciu tysięcy kwiatów... By zdążyć, zanim kwiaty przekwitną, zbieracze na plantacjach znajdujących się głównie w Iranie, Hiszpanii i we Włoszech, pracują przez całą dobę.

To zresztą tylko szafranowa dygresja. Występujący w Polsce szafran spiski w przeciwieństwie do szafranu uprawnego nie jest źródłem kosztownej przyprawy, przynosi pożytek tylko pszczołom i trzmielom.

Nie szkodzi – sam widok łanów fioletowych krokusów w tatrzańskich dolinach jest źródłem wrażeń tak silnych i niebywałych, że nie oddałbym ich za żadne przyprawy świata.



Fot. Z archiwum autora

eprasa.pl 15af488151



Fot. Shutterstock | 270418/F

Przywróćmy naszej fladze należną cześć!

Już 2 maja w Dzień Flagi Rzeczypospolitej Polskiej rozpocznie się kampania społeczna, której celem jest przywrócenie należnego szacunku naszym barwom narodowym. Hasłem przewodnim kampanii będzie „Nasza historia ma tylko dwa kolory. Nie pisz na fladze”

Polska flaga to symbol wspólnoty oraz dumy z polskości. Pomimo burzliwej historii Polski oraz wielu zmian, jakim uległ wygląd flagi, do dziś barwy bieli i czerwieni pozostały niezmienione.

Weksylia, czyli znaki rozpoznawcze wykonane przeważnie z tkaniny, którą następnie mocowano do drzewca lub liny na maszcie, były w przeszłości znakiem państwowym używanym zdecydowanie częściej niż np. herby, czego przykładem były chociażby polskie chorągwie królewskie, które zawsze miały barwy białą i czerwoną. Co istotne, w charakterze barw narodowych biel oraz czerwień zostały użyte po raz pierwszy oficjalnie dopiero 3 maja 1792 r. w Warszawie,

eprasa.pl 15af488151

w trakcie uroczystości rocznicowych uchwalenia konstytucji, kiedy to m.in. panie wystąpiły w białych sukniach z czerwonymi szarfami, podczas gdy panowie założyli szarfy biało-czerwone.

NIE BYŁO PAŃSTWA, BYŁA FLAGA

W XIX w. w Europie Środkowej coraz bardziej powszechny stał się zwyczaj tworzenia flag państwowych, regionalnych czy też miejskich o kilku pasach poziomych w barwach herbu. Ten sam trend widoczny był także w ówczesnej Polsce, i to mimo że ta formalnie nie istniała wówczas jako niepodległe państwo. Po raz pierwszy chorągiewki w polskich barwach narodowych zaistniały 25 lutego 1861 r. w Warszawie podczas demonstracji upamiętniającej 30. rocznicę bitwy o Olszynkę Grochowską, będącą zdaniem historyków najbardziej krwawą bitwą powstania listopadowego. Masowo biało-czerwone flagi pojawiły się jednak dopiero kilkadziesiąt lat później, a dokładniej 3 maja 1916 r., a więc w trakcie zmagań w ramach I wojny światowej, podczas demonstracji z okazji 125. rocznicy uchwalenia naszej konstytucji.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości barwy narodowe zostały oficjalnie potwierdzone na mocy ustawy z dnia 1 sierpnia 1919 r., ustanawiającej oficjalnie polską flagę, w której wskazano wprost: „Za barwy Rzeczypospolitej Polskiej uznaje się kolor biały i czerwony, w podłużnych, równoległych, z których górny – biały, dolny zaś – czerwony".

NASZA HISTORIA MA TYLKO DWA KOLORY

Wyrazem poszanowania historii i pamięci pokoleń Polaków, dla których biało-czerwone barwy były wizualizacją najważniejszych ideałów, jest kampania społeczna, która rozpocznie się już 2 maja pod hasłem „Nasza historia ma tylko dwa kolory. Nie pisz na fladze". Głównym inicjatorem kampanii jest Grupa LOTOS przy współpracy z Narodowym Centrum Kultury, zaś partnerami akcji są: rządowy program „Niepodległa", Telewizja Polska oraz Polskie Radio.

Organizatorzy kampanii chcą również zwrócić uwagę społeczeństwa na świadome korzystanie z symboli narodowych. Wielu Polaków bowiem nie wie, że na fladze nie powinno się umieszczać dodatkowych elementów, w tym także napisów, i często robi to zupełnie nieświadomie. W ramach kampanii przygotowana zostanie seria spotów reklamowych mająca przypomnieć odbiorcom, jak poprawnie używać symboli narodowych zgodnie z ich przeznaczeniem.

– Na fladze nie wolno umieszczać rysunków ani napisów; niedopuszczalne jest wyrzucanie papierowych czy materiałowych chorągiewek do kosza; podczas wciągania flagi na maszt trzeba zachowywać się godnie, stać na baczność, nie rozmawiać – mówił w rozmowie z PAP heraldyk Alfred Znamierowski. – Niestety nie mamy takiego zwyczaju jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie przy wciąganiu flagi na maszt, podobnie jak przy hymnie, kładzie się prawą rękę na sercu. U nas tego nie ma, ale trzeba zachować przynajmniej poważną pozycję i zachować milczenie – dodaje ekspert.

FLAGA NARODOWA TO NIE SZALIK KLUBOWY

Pamiętajmy o tym, że flaga którą dzisiaj tak chętnie zabieramy chociażby na mecze kadry narodowej, to ten sam symbol polskiego państwa, za który ginęli żołnierze generała Władysława Andersa w bitwie pod Monte Cassino czy powstańcy podczas krwawych walk w Warszawie. Z obserwacji wynika, że ze zjawiskiem pisania na fladze spotykamy się najczęściej właśnie podczas imprez sportowych. Ten fakt tłumaczy, dlaczego akurat Grupa Lotos zdecydowała się zainicjować kampanię społeczną, która ma uświadamiać niestosowność umieszczania napisów na fladze – wyjaśnia Witold Pasek, dyrektor ds. marketingu Grupy LOTOS – LOTOS jest aktywnym mecenasem polskiego sportu. Nasza firma jest m.in. Głównym Sponsorem Reprezentacji Polski w piłce nożnej, Generalnym Sponsorem Polskiego Związku Narciarskiego oraz Oficjalnym Partnerem Roberta Kubicy. Zależy nam na tym, aby kibice, którzy zawsze wspierają naszych rodaków podczas najważniejszych wydarzeń sportowych, szanowali flagę narodową i nie pisali po niej.

– Kibice powinni wykorzystywać barwy narodowe. Flaga różni się tym od barw narodowych, że barwy narodowe mogą być w różnych proporcjach, natomiast flaga ma proporcje 5 do 8 i na fladze żadnych napisów ani innych znaków nie może być. Co innego na barwach narodowych. Szczególnie kibice skoków narciarskich bardzo często używają barw narodowych z napisem miejscowości, z której pochodzą. Jest to zarówno oznaka patriotyzmu, że są Polakami, jak i patriotyzmu lokalnego – z jakiej miejscowości pochodzą – i myślę, że to jest dopuszczalne – wyjaśnia w wywiadzie dla PAP Alfred Znamierowski.

JEDNOCZY WSZYSTKICH POLAKÓW

Kampania „Nasza historia ma tylko dwa kolory. Nie pisz na fladze" realizowana jest z okazji stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Start kampanii planowany jest na przypadający 2 maja Dzień Flagi Rzeczypospolitej Polskiej. Data ta naturalnie kojarzy się z flagą przede wszystkim ze względu na symbolikę – 2 maja w PRL był dniem, kiedy Polacy zmuszani byli do zdejmowania flag po Święcie Pracy. Tego dnia obchodzimy również święto Polonii i Polaków będących poza granicami kraju, o czym przypominała w swoim zeszłorocznym wystąpieniu ówczesna premier Beata Szydło.

– Dziś, 2 maja, trzeba mówić o rodakach za granicą, w Dniu Polonii. To święto tych, którzy mimo że mieszkają poza granicami Polski, mają Polskę w sercach, i my również powinniśmy pamiętać o nich i zapraszać ich do Polski, bo jesteśmy jedną wielką polską rodziną, biało-czerwoną rodziną, która nawet jeżeli jest rozproszona po różnych częściach świata, to jednoczy się pod biało-czerwoną flagą, ma w sercu polskie godło i na ustach polski hymn – mówiła Beata Szydło. Pamiętajmy o tych słowach.

Partner kampanii LOTOS

eprasa.pl 15af488151

szanujflagę.pl



NASZA HISTORIA MA DWA KOLORY

Nie pisz na fladze

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

niepodległa

inicjator kampanii LOTOS

partnerzy Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. NARODOWE CENTRUM KULTURY TVP POLSKIE RADIO 1919 PZN BAJKA

eprasa.pl 15af488151

Odc. 4/12



„Szarża pod Rokitną”, mal. Wojciech Kossak

Szarża pod Rokitną

Cykl dodatków o niezwykłych ludziach, którym Polska zawdzięcza Niepodległość

MECENAS DODATKU

PARTNERZY DODATKU

PZU

ALIOR BANK

Bank Pekao

LOTOS

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

Fot. Muzeum Wojska Polskiego / East News

eprasa.pl 15af488151

Potomkowie bohaterów spod Somosierry

Ułani spod Rokitny

Tomasz Łysiak

Kircholm, Kłuszyn, Wiedeń, Somosierra. Polskie serce, polska wrażliwość, polska pamięć o historii mają pewną specjalną przestrzeń – w niej znajduje się miejsce dla niezwykłych szarż naszej kawalerii. Sobieski wysyłając husarię przeciw armii imperium osmańskiego, bronił Europy i cywilizacji chrześcijańskiej, a towarzysze pancerni z medalionami z Matką Boską na pancerzach bronili nie tylko ziemi, nie tylko miast i wsi, lecz także najświętszych wartości

Nasi jeźdźcy budzili we wrogach strach i szacunek. Szarże stawały się powodem do dumy dla kolejnych pokoleń Polaków. W tym roku będziemy obchodzić 210. rocznicę szarży pod Somosierrą, w której Napoleon wyznaczył właśnie polskich szwoleżerów do wykonania tego, co „niemożliwe". W jej trakcie złotymi głoskami zapisywały się nazwiska Kozietulskiego, Krzyżanowskiego, Dziewanowskiego czy Niegolewskiego. Minął ponad wiek i znowu polscy ułani walczyli o wolność. Na głowach mieli czaka, które choć w latach I wojny światowej wyglądały mocno anachronicznie, to dla chłopców je noszących były najpiękniejszym symbolem dawnych dni i chwalebnych zwycięstw. Zupełnie świadomie nawiązali kształtem nakryć głowy do swoich poprzedników zdobywających działa Somosierry. Gdy zaczynała się wojna, nie wiedzieli, iż część z nich pójdzie w ślady bohaterów roku 1808 dosłownie i weźmie udział w najpiękniejszej i najkrwawszej polskiej szarży okresu wielkiej wojny – pod Rokitną. To o nich będzie ta opowieść.

Nie bez kozery wspominamy szwoleżerów roku 1808 w kontekście historii walk o niepodległość lat 1914–1918. Ułani zarówno I, jak i II Brygady byli żywym odbiciem – jakby z prochów wskrzeszonych – dawnych polskich kawalerzystów. Pisał Kaden-Bandrowski: „Jadą konno zbrojno, na obraz i podobieństwo krakusów Madalińskiego, ułanów księcia, na obraz i podobieństwo tego rycerskiego czynu, który krwią okwitł i nigdy już – zdawało się nie wskrześnie...".

Wyrzucić Rokitną z pamięci

Tymczasem cud się dział i nowe ułańskie pokolenie wskrzeszało Polskę. By o nim opowiedzieć, musimy się przenieść tym razem do II Brygady Legionów Polskich i dywizjonu kawalerii dowodzonego przez rotmistrza Zbigniewa Dunin-Wąsowicza. Szczególnego znaczenia w jego historii dodaje to, iż był on prawnukiem szwoleżera biorącego udział w szarży pod Somosierrą Mikołaja Dunin-Wąsowicza, który w trakcie ataku na hiszpańskie działa został ranny. Nie przez przypadek w pieśni „Czerwone maki pod Monte Cassino" Feliks Konarski zestawił obie bitwy. Dla pokoleń jeszcze „przedwojennych" było to oczywiste:

Runęli przez ogień, straceńcy!
Niejeden z nich dostał i padł...
Jak ci z Somosierry szaleńcy,
Jak ci spod Rokitny, sprzed lat.
Runęli impetem szalonym
I doszli. I udał się szturm.
I sztandar swój biało-czerwony
Zatknęli na gruzach wśród chmur.

Cenzura PRL dokonała w tekście piosenki różnych operacji i zmian, m.in. Rokitną po prostu usunięto z tekstu i zastąpiono... Racławicami (jakby tam się odbyła podobna szarża kawaleryjska).

eprasa.pl/psa/488151

Gorzko pisał o tym sam Konarski: „Z kraju dotarły do mnie dwa wydania nutowe »Czerwonych maków« […]. Owszem, ładna nawet [okładka]. Bo i maki są, i zasieki, i atakujący żołnierze. Tylko że umundurowanie dziwne i hełmy u tych żołnierzy zgoła niepodobne do tych, jakie były używane w kampanii włoskiej – formą przypominające raczej hełmy inne, których nie widziano na froncie zachodnim. Niby hełmy na okładce nie są znowu takie ważne – ale może zmieniono je na wszelki wypadek? […]. W obu wydaniach zmieniono tekst. Zdawałoby się drobiazg. Jedno słowo. W oryginale było: »jak ci spod ROKITNY sprzed lat« – w wydaniach krajowych jest: »jak ci spod RACŁAWIC sprzed lat«. Niby na oko nie ma wielkiej różnicy. I to na »R« – i tamto na »R«. I to była szarża – i tamto. I tu biło się »rusków« – i tam się »rusków« biło. Tylko że pod Racławicami bili kosynierzy – a pod Rokitną legioniści. O właśnie. Legioniści. Lepiej zmienić. Na wszelki wypadek…”.

PRL usiłowała wyrugować Rokitną ze świadomości i pamięci Polaków, przecież Piłsudski, który bił bolszewika, nie mógł być bohaterem czczonym w szkołach. Podobnie jak inni bohaterowie legionowi. Komuniści okazali się na tyle skuteczni, że wymazali Rokitną z publicznego zbioru pamięci o najpiękniejszych naszych bojach. I o ile jeszcze Kozietulski i Somosierra są rozpoznawalnym ich przykładem, o tyle Rokitna i Zbigniew Dunin-Wąsowicz już nie.

Cel miał jeden

A zatem opowiedzmy o rotmistrzu. Był synem Bolesława, szambelana dworu cesarskiego i oficera Cesarskiej i Królewskiej Armii. Urodził się w Brzeżanach. W domu wychowywał się w tradycji patriotycznej, w kulcie czynów pradziadka spod Somosierry. Uczył się w szkole kadetów w Łobzowie (obecnie jest to jedna z krakowskich dzielnic) i zaczął karierę wojskową. Został w armii austriackiej oficerem i w stopniu podporucznika od 1910 r. służył w 13. pułku ułanów. Ale w roku 1912 na własne życzenie został zwolniony z tej służby. Cel miał jeden – walkę o niepodległość Polski. Dunin-Wąsowicz rzucił więc mundur austriacki, by związać się z ruchem strzeleckim. Wrócił do rodzinnych Brzeżan, zorganizował działalność związku strzeleckiego i objął dowództwo

Zbigniew Dunin-Wąsowicz, ur. 1882, poległ 13 czerwca 1915, prowadząc szarżę pod Rokitną, polski dowódca wojskowy, rotmistrz Legionów Polskich



Fot. Zbiory D.B. Łomaczewska / East News

eprasa.pl 15af488151

Oficerowie drugiego szwadronu ułanów



Fot. Polska Akademia Nauk

wyszkolenia w obozie dla strzelców. Po spełnieniu misji przeniósł się do Lwowa, a stamtąd do Krakowa. Po zabójstwie arcyksięcia Ferdynanda świat w szaleńczym tempie zbliżał się ku wojnie. Rozkaz mobilizacyjny Piłsudskiego ściągał ze wszystkich stron strzelców, drużyniaków i tzw. sokołów (członków towarzystwa Sokół). Jako świetny kawalerzysta Dunin-Wąsowicz objął dowodzenie oddziałem Sokołów Konnych. Uczestniczył w powstańczych walkach na początku sierpnia 1914 r. na terenie Kielecczyzny, a po połączeniu z oddziałem Beliny dość szybko dostał własne, odpowiedzialne zadanie – formowania w Krakowie oddziałów kawalerii Legionów Polskich. W Przegorzałach oraz przy ul. Smoleńsk ćwiczył, szkolił i szykował do boju zgłaszających się do niego kawalerzystów. To właśnie w stajniach konnego Sokoła w Krakowie sformował dwa szwadrony Legionów – 2. i 3. Na początku września objął dowództwo 2. szwadronu... I z tym właśnie szwadronem miał potem szarżować w czerwcu 1915 r. cztery linie rosyjskich umocnień pod Rokitną...

Wspomnienie generała Rostworowskiego

Jeden z jego podkomendnych, pochodzący z arystokratycznej rodziny herbu Nałęcz, Stanisław Rostworowski do szwadronu Wąsowicza zaciągnął się 2 września. Był uczestnikiem nie tylko słynnej szarży, lecz także wielkiej bitwy pod Kostiuchnówką, wtedy już jako oficer. Od czerwca 1916 r. był adiutantem ppłk. Sikorskiego i w sporze między Sikorskim a Piłsudskim stał oczywiście po stronie swojego szefa. Miał się także opowiedzieć przeciwko Marszałkowi w trakcie przewrotu majowego. W trakcie II wojny światowej generał Rostworowski walczył w obronie Warszawy a potem po wielu perypetiach trafił do Komendy Głównej AK, przy której pełnił funkcję inspektora obszaru Krakowa i Śląska. Został zatrzymany przez gestapo. W trakcie brutalnego śledztwa się modlił. Kiedy oficer SS Heinrich Hamann uderzył go w twarz, generał zdzielił Niemca trzykrotnie, a następnie chwycił za krzesło i zaatakował stojącego obok gestapowca. Został za to ciężko pobity i nazajutrz rozstrzelany. Generał Rostworowski pozostawił po sobie zapiski i wspomnienia. Zarówno z czasów legionowych, jak i z okresu wojny polsko-bolszewickiej. W pracy „Nie tylko Pierwsza Brygada" znajdujemy taki

epirasa.pl/5af488151

920/0118/F



Bank Pekao S.A. Dotyczy aplikacji PeoPay od wersji 3.0. Aplikacja jest dostępna na telefony z systemem Android w wersji 4.1 i wyższej lub iOS w wersji 9 i wyższej. Nowe funkcjonalności są dostępne pod warunkiem zaakceptowania zmian w Regulaminie Rachunków Bankowych Banku Pekao S.A. dla osób fizycznych. PeoPay jest częścią usługi Pekao24. Więcej informacji na impekao24.pl.

eprasa.pl 15af488151

jego opis początków działania 2. szwadronu i jego dowódcy rotmistrza Wąsowicza: „Pod wieczór zestawiono nas w szeregi, pluton umundurowanych wysunięto dla okazałości naprzód. Warta przy bramie, opatrzona jedynymi wówczas posiadanymi 6 karabinami, otrzymała specjalne instrukcje, jak się zachować. W szeregach kończono naprędce dyskusje polityczne. Przed bramę zajechał wózek. Warta krzyknęła »baczność!« i na dziedziniec wszedł Wąsowicz. Niskiego wzrostu, po wojskowemu opięty w szary wojskowy mundur, bez żadnych oznak, tylko ze sznureczkiem oficerskim od gwizdka na piersiach – w ręce żółta trzcinka. Wśród panującej ciszy rozległ się meldunek chwilowego komendanta o ilości ludzi i koni. Wąsowicz przeszedł wzdłuż szeregu ochotników, popatrzał im w oczy, uśmiechnął się na widok tak rozmaitych strojów i przemówił krótko: »Legioniści! Cieszę się, że w wielkiej wojnie z naszym odwiecznym wrogiem, Rosją, pójdziemy razem w polskim mundurze bić się za Ojczyznę! Jutro o godzinie 4 rano zbiórka«. Padł rozkaz: rozejść się. Inspekcja była skończona. Wąsowicz dosiadł swojego siwego arabczyka Selima i przejeżdżał spokojnie na manežu, imponując nam wysoką szkołą jazdy”.

Jerzy Topór-Kisielnicki

Wtedy także, we wrześniu, pojawił się w szwadronie Jerzy Topór-Kisielnicki, jedna z najjaśniejszych gwiazd dywizjonu, świetny żołnierz, który już pod Kielcami pokazywał, na co go stać, i który miał potem, pamiętnego dnia czerwcowego pod Rokitną, dać przykłady niezwykłego bohaterstwa. Kisielnicki był inżynierem. Miał dwóch braci: Ryszarda i Włodzimierza. Pochodził z Lubelskiego, jego ojciec Zygmunt miał majątek ziemski w Zielonej. Topór ukończył Politechnikę Lwowską, a w dorosłym życiu pracował przy budowie wodociągów, w tym także w Ameryce, wykonywał melioracje pól i torfowisk, ozdabiał gmach Gafoty we Lwowie. O ile, powiedzmy sobie szczerze, nasz rotmistrz Dunin-Wąsowicz nie prezentował się zbyt „okazale”, o tyle Kisielnicki imponował piękną sylwetką. Tak go opisywał Rostworowski: „Obok pięknej postaci, która go w szwadronie wyróżniała, miał w sobie jakąś dziwną dziarskość i tężyznę. Nerwowy z natury, spokojny pod kulami, zawsze wesół i pełen werwy, pozyskał wnet sobie miłość całego oddziału”. A nie brak mu też było fantazji. Tej samej, jaką widzieliśmy u Beliny, który bez koni ruszył na pierwszy patrol ze słynną „siódemką”. Gdy przed wybuchem wojny Jerzy wstąpił do Sokoła i potem ruszył z Lwowa do Krakowa pod dowództwem Witolda Ścibora-Rylskiego i Marcelego Śniadowskiego, to co prawda mieli broń i siodła, ale i im brakło koni.

„Nie tylko my, którzyśmy ten dzień przeżyli, lecz cała Polska pamiętać będzie ten dzień chwały i smutku. Jak ongi Somosierra złotemi głoskami wryła się w karty historyi oręża polskiego – tak dzieci nasze uczyć się będą historyi tego dnia, bardzi nasi opiewać szarżę rotmistrza Wąsowicza na wzgórza nad Rokitną”

Swoich podkomendnych zdobywał fantastyczną postawą w trakcie walki. Oddajmy znowu głos Rostworowskiemu: „W czasie bitwy pod Kielcami szrapnel rosyjski ubił mu wierzchowca. Towarzysze sądzili, że i on sam zginął, i z tą wieścią do reszty wojska z szarży na pułk kawalerii rosyjskiej wrócili. Po tygodniu na rynku w Jędrzejowie zjawił się Topór żyw i cały. Radość była powszechna. Okazało się, że te dwa dni chwilowej utraty Kielc z naszych rąk Topór przeżył na rusztowaniu kościelnym bez jedzenia, a nawet – jak sam mówił – gorzej, bo bez papierosa. Ledwo już żyw doczekał się powrotu patroli austriackich i powrócił do domu”.

Objął Kisielnicki dowództwo nad 3. plutonem 2. szwadronu. Właściwie można powiedzieć, że razem ze Zbigniewem Dunin-Wąsowiczem współtworzył



ten szwadron. W październiku 1914 r. miał przejść, razem z resztą chłopaków i ze swoim dowódcą, prawdziwy chrzest bojowy pod Cycułowem.

Jagrym pod Cycułowem

Relację z bitwy pod Cycułowem, która się rozegrała 26 października 1914 r., zostawił dowódca 2. plutonu, późniejszy pułkownik kawalerii Janusz Jagrym-Maleszewski. Urodził się w roku 1879, chodził do szkoły realnej w Warszawie, z której został wywalony za udział w manifestacji patriotycznej. Od 5 sierpnia służył w wojsku organizowanym przez Piłsudskiego, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, a w trakcie przewrotu majowego trzymał stronę zwolenników Marszałka. W swoim wspomnieniu (dedykowanym cieniom

eprasa.pl/psa/488151



Fot. Biblioteka Narodowa

rotmistrza Wąsowicza i poległych towarzyszy broni) pisał z werwą o walkach z Moskalami:

„A tam przed nimi o parę tysięcy kroków kręcą się po polu jakieś kupki jezdnych. Kozacy naturalnie. Niby chcą nacierać, niby się cofają i kryją za pagórkami. Poskoczył Wąsowicz przed front: parę słów komendy i stoi już szwadron, rozwinięty plutonami. Gotów do ataku. Szable w garściach. Z oczu ułanów aż bucha ochota przejechać się po paskudnych kozackich mordach. Spojrzał raz jeszcze Wąsowicz na swoich ułanów, zmierzył okiem odległość od kozactwa, zatoczył szablą nad głową błyskawicę i... »Za mną wiara! Do ataku!«. A sam już o kilkadziesiąt kroków na przedzie. Porwały się plutony za swym dowódcą. Wtem ze wsi zaczynają padać salwy. Kule nie trafiają jeszcze nikogo, ale idą gęsto, coraz gęściej. A z tamtych niesfornych oddziałów za wsią, na które właśnie szwadron się porwał, zaczynają formować się wcale sforne sotnie. [...] Zorientował się błyskawicznie w sytuacji Wąsowicz. [...] Trzeba ryzykować: spróbować zagrodzić im drogę jednym plutonem, a resztą wyprzeć wroga ze wsi. Wstrzymał więc Wąsowicz konia, aż ten chrapami w ziemię zarył, i nadbiegającym plutonom rzucił słowa komendy: »Pierwszy pluton do ataku!«, »Drugi, trzeci, czwarty pluton z koni, do walki pieszej!«. Pierwszemu plutonowi kierunek szablą wskazał – pomknęli z kopyta; a sam przed pozostałymi konia osadził". Dalej mamy opis iście sienkiewiczowski – ataki, podjazdy, podchody, ostrzeliwania: „Walą wciąż do naszych, lecz źle mierzą psubraty. I za nisko!"; „Hurra, dopadli do wsi i w mgnieniu oka rozsypali się po niej!"; „Nie wytrzymali ognia kozacy. Zawracają. Wąsowicz na środek drogi i pali z pistoletu w bezwładną kupę. Dobrze strzela. Coraz to któryś kubaniec ręce rozłoży i łbem o ziemię stuknie". I tak dalej... A po bitwie ponad ułanami uniosły się słowa układanej na gorąco piosenki:

Nasz Wąsowicz, chłop morowy,
Zbił Moskali w Cycułowej.
Z pistoletu, w środku drogi,
Celnie prażył dzikie wrogi.
Przy nim jego szwadron drugi,
Wrażej krwi przelewał strugi...

Sam szef sztabu komplementował Wąsowicza i jego ludzi: „O wczorajszej bitwie otrzymaliśmy już wiadomości. Mieliśmy już was za straconych. Niepodobna było na czas

eprasa.pl 15af488151



Ułani Wąsowicza w nocnym marszu

Fot. Biblioteka Narodowa

podesłać posiłki. Ale, mała poprawka: według dokładnych informacji, jakie posiadam, nie z czterema, lecz conajmniej z ośmioma sotniami kozaków mieliście do czynienia. Dzielnie szwadron się spisał. Dziękuję Panu, Panie Rotmistrzu!".

W ten sposób Wąsowicz dowiedział się o awansie na stopień rotmistrza... Wtedy jeszcze nie wiedziano, iż „mały rotmistrz" swój wierny szwadron poprowadzi ku większej chwale... Na polach Rokitny...

Pogranicze

Wiosną roku 1915 II Brygada się reorganizowała. Podzielono ją na trzy grupy taktyczne. Prowadziła wówczas walki pozycyjne nad Prutem. Na początku kwietnia jej dowódcą został Austriak Ferdynand Küttner, a w połowie miesiąca legionistów przerzucono na pogranicze Besarabii i Bukowiny. Tam zostali podporządkowani generałowi Ignazowi Edlerowi von Kordzie. W czerwcu zreorganizowano także oddział kawalerii i przekształcono 2. i 3. szwadron w II dywizjon, nad którym komendę objął rotmistrz Dunin-Wąsowicz. 12 czerwca dywizjon, a także 2. i 3. pułk piechoty zajęły pozycje obok wsi Rokitna. Tak pisał o tych chwilach żołnierz 3. pułku, aspirant oficerski Legionów Wiktor Mondalski: „W środku olbrzymich pól, prawie stepu, powitały naszych krzyżowym ogniem pierwsze strzały armatnie, szrapnele z trzech rosyjskich bateryi, podczas gdy piechota nasza posuwając się naprzód wypierała przed sobą rosyjskie placówki... Około godziny piątej popołudniu – od rana bez spoczynku prawie – stanęła pierwsza linia, cztery bataliony pod Rokitną, u stoków wąwozu, którego dnem płynie strumyk graniczny. Natomiast dwa bataliony pułku drugiego, stały dalej w rezerwie i w nie to biły przeważnie szrapnele przenoszące pierwszą linię bez szkody dla niej...". Następnego dnia miało się tam rozegrać piekło.

Józef Mączka

Rotmistrzowej sławie...

(Cieniom Zb. Dunina-Wąsowicza)

Zawołała cię mara skrzydlata –
słodkieć urzekło wołanie...
W dal ku sobie wabiła cię zwiewna –
poleciałeś na koniu w kraj świata!...
Zawołała cię Sława–Królewna,
Ułanie!...

[...]

W sine kresy – na dzikie hen pola
zaleciałeś z twoimi ułany –
kędy wichrów poszumna swawola
falujące całuje burzany –
gdzie wśród stepów drzemiące kurhany
senne głowy podnoszą ciekawie –
kto śmie burzyć snów starych spokoje?...
Zali Polska powstaje we sławie –
zali dawne prowadzi tu woje?...

———————————-

Alić biła godzina twa szczytna
dnia onego słoneczne południe...
Besarabska przed tobą Rokitna
tęczą sadów stroiła się cudnie,
jabłoniami spłonione ogrody
na królewskie witały cię gody...

[...]

Przeleciałeś ty wichrem przez błonie,
przeleciałeś przez grzmiące okopy –
z konia w niskim się chylisz pokłonie,
Otoć nadszedł kres długiej tęsknoty,
pałasz niesiesz kochance pod stopy –
pałasz rzucasz – hej, pałasz twój złoty!!!...

Piotrków, w lipcu 1915

28/0218/F

eprasa.pl/15af488151

PODPIS KWALIFIKOWANY
SIGILLUM PWPW



Twoje trzy kroki w przyszłość:

1. Wejdź na stronę **sigillum.pl** i zarejestruj się.
2. Umów się na wizytę z inspektorem i potwierdź swoją tożsamość.
3. Zacznij korzystać z e-podpisu.

www.sigillum.pl

PWPW
CENTRUM USŁUG ZAUFANIA
SIGILLUM

eprasa.pl 15af488151

Rokitna

Sięgnijmy znów do wspomnień Mondalskiego: „Niedziela 13 czerwca na zawsze pozostanie w naszej pamięci. Wszystkie bataliony Brygady od samego ranka w ogniu. Słońce piekło żarem, a armaty grzmiały to salwami, to w pojedynkę, już to nasze, już to rosyjskie – częściej te ostatnie broniące pozycji z góry straconej, jakby targując się tylko o cenę, za jaką oddać mają wieś i okopy nad nią leżące, silne, prawie niezdobyte, a przecież z nieubłaganą koniecznością przypaść mające Legionowi, dwom jego pułkom, drugiemu i trzeciemu, idącym oto pod pułkownikiem Zielińskim i majorem Minkiewiczem, z drugiej strony spokojnie i wytrwale”.

Mamy także kapitalną relację innego żołnierza II Brygady – Barucha Menkesa – który był oficerem przy sztabie brygady, wspomnienia opublikował zaś pod nazwiskiem Bertold Merwin. Ten dziennikarz, publicysta, literat, członek Związku Strzeleckiego od roku 1913, tak znowuż opisywał tę niedzielę: „Nie tylko my, którzyśmy ten dzień przeżyli, lecz cała Polska pamiętać będzie ten dzień chwały i smutku. Jak ongi Somosierra złotemi głoskami wryła się w karty historyi oręża polskiego – tak dzieci nasze uczyć się będą historyi tego dnia, bardzi nasi opiewać szarżę rotmistrza Wąsowicza na wzgórza nad Rokitną... Nad ranem wykonała nasza piechota atak na wzgórza. Dotarła aż na kraj wsi i – stanęła. Dopóki jest na wzgórzach piechota rosyjska, doskonale ukryta w swych rowach, dysponująca mnóstwem karabinów maszynowych i armat, każdy atak unurza się w nadmiarze krwi i nie dojdzie... Więc przyszedł rozkaz, by inaczej sforsować te zamienione w fortecę wzgórza. Kawalerią”. Pomysł forsowania umocnionych wzgórz, trzech linii umocnień rosyjskich (w tym zwykłych rowów strzeleckich, ale także pełnoprawnych okopów, z umocnieniami, ziemiankami i gniazdami karabinów maszynowych) był po prostu szalony. Dlatego wezwany przed oblicze szefa sztabu II Brygady kapitana Vargasa (lub Vagasa, jak czasem podaje się to nazwisko) rotmistrz Dunin-Wąsowicz usiłował protestować. Na nic się to zdało – rozkaz albo można było wykonać, albo dopuścić się niesubordynacji, narazić na szwank dobre imię Legionów i w ten sposób zepsuć to, o co walczyliśmy u boku Austriaków – o miejsce Polski w świadomości świata i Europy oraz o uznanie naszych żądań przywrócenia niepodległości państwa. Dunin-Wąsowicz został postawiony pod ścianą. Wiedząc, że misja jest samobójcza, dokonał wyboru, który miał ograniczyć straty...

Ułani nie zatrzymują się pomimo strat. Świdzińskiemu pada koń, lecz on sam żyje. Podobnie Grechowicz, Oskierka i Tylicki. Ułan Łuszczewski ranny. Polański i Szymański tracą konie. Ale zwycięstwo! W końcu zwycięstwo

Ułanom kazano jechać do sadu znajdującego się w dolinie, na prawo od drogi. Dywizjon ruszył spokojnym tempem prowadzony przez porucznika Romana Włodka.

Roman Włodek „Prawdzic” i pluton „wujów”

Porucznik Włodek był już wcześniej dowódcą 4. plutonu w 2. szwadronie. Pochodził z Wielkopolski, urodził się w „starodawnej polskiej rodzinie”, jak pisał Rostworowski, i był nazywany arbiter elegantiarum. Wykwintny, zadbany, słowem dżentelmen w każdym calu. I światowiec – bywał we Lwowie, skończył prawo, zjeździł pół Europy. Służył w kawalerii armii austriackiej. Gdy dostał się do Legionów, początkowo ukrywał swoją poprzednią szarżę. A ponadto „poszedł do Legionów tylko dlatego, bo uważał, że każdy Polak pójść powinien, i to bez dyskusji, czy Legiony mają, czy nie mają racji bytu”. Miał w swoim plutonie trzech artystów malarzy: Żelechowskiego, Szczyglińskiego i Ryszkiewicza. Wszyscy zwracali się do siebie per wuju, idąc literackim, sienkiewiczowskim śladem Onufrego Zagłoby. I dlatego w dywizjonie nazywano chłopców „Prawdzica” „plutonem wujów”. Tak więc ułani prowadzeni przez porucznika Włodka dotarli do sadu i czekali tam na Wąsowicza. W końcu przyjechał, „wioząc ze sobą rozkaz dla nich i dla siebie, rozkaz, po którym nie zostaje nic jak: zginąć lub zwyciężyć! Rozkaz jak stal zimny i jak śmierć surowy”.

Stanął przed nimi i rzucił szybko: „Na koń!”.



Jak orły po łup

Oba szwadrony ruszyły naprzód, początkowo kolumną, potem kłusem. Byli osłonięci od strony Rosjan zboczem wzniesienia, jechali ku lewej stronie, do wsi. Stanęli nad strumykiem Rokitna.

„Nie ma przeszkód dla polskiego ułana!” – krzyknął rotmistrz, spiął konia i przeskoczył jar i strumień. Za nim

eprasa.pl/p/a1488151



Szarża ułanów II Brygady Legionów pod Rokitną podczas działań na froncie wschodnim – pułkownik Zygmunt Zieliński dekoruje ułanów po ataku

Fot. NAC

to samo uczynili ułani. „Nie ma przeszkód!" – poniósł się krzyk wszystkich żołnierzy. Minęli polską tyralierę i dojechali do pozycji, z której mieli atakować. Tam padła kolejna komenda: „Dywizjon do frontu!". Uformowawszy dywizjon, Dunin-Wąsowicz skierował go w stronę wsi i widniejących na wzgórzach wiatraków. Dojechali do pierwszych domków i osadzili konie.

„Trzeci szwadron zostaje w rezerwie!" – pada komenda rotmistrza. Kluczowy. Pozostawienie trzeciego szwadronu w rezerwie miało tylko jeden cel – zminimalizowanie liczby ofiar. Dowódca uznał, że austriacki rozkaz ma charakter samobójczy. W związku z tym, że wykonać go musi, postanawia zatem ograniczyć straty – uderzyć tylko jednym szwadronem, czyli iść na rosyjskie pozycje w liczbie zaledwie 64 ułanów.

„Tyraliera!" – padł kolejny rozkaz i szwadron ruszył do ataku. 60 szabel unosi się w słońcu. „Błyskawica przelatuje szeregi – rozsuwa się linia długa, wyciągnięta, prosta...". Polecieli. Zaczęły świstać kule. Strzały padały coraz gęściej.

„Usłyszał je rotmistrz – relacjonował Mondalski – wzrokiem odległość zmierzył, w siodle się z nagła okręcił, szablą od lewej do prawej półkole zatoczył – i w szum prutego koni i ludzi biegiem powietrza – gdy już za wiatrakiem byli – wpadł jego głos równy, a spiżowy: »Do ataku broń! Marsz – marsz! Polscy ułani!«. Pojęli go ułani dzielni i od prawego skrzydła zabrzmiało wraz: »Hurra!« z piersi sześćdziesięciu. Zgodnie, równo, spokojnie, pędzi ułańska tyraliera... Mijają chwile krótkie, naraz kurz się zrywa, unosi i kłębi, a oni lecą jak wichry, jak burza, jeno burki się rozwiewają i szable wzniesione lśnią w słońcu, przeglądającem się w wielokrotnym ich błyskawic blasku. Drży ziemia, ostrogi wbijają się koniom w boki, tętent dzwoni, armaty cichną na chwilę, a tylko oni pędzą i lecą, jak orły po łup, po chwałę, po zwycięstwo lub po... śmierć czającą się z rosyjskich okopów...". Pada trafiony w czoło pierwszy ułan, Bolesław Kubik. Po nim w rów okopu skacze wachmistrz Bolesław Dunin-Wąsowicz, brat rotmistrza. Przewraca się z koniem. Ranny musi wracać do wsi. Szwadron idzie dalej, już bez strat dopada do kolejnego rowu.

eprasa.pl 15af488151

Pogrzeb rotmistrza Wąsowicza i ułanów II szwadronu w Rarańczy



Fot. Polska Akademia Nauk

Osuwa się na ziemię oficer rachunkowy Fąfara, który dostał w pachwinę. Nie mógł się ruszyć, przeleżał całą noc, Rosjanie go obrabowali. Pada kolejny koń, a wraz z nim kapral Józef Sperber, artysta malarz. Obok niego pod zabitym zwierzęciem ułan Rotkael. Sperber nie może się wydostać, krzyczy po pomoc. Rotkael pomaga mu i wówczas zostaje ranny.

„Za nim wali się z konia ranny kapral drugiego plutonu Tadeusz Brincken i w tej samej prawie chwili na lewem skrzydle na drodze wachmistrz szwadronu dr Adamski Tadeusz, krzyżując ręce ruchem nagłym nad głową zsuwa się z konia, ginąc od kuli, która przebiła medalion na piersi i trafiła w aortę...".

W końcu zwycięstwo

Poszli dalej. Walą kartacze, lecą odłamki, powietrze przecinają serie z karabinów maszynowych. Pomimo tego dopadli do kolejnej linii okopów. „I nagle kopyta ich przebłyskują żelazem nad głowami rosyjskich żołnierzy... »Brosaj orużyje!« – woła na prawym skrzydle okopu wachmistrz Nowakowski. »Brosaj orużyje!« – powtarza za nim kapral Bokalski na lewem. – »Zdajem sia! Zdajem sia!« – rozlega się przerażone wołanie z okopu, w którym ogień milknie na chwilę, lecz nie milknie niestety z okopu flankowego i nie cichną kartacze i granaty. Ujmują więc Moskale ponownie za broń porzuconą".

Nasi lecą dalej, a ze zdobytego już okopu zaczynają walić w ich plecy Rosjanie, którzy podnoszą broń rzuconą wcześniej na znak poddania się. Szarża trwa. Lecą ułani do ataku na kolejne pozycje nieprzyjaciela. Padają kolejni ranni i zabici. Na prawym skrzydle ginie od kuli w usta porucznik Włodek „Prawdzic". Pada Bokalski. „W tej samej chwili, upojony złudą chwilową zwycięstwa, które się już tak cudnie doń uśmiechnęło, widząc okop poddający się, pada rotmistrz Wąsowicz z piersią na wylot przeszytą. Pada tam,

Pieśń szwadronu Wąsowicza

Pieśń powstała w Karpatach po bitwie pod Nadwórną. Znawcy twierdzą, że dała ona początek późniejszym popularnym kupletom dwuwierszowym zw. żurawiejkami, które opisywały z czarnym humorem i sarkazmem wojenne losy poszczególnych polskich pułków kawaleryjskich.

Nasz Wąsowicz, chłop morowy, (bis)
Zbił Moskali w Cucyłowej. (bis)

Odznaczył się szwadron drugi,
Wrażej krwi on przelał strugi.

Myśmy w opłotkach stanęli,
Na Moskwę ogniem plunęli.

Kozacy ku nam pognali,
Lecz ognia nie wytrzymali.

Rotmistrz stał na środku drogi,
Z pistoletu prażył wrogi.

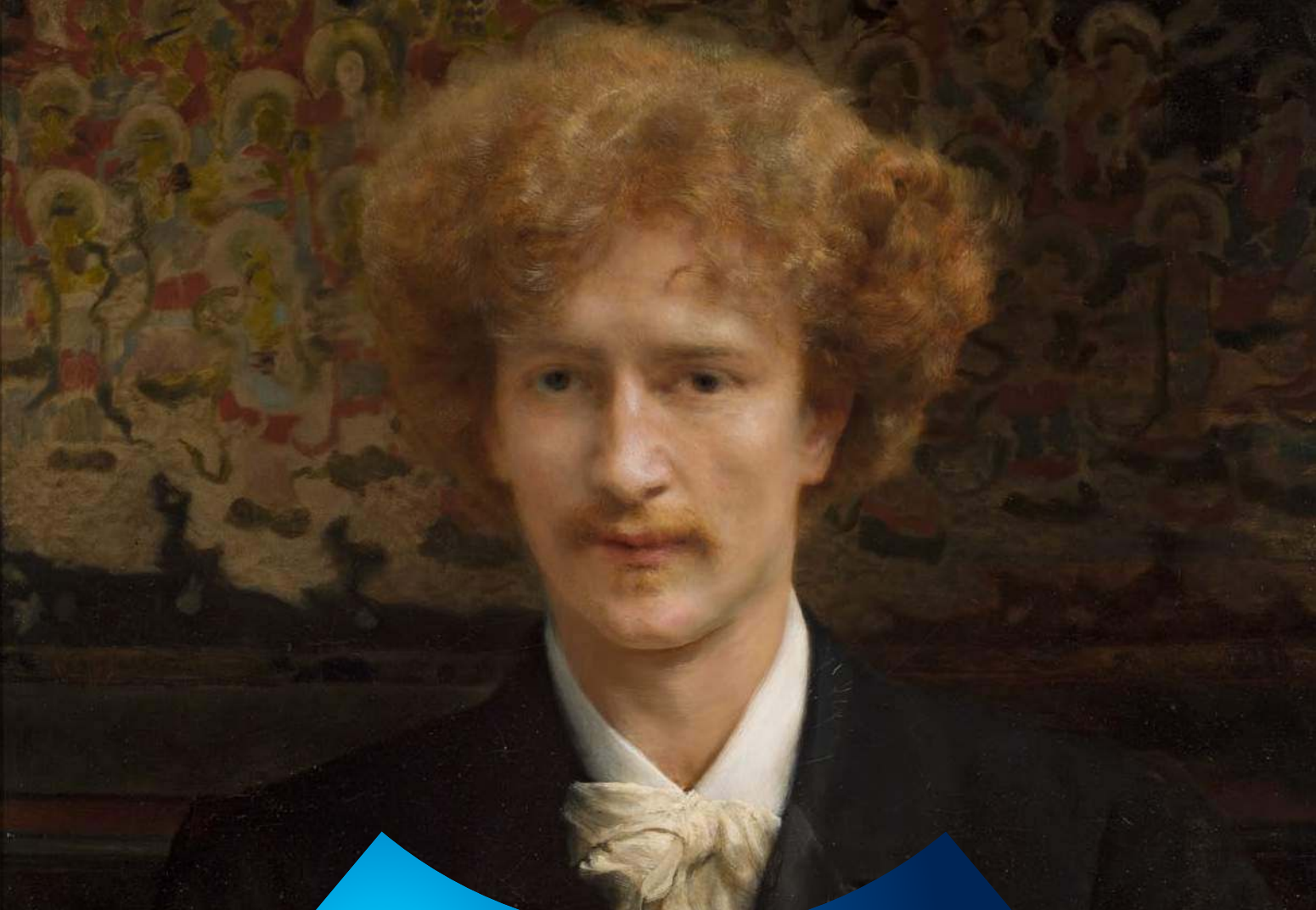
Armaty basem śpiewały,
Lecz śmiał się z nich szwadron cały.

Dwie godziny bitwa trwała,
Jest z niej dla szwadronu chwała.

Więc kto chce rozkoszy użyć,
Niech w ułany idzie służyć.

eprasa.pl/5af488151

56/0118/F



MATERIAŁ
MARKETINGOWY

PZU mecenasem wystawy „Paderewski” w Muzeum Narodowym w Warszawie

Z dumą zapraszamy na wystawę poświęconą Ignacemu Janowi Paderewskiemu, który na kartach naszej historii zapisał się jako wybitny pianista, kompozytor i jeden z najważniejszych polskich działaczy niepodległościowych.

Wystawę można oglądać do 20 maja 2018 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie.

pzu.pl

eprasa.pl 15af488151



Groby polskich legionistów na cmentarzach w Rumunii

Fot. NAC

gdzie stał, gdzie do poddania się wzywał i gdzie już, już zdawało się, że bierze w posiadanie okop rosyjski. Wzięli go podobno Rosjanie i na bok między rów drugi a okop odprowadzili, ale im w rękach skonał – dając jeszcze jakieś znaki swoim...".

Pod Toporem-Kisielnickim pada koń przeszyty przez Moskala bagnetem. Topór wstaje jednak, wydobywa pistolet. Idzie w stronę wroga i strzela, dopóki mu starcza kul w magazynku. Zostaje dosłownie podziurawiony pociskami – siedem przeszło przez ciało, ósmy, śmiertelny utkwił w mózgu. Ułani nie zatrzymują się pomimo strat. Świdzińskiemu pada koń, lecz on sam żyje. Podobnie Grechowicz, Oskierka i Tylicki. Ułan Łuszczewski ranny. Polański i Szymański tracą konie.

Ale zwycięstwo! W końcu zwycięstwo. Zdobyte ostatnie linie i umocnienia! Lufy dymią. Rosjanie podnoszą ręce – poddają się. Na szczyt dojeżdża tylko kilku ułanów. Dokonali tego, co wydawało się niemożliwe... Teraz powinna pójść ofensywa, powinna uderzyć piechota. Jednak austriackie dowództwo, jakby nie widziało, co począć ze zwycięstwem, jakby nie spodziewało się, że ta szarża może się udać. Rozbici Rosjanie wycofywali się pod osłoną nocy...

Krew spod Chocimia

Zginęło 15 ułanów. Ponad 20 było rannych. Poległych chowano na cmentarzu w Rarańczy. U stóp krzyża ułożono 15 trumien. Pierwsza z nich to była trumna rotmistrza. Okryta czerwoną kapą z białym orłem. Na niej czako ułańskie. Dalej trumny oficerów i żołnierzy. Zaczęła się msza żałobna. Odprawiał ją ksiądz Panaś, kapelan legionowy. Przy trumnach uklękli najbliżsi, przyjaciele z dywizjonu. Przy trumnie rotmistrza Wąsowicza – jego brat Bolesław. Przy innej pochylone dwie głowy, w tym jedna już siwizną przyprószona – to ojciec i brat ułana Łuszczewskiego. „Śpij, kolego, w ciemnym grobie/ Niech się Polska przyśni Tobie". Nagle nad trumnami, niczym zjawa z dramatów Wyspiańskiego, pojawia się spowity bandażami wachmistrz Sokołowski. Podnosi rękę i mówi: „Oto towarzysze nasi... Oto ci, co pojechali, choć wiedzieli, że jadą na śmierć pewną... Pojechali, bo trzeba było pokazać, że żołnierz polski każdy rozkaz wypełnić potrafi. I pojechali dlatego także, bo grała im w żyłach krew wielkich dziadów spod Chocimia, Kircholmu, spod Somosierry i Ostrołęki. [...] A choć żal nam do serc i łzy napływają do oczu, nie czas płakać i żałować... Przyjaciół naszych my nie żałujemy, bo bohaterską polegli śmiercią. [...] Krwią swoją podpisali i pieczętowali najpiękniejszy akt miłości Ojczyzny. Ale nie nadaremno! Niech wszyscy, wszyscy wrogowie Polski wiedzą, do jakich czynów i dziś Polak jest zdolny!".

Zwłoki bohaterów spod Rokitny ekshumowano w 1923 r. i przewieziono na cmentarz Rakowicki w Krakowie. Odbył się wtedy uroczysty pogrzeb ułanów. Wziął w nim udział marszałek Józef Piłsudski, który osobiście dekorował trumny orderami Virtuti Militari.

eprasa.pl/15af488151

42/0118/F, 144/0118/F



POZNAJ JAKOŚĆ STACJI PALIW

LOTOS – TWÓJ PARTNER W PODRÓŻY

Dbamy o komfort Twojej podróży, nieustannie doskonaląc naszą ofertę. Zatrzymaj się na stacji LOTOS, napij się aromatycznej kawy i zjedz coś pysznego z oferty Cafe Punkt.
Troszczymy się o wszystkich pasażerów, dlatego na Twojego pupila czeka miska ze świeżą wodą.
Podróżujesz motocyklem? Mamy dla Ciebie liczne udogodnienia i rabaty na paliwo z kartą Navigator.

www.lotos.pl

LOTOS

ALIOR BANK

BANK PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

TANKUJ TANIEJ Z RACHUNKIEM PARTNER



Wybierając bezpłatny Rachunek Partner z kartą debetową, zyskujesz **niską cenę paliwa na wszystkich stacjach w Polsce**.

paliwo.aliorbank.pl

Aby nie płacić za prowadzenie rachunku, wystarczy opłacać z Rachunku Partner lub Rachunku Pomocniczego zobowiązania wobec ZUS lub US (min. jedno w miesiącu) oraz spełnić JEDEN z poniższych warunków: a) otrzymywać wpływy od kontrahentów lub wpłacać utarg na Rachunek Partner lub Rachunki Pomocnicze w kwocie nie mniejszej niż 2500 zł/mies. (nie wliczając przelewów z rachunków własnych, także prowadzonych w innych bankach, oraz z powiązanego rachunku indywidualnego LUB b) skorzystać z dowolnego kredytu dla firm. Niespełnienie warunków wiąże się z pobraniem opłaty za prowadzenie Rachunku Partner w wysokości 25 zł/mies. Promocją „Cashback dla Przedsiębiorców" objęte są płatności bezgotówkowe realizowane kartą Mastercard® Debit Commercial na stacjach paliw w Polsce; zwrot do 100 zł/mies. następuje po spełnieniu warunków regulaminu. W okresie promocji Bank nie pobiera opłat miesięcznych za kartę oraz opłaty za korzystanie z usługi cashback dla Przedsiębiorców. Oferta dla nowych klientów biznesowych Alior Banku. Szczegóły oferty i regulamin dostępne są w placówkach i na www.aliorbank.pl

eprasa.pl 15af488151



Bruce Willis *miał tym filmem wskrzesić wizerunek czołowego twardziela kina z lat 90. Miał na dodatek arcytrudne zadanie, wchodząc w kultową rolę ikony Charlesa Bronsona*

Prawicowe „Życzenie śmierci” powraca

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 15af488151



ŁUKASZ ADAMSKI



Fot. Takashi Seida / Metro-Goldwyn-Mayer Pictures

Znacie tę historię bardzo dobrze. W końcu Charles Bronson zbudował na niej ikonograficzną postać mściciela, która zdefiniowała wraz z „Brudnym Harrym" twardzielskie, antyliberalne kino lat 70. Było to kino odpowiadające na infantylną, pełną pięknoduchostwa politykę liberalnych elit wobec narastającej przestępczości.

Oparte na powieści Briana Garfielda „Życzenie śmierci" (1974) w reżyserii Michaela Winnera powstało w specyficznym czasie. Pogrążona w kryzysie, przegrywająca wojnę w Wietnamie, uderzona rewolucją pokolenia '68, które zakwestionowało najważniejsze cnoty budujące potęgę kraju, osuwająca się w stronę europejskiego kolektywizmu kosztem indywidualizmu – w takiej Ameryce pojawił się architekt Paul Kersey. Zamordowano mu żonę, a córka wpadła w stan katatonii. Wierzący do tej pory w siłę państwa liberalnego spokojny intelektualista wziął do ręki rewolwer i sam wymierzył sprawiedliwość wszystkim oprychom świata. No może nie całego świata, ale sodomy i gomory nowojorskich ulic. Bez szaleństwa Travisa z wysublimowanego „Taksówkarza" Martina Scorsese, za to z pewnością siebie Johna Rambo i inspektora Callahana z „Brudnego Harry'ego". Widać, że kino znów potrzebuje takich bohaterów. Znak czasów?

BOHATER ERY TRUMPA

Nowy Paul Kersey mieszka tam, gdzie w finałowej scenie „Życzenia śmierci" Winnera trafił jego poprzednik, czyli w Chicago. Miasto to jest dziś pogrążone w wojnie gangów, jak Nowy Jork przed erą, nomen omen, prawicowego burmistrza Rudy'ego Giulianiego. Statystyki przemocy sięgają zenitu, Wietrzne Miasto się wyludnia, a Donald Trump straszył, że do miast wyśle Gwardię Narodową. Na razie prezydent USA musi się zadowolić samotnym mścicielem w kapturze. Chirurg Kersey (Bruce Willis) to spokojny lekarz, który nie posiada w domu nawet broni. Gdy zostaje wezwany na nocny dyżur do szpitala, włamywacze zabijają mu żonę (Elizabeth Shue), a córkę wpędzają w śpiączkę (Camilla Morrone). Policja niewiele może zrobić przez natłok zabójstw i napadów, więc Kersey bierze sprawy w swoje ręce. Kupując legalnie karabin? Ostatecznie tak, gdyż uwierzył, że policja przyjeżdża dopiero wtedy, gdy przestępstwo zostanie popełnione. Najpierw jednak oczyści brud chicagowskich ulic znalezionym glockiem.

Powtórka z rozrywki? Tak, i to w gorszym wydaniu. Bruce Willis jest wciąż perwersyjnie uroczy w roli zabijaki. Nie ma jednak surowości Bronsona. Nie ma jego spojrzenia ani tajemnicy kryjącej się za – jak to określił pewien amerykański krytyk filmowy – syberyjską urodą. Wciąż czekamy, by rzekł nieśmiertelne „Yippee-ki-yay, motherfucker", co przecież uderza w wizerunek zwykłego faceta zamieniającego się w ulicznego mściciela. Odnoszę też wrażenie, że reżyser remake'u, Eli Roth („Hostel"), zatrzymuje się w pół kroku. Nie tylko został powstrzymany przed pornografią przemocy, którą kocha (choć scena tortur skalpelem wpisuje się w jego horrory), producenci obawiali

eprasa.pl 15af488151



się też oskarżeń o łamanie poprawnych politycznie norm i nie docisnęli pedału gazu do końca.

Niemniej jednak „Życzenie śmierci" nadal ma antyliberalną wymowę. Premiera zbiegła się z kolejną wielką debatą w USA nad prawem do posiadania broni, więc film Rotha zaczął być postrzegany jako trumpowskie i prawicowe poparcie dla uzbrojenia obywateli. Cóż, taka jest książka Garfielda, czego Hollywood nie mogło ukryć. Możliwe, że obsadzenie Bruce'a Willisa ma również więcej niż drugie dno. Oczywiście aktor potrzebuje roli przypominającej o utraconej pozycji pierwszego twardziela kina, ale nie można też zapominać, że Willis jest zdeklarowanym republikaninem, co pewnie ułatwiło mu wejście w niepoprawny politycznie projekt.

ŚWIĘTA DRUGA POPRAWKA

Większość krytyków zarzuca filmowi Rotha, że jest wierną kopią oryginału i nie niuansuje debaty o prawie do posiadania broni. Z punktu widzenia liberała nowe „Życzenie śmierci" to oczywiste obrazoburstwo. Nie tylko dlatego, że uliczny mściciel wyręczający policję i niewydolny liberalny system staje się natychmiast bohaterem mediów społecznościowych oraz herosem dla zastraszonych mieszkańców Chicago. Chirurgowi (o zgrozo!) otwierają się oczy u teścia w Teksasie, który strzelając do kłusowników z karabinu wożonego w pikapie, wygłasza monolog o prawie do posiadania broni i obrony przed przestępcami. Ba, mamy w filmie niemogącego złapać oprawców gliniarza, który jest zmuszony jeść bezglutenowe batoniki (cojones odzyskuje dopiero, gryząc tłustą pizzę), a najgroźniejsze bandziory to Latynosi (przeciwko nim mur stawia Trump). Rasizm, militaryzm i prawicowe prostactwo! – zawyli przesiąknięci lewicową poprawnością polityczną widzowie. Trudno się im dziwić. W końcu leżącej w śpiączce córce Kerseya, która przed tragedią dostała się na ekonomię na uczelnię w Nowym Jorku, koleżanka czyta... książkę guru libertariańskiej prawicy Miltona Friedmana.

„Życzenie śmierci" to kino klasy B. Produkt rodem z VHS, wpisujący się w modną popkulturową retro reaktywację najntisów. To jednak także odpowiedź na prawicową kontrrewolucję w kilku krajach zachodniej cywilizacji. To film bardzo trumpowski, który spodoba się też polskim prawicowcom. Cnota męstwa, celebracja odwagi, bezwzględność wobec intruza niszczącego „nasz styl życia" – takie hasła położyły fundamenty pod prawicową kontrrewolucję w Europie. Sprzeciw wobec systemu jest już jednak czysto jankeski. Nie lekceważmy reaktywacji amerykańskiego czarno-białego kina reaganowskiej i bushowskiej dekady. Zachodnia cywilizacja znów zgubiła swój wektor. Sukces na wskroś ludzkiego marvelowskiego superbohatera Franka Castle'a (serial „Punisher") i zmartwychwstanie Paula Kerseya dowodzą tego, że szukamy kogoś bliższego niż bogowie Asgardu z „Avengers". Choć oryginalne „Życzenie śmierci" pochodzi z bodaj najlepszej intelektualnie dekady amerykańskiego kina, to bez niego nie byłoby czarno-białego w wymowie kina akcji ery reaganowskiej. Film Winnera i kolejne policyjne produkcje Clinta Eastwooda zapowiedziały jej nadejście.

OBURZAJĄCE LATA 90.

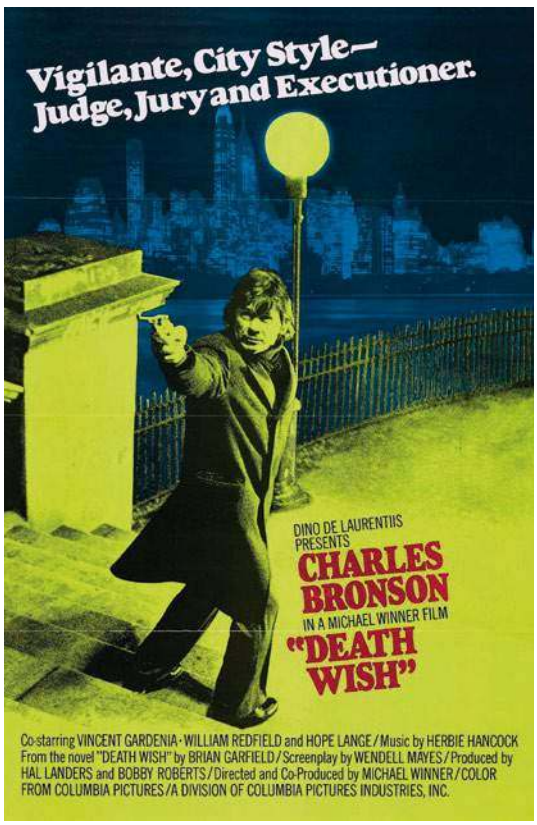
Nie zapominajmy również, że moda na retro lat 90. kryje się w brzydkim słowie „target". Dzisiejsze 30-, 40-latki

eprasa.pl 15af488151

to grupa, która wychowała się na popkulturze lat 80. oraz 90. i ma dziś pieniądze, by wydawać je na rozrywkę. Nie przez przypadek od kilku lat mamy do czynienia z zalewem rynku odzieżą z emblematami zespołów rockowych lat 80., Sylvester Stallone zdobył dwa lata temu Złoty Glob za rolę starzejącego się boksera Rocky'ego Balboy, a taki gigant jak Netflix oparł jeden ze swoich flagowych produktów serialowych na sentymentalnym retro lat 80. („Stranger Things"). Było to ryzyko. Dzisiejsze nastolatki, od kołyski wychowane z internetem, komórkami zamienionymi potem w smartfony, zrozumieją świat, w którym nie było globalnej sieci, mobilnych telefonów, streamingu filmów, a muzyki słuchało się z kaset magnetofonowych w walkmanach? Ogromny sukces serialu pchnął do budowania kolejnych produkcji filmowych na tęsknocie dzisiejszych 30- i 40-latków do „magicznej epoki". Na ekrany kin powróciły więc nowe wersje klasyków lat 90., jak „Terminator: Genisys" (2015), „Jurassic World" (2015), „Jumanji" (2017), „Linia życia" (2017), „Pamięć absolutna" (2012) i „Tomb Raider" (2018). Twórcy nowej wersji horroru „To" (2017) przesunęli nawet akcję książki Stephena Kinga z lat 50. do 80., by wpisać się w klimat „Stranger Things". Stallone w trylogii „Niezniszczalni" (2010-2014) reaktywował wszystkie ikony kina akcji lat 80. i 90., poza Stevenem Seagalem, który za to pojawił się w „Maczecie" (2010) innego piewcy lat 90., czyli Roberta Rodrigueza. W końcu nawet Steven Spielberg, który przecież takimi dziełami jak „E.T." (1982) czy serią o Indianie Jonesie (1981-2008) kształtował ten okres kina, dziś sięgnął po jego ikonograficzne elementy i wrzucił do „Player One" (2018). Do telewizji powróciło z kolejnymi sezonami „Z Archiwum X", a „Dynastia" i „MacGyver" mają nowe wersje.

Nie zawsze powrót do lat 90. przechodzi jednak w popkulturze gładko. W erze triumfu poprawności politycznej popkultura tamtych lat może szokować. Przykładem są nie tylko wzbudzające protesty kolejne filmy Clinta Eastwooda, który nie ukrywa, że brzydzi się poprawnością polityczną, i robi kino o takich cnotach jak męstwo i patriotyzm („Snajper", 2014), lecz nawet tak niewinne seriale jak „Przyjaciele" (1994-2004). Gdy na początku tego roku Netflix umieścił w swoim serwisie wszystkie sezony kultowego serialu, który nie wzbudzał nigdy żadnych kontrowersji, w sieci rozpętała się prawdziwa burza. Produkcja została oskarżona o promocję homofobii, seksizmu i nietolerancji wobec... otyłych (chodzi o żarty z nadwagi jednej z bohaterek). Można wyśmiać szaleństwa poprawności politycznej i skwitować je wzruszeniem ramion, jednak skala oburzenia dzisiejszych 20-latków pokazuje, w jakiej bańce, tęczowej „strefie bezpieczeństwa" żyją tzw. śnieżynki. Znakomicie pisała o nich kilka miesięcy temu w tygodniku „Sieci" Aleksandra Rybińska. „Śnieżynki to – według potocznie przyjętej definicji – młodzi, emocjonalnie niedojrzali narcyzowie o lewicowo-liberalnych poglądach i postawie roszczeniowej, których łatwo urazić. Trudno znoszą krytykę oraz opinie odbiegające od ich własnych. Dąsają się, płaczą, popadają w histerię. Uczucia oraz ciasny gorset poprawności politycznej, w którym zostali wychowani, biorą przewagę nad racjonalnością. Każda, nawet najłagodniej przedstawiona krytyka to osobisty afront. »Uznajcie nasze subiektywne odczucia, bo jeśli nie...« – wydają się krzyczeć. A ponieważ żyją w epoce powszechnego dostępu do informacji, wciąż pochyleni nad tabletem czy smartfonem, mają wrażenie, że wszystko ich dotyczy. Od huraganów w Alabamie po połowy dorsza w Szkocji".

To właśnie dla nich przesłanie „Życzenia śmierci" jest obrazoburstwem. Aż trudno sobie wyobrazić, co się stanie, gdy wezmą do ręki seksistowską i homofobiczną serię o Brudnym Harrym czy filmy z Johnem Waynem. Na dodatek muszą się zmagać z Donaldem Trumpem w Białym Domu, który zbudował swoją kampanię na języku Ronalda Reagana, doskonale rozumiejącego popkulturę okresu zimnej wojny (tajemnicą poliszynela jest to, że antysowiecki i wzywający do pierestrojki „Rocky IV" został nakręcony z jego błogosławieństwem). W 2015 r. Trump w przemówieniu broniącym drugiej poprawki do konstytucji powołał się na „Życzenie śmierci" z Bronsonem. Znamienne.



> Bruce Willis jest zdeklarowanym republikaninem, co pewnie ułatwiło mu wejście w niepoprawny politycznie projekt

eprasa.pl 15af488151

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Kabaret w piekle

Tym razem piszę jako zapiewajło. Zapraszając do teatru telewizji na ten poniedziałek. Warto zobaczyć spektakl „Okno na tamtą stronę".

Agnieszka Holland przekonywała mnie kiedyś, że okolicznościowe dzieła rzadko się udają. A ja zachwalam przedstawienie z okazji 75. rocznicy powstania w warszawskim getcie. Tylko że Artur Hofman, aktor i reżyser, przewodniczący Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce, zaproponował nam coś nowego. Przypomnienie postaci i twórczości Władysława Szlengla, przedwojennego kabareciarza, poety i autora tekstów, który stał się potem świadkiem tragedii swojego narodu. Pisał w getcie swoisty dziennik wydarzeń grany w tamtejszym kabarecie. Pisał też nieprzeznaczone na scenę wiersze, wspomnienia. Aż do śmierci w maju 1943 r., już podczas powstania.

Widowisko ma dwóch autorów: Szlengla, któremu nie dodano ani linijki (owszem, aranżowane są scenki, ale zawsze opowiadane jego słowami), i Hofmana, który stworzył z tej wiązanki coś wstrząsającego. Od nieco cukierkowych scenek z kabaretu przedwojennego (Szlengel był autorem takich szlagierów jak „Dziś panna Andzia ma wychodne", „Tango notturno"), przez jego wypowiedzi na temat kondycji Żydów w Polsce i na świecie, po ową kronikę getta. Raz w scenerii rewii pośród grozy śmierci, innym razem w prywatnych monologach Szlengla i innych postaci, które z artystów kabaretu stają się syntetycznymi wyrazicielami żydowskiego losu.

Ta druga część to nie tylko rejestr cierpień i skarg, które zresztą mają w sobie wymiar antycznej tragedii podwójnie, kiedy są nadal odgrywane w konwencji rewiowego teatrzyku, pod czujnym okiem funkcjonariusza żydowskiej policji. Pojawiają się tam też inne zaskakujące wątki. Tytułowe „okno na tamtą stronę" to okno Szlengla wychodzące na aryjską przestrzeń za murem getta. To on, miłośnik przedwojennej Warszawy, opowiada o tęsknocie do niej i jest to skarga na coś jeszcze – na izolację od świata i kultury, które piszący zawsze po polsku artysta po prostu ukochał.

W tekstach Szlengla przewija się, owszem, motyw żalu do tych, co są po drugiej, polskiej stronie. Tyle że kieruje go on także pod adresem Żydów z Ameryki, żyjących daleko i bezpiecznie, a wreszcie i – w dwóch wstrząsających tekstach – do samego Boga. To zapis duszy człowieka skazanego na zagładę. Ale i synteza żydowskich traum, poczucia upokorzenia pojawiającego się w piosence o „dwóch śmierciach", pięknie wykonanej przez Adriannę Gruszkę, za które winę ponosi... No właśnie kto? Los?

Piszę „pięknie wykonanej". Katarzyna Dąbrowska, wspaniała jako Wiera Gran, a obok Katarzyna Żak, Adrianna Gruszka, Marcin Przybylski, Krzysztof Szczepaniak, Artur Barciś tworzą doborowy team. Zdolność do przechodzenia od komizmu do tragedii to jedna z największych umiejętności aktora. Zwłaszcza Przybylski i Szczepaniak to potrafią, i to kiedy śpiewają, nie mówią. Każdy ich tekst sięga naszych trzewi. A w tle dekoracje Wojciecha Majdy, w których wojna nie wygląda jak teatrum z dykty, oraz równie celna w stylizacjach muzyka Hadriana Tabęckiego.



Wojciech Solarz za często był obsadzany w rolach tylko przyzwoitych chłopaków. Tu wznosi się na wyżyny jako Szlengel. Dostał okazję, aby być tragikiem z prawdziwego zdarzenia. Od beztroskiego przedwojennego wisusa do człowieka prowadzącego obrachunki z całym światem. Jego monolog o zabijanym Bogu zapamiętam na resztę życia. Chapeau bas!

Piotr Zaremba

Światło witraży

Wojciech Stanisławski

Nawrócenie dekadenta to czyn przyciągający uwagę, zaskoczenie i umocnienie dla wielu

Publikowanie powieści sprzed wieku to przedsięwzięcie niepozbawione ryzyka, niemal Jurassic Park dla wydawców. Spójrzmy na półkę: kto z autorów polskiej moderny, wznowiony, trafiłby dziś na listy bestsellerów? Żeromski – oby. „Pałuba" Irzykowskiego – dla koneserów, historyczny Gąsiorowski – dla ambitnej młodzieży (po solidnym przeredagowaniu), ale już Orkan i Weyssenhoff bezpieczni są tylko w pluszu bibliotek.

Tymczasem próba przywrócenia polskiemu czytelnikowi twórczości flamandzko-francuskiego modernisty Jorisa-Karla Huysmansa w nowym przekładzie Marcina Masnego trwa w najlepsze: przed rokiem ukazała się „Katedra" (druga część trylogii rozpoczęta wydaną przed laty powieścią „W drodze"), teraz trafił do księgarń „Oblat". Miałem już okazję pisać o dziwnej przygodzie Huysmansa, przywróconego pamięci czytelników na Zachodzie za sprawą bestsellerowego autora Michela Houellebecqa, który bohaterem swojej najnowszej powieści uczynił literaturoznawcę specjalizującego się w prozie nawróconego dekadenta sprzed wieku. Przez lata badaczy i czytelników cieszył właśnie ów dekadentyzm Huysmansa, przewrotność frazy i konceptów sytuująca go gdzieś między Nervalem, Bretonem a Proustem. Tymczasem dekadentyzm zwietrzał, fraza się zachowała: dziś niepokoi w opisach liturgiki, chórów, całego olśnienia dorobkiem chrześcijańskiego średniowiecza, którego doświadcza powieściowe alter ego pisarza, odkrywający uroki życia duchowego i wspólnotowego Durtal.

Nawrócenie dekadenta to czyn przyciągający uwagę przed wiekiem i teraz, od czasów Augustyna ciekawią nas podobne wolty, bywają zaskoczeniem i umocnieniem dla wielu. Można, na razie, tylko spekulować, ile osób fascynowałoby naśladowanie Hildegardy z Bingen pióra Izabeli Filipiak, ile radości przyniosłoby confessio chmurnego prozaika, dotkniętego budapeszteńską melancholią. Inna rzecz, że nawrócenie Durtala jest warunkowe i niepewne. Tym, co najmocniej przemawia w powieści, jest zachwyt ceremoniałem, celebrą, campem nieledwie. Ale – to też może być droga.

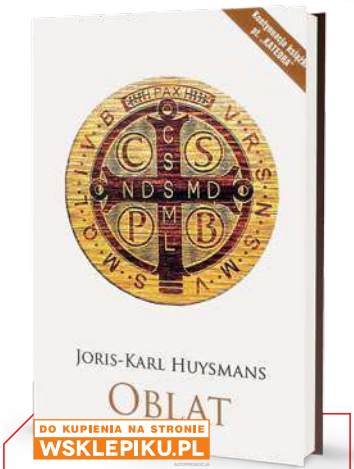
„Oblat" to książka dla smakoszy; akcja jest wątła, rozmówcy nieledwie głoszą wykłady, nawet konflikt laickiej III Republiki z zakonami, tak żywy we Francji pod koniec XIX w., tu grzmi gdzieś na horyzoncie. W tej powieści liczy się słowo, radość utrwalenia najbardziej niepochwytnych odcieni i kształtów, i autor polskiego przekładu osiąga naprawdę wiele, przywracając żywej polszczyźnie krucyferarze, wimpy, kredencje i krenelaże, balansując ryzykownie w długich kadencjach. Te zmagania ze słowem śledzi się niczym relację ze wspinaczki i omsknięcie na szlaku, który w skali tatrzańskiej zostałby oceniony na VI+. Zdarzyło się tłumaczowi bodaj raz: fraza „wystroił się jak stróż w Boże Ciało" jest echt mazowiecka, nijak nie da się jej zastosować we francuskich realiach.



Tego, że potrzeba piękna pozostała po nawróceniu najmocniejszą ostrogą dla pisarza i dla jego bohatera, dowodzi fakt, iż najżywszą niechęć Durtala budzą nie brzydcy paryscy masoni czy chytrzy wieśniacy, lecz szpetota. Pasja, z jaką ją piętnuje, czyni książkę zaskakująco współczesną. Brzydota, ckliwość, koturnowa pompa niemająca nic wspólnego z głębią liturgii i dziś bywają słabością Kościoła, nieraz odpychają od niego poszukujących. Durtal, nieposiadający się z gniewu („Nowomodne wi-

traże w górze tej ściany wznosiły swe szklane klingi [...]. Jeśli niebo było akurat dość jasne, dało się rozróżnić Pana Jezusa i Jego Matkę okrytych rurowatymi szatami w ostrych odcieniach czerwonej porzeczki i siermiężnego błękitu pruskiego. Dalej był św. Benignus z Dijon; na głowie miał bryłę dyniowego cukru, a ustrojono go w szczawiowy ornat"), okazuje się nieoczekiwanym sojusznikiem czytelników znużonych kościelnym kiczem. To, że Huysmans nie zamyka nań oczu, może przekonać wielu.

Trochę to dziwne, że najciekawszą od dłuższego czasu powieścią traktującą o doświadczeniach religijnych i życiu we wspólnocie okazuje się dzieło sprzed stu lat, będące po trosze eksperymentem językowym, po trosze gestem nostalgii. A co ze współczesną „powieścią katolicką", ongiś ulubionym tematem (zastępczym) PAX-owskiej prasy, gdzie następcy wielkiego Evelyn Waugh, Mauriaca i Bernanosa oraz nieco mniejszych – Malewskiej i Andrzejewskiego?



Joris-Karl Huysmans, „Oblat", przełożył Marcin Masny, Fundacja Instytut Globalizacji, Gliwice 2018

Cóż, nadal się pojawiają, ale chociaż ich książki zostały oddane do składu tej zimy, nieraz wydają się starsze od Huysmansa, pozbawione pazura, odwagi, gotowości przedstawienia jakiejś niewygodnej lub niebanalnej prawdy, choćby o świętym oszpeconym płaszczem koloru szczawiowego. Na okładce jednej z nich napisano: „Przywraca literaturze polskiej wielkość, bezpowrotnie – zdawałoby się – utraconą wraz z odejściem w przeszłość Sienkiewicza i Reymonta". Zdanie to pokazuje cudowną obosieczność języka: co dla jednego komplementem, dla drugiego może być zarzutem.

Szczęśliwy ksiądz

Z początku myślałam, że to dla mnie zbyt trudne zadanie – nie mam przygotowania naukowego, teologicznego, filozoficznego – i w ogóle, gdzie mi tam pisać o świętym" – zastrzega się Izabela Broszkowska we wstępie do biografii ks. Tadeusza Fedorowicza. I na szczęście, jak się okazało, nie ma racji. Autorka wcześniejszych książek o rodach Żółtowskich i Szlenkierów barwnie opowiedziała o legendarnym duchownym warszawskich Lasek, odwołując się do konwencji „gawędy genealogicznej", przytaczając obfite fragmenty wspomnień.

Jest kogo cytować, bo zarówno w kręgu wykształconego ziemiaństwa podolskiego, z którego wywodził się ks. Tadeusz, jak i bardziej jeszcze w kręgu przyjaciół jego młodości – bagatela, Stefana Swieżawskiego i Jana Szeptyckiego! – chętnie sięgano po pióro: jeśli dodać do tego relacje sióstr z Lasek i dziesiątków świeckich oraz „Drogi Opatrzności", czyli wspomnienia samego duchownego, starczyłoby tego na antologię.

Nie znaczy to, że czytający te strony historyk nie czuje niedosytu. O dwóch heroicznych czynach młodego ks. Fedorowicza – dobrowolnym udaniu się z Polakami na zsyłkę w czerwcu 1940 r. oraz jego pozostaniu w Kazachstanie z polską ludnością cywilną po wyjściu z ZSRS Armii Andersa – nie da się pewnie w tej chwili dowiedzieć więcej. Ale już okoliczności jego zwerbowania do „berlingowskich" oddziałów, półtorarocznej służby w roli kapelana wojskowego, a następnie zdymisjonowania go jesienią 1944 r. i grożącego mu, ostatecznie niedokonanego, aresztowania dałoby się pewnie poznać bardziej szczegółowo, niż przedstawione są w książce, podejmując kwerendę. Sam fakt, że wieloletni spowiednik Karola Wojtyły udzielał ostatniego namaszczenia żołnierzom rannym w bitwie pod Lenino i patrzał z prawego brzegu na dymy powstańczej Warszawy, wiele mówi o polskim XX w.

Tyle że „Szczęśliwe życie" jest bardziej biografią duchową niż polityczną: świetna towarzysko-intelektualna panorama Lwowa lat 30., trochę KIK-owsko-arystokratycznych koneksyj to zaledwie tło do próby opowieści o sile duchowej ks. Tadeusza, której domyślamy się z fragmentów listów, ze wspomnień wychowanków, nawet ze zdjęć,



Izabela Broszkowska, „Szczęśliwe życie. Opowieść o księdzu Tadeuszu Fedorowiczu", Wydawnictwo Więź, Warszawa 2018

ze spojrzenia głęboko osadzonych oczu. To również próba odtworzenia ze strzępków zapisków jednego z najbardziej intymnych doświadczeń, jakie mogą spotkać człowieka: z powołania.

Największą może zasługą tej książki jest przypomnienie doświadczenia Lasek, których legendę usiłowano raz i drugi zgoła niepotrzebnie wykorzystać jako podnóżek całkiem świeckiej chwały różnych postaci życia publicznego. Biografia ks. Fedorowicza, „ściągniętego" do Lasek jeszcze przez o. Korniłowicza, współpracownika sióstr Teresy Landy i Rut Wosiek, pokazuje wielkość placówki, która tak wpłynęła na kształt polskiego katolicyzmu.

eprasa.pl 15af488151

Adamski





Przerażająca cisza

Kino

Nowy film Johna Krasinskiego potwierdza banalną prawdę: o jakości horroru nie świadczą wymyślne efekty specjalne ani fajerwerki, ale nastrój, klimat i pomysł. W przypadku takich skromnych filmów używam często słowa „wyciszone". Tym razem ono dosłownie opisuje „Ciche miejsce". Jest to bowiem film prawie bez słów.

Świat zaatakowali „oni". Potwory z kosmosu wyglądające jak ułomne dzieci Predatora i Obcego. Są ślepe i polują na ludzi dzięki perfekcyjnemu słuchowi. Żeby przetrwać, nie można więc wydawać głośnych dźwięków. Jak jednak tego dokonać, mając małe dzieci? Krasinski umieszcza akcję filmu na odludnej farmie. Nie wiemy, jak wygląda zniszczony świat. Nie wiemy, czy istnieją armie walczące z wrogiem, czy funkcjonują państwa narodowe. Skupiamy się na losie czteroosobowej rodziny. Tylko jej przetrwanie ma nas interesować. Ten sprytny manewr wykorzystał M. Night Shyamalan w „Znakach", Spielberg w swojej wersji „Wojny Światów", a ostatnio Trachtenberg w świetnym „Cloverfield Lane 10".

„Ciche miejsce" byłoby wtórne wobec tych filmów, gdyby nie wyjątkowy klimat, jaki Krasinski stworzył na ekranie. Jego obraz jest na wskroś amerykański. Kult rodzinnych więzów, uwypuklenie męstwa i ojcostwa jako cnoty, kobieta broniąca z shotgunem własnych dzieci – oto kwintesencja Ameryki! Silnej, niezłomnej, niepoddającej się presji. Małżeństwo (Emily Blunt, John Krasinski) już w pierwszych scenach traci synka, który uruchamia głośną zabawkę. Czy przez to się poddają? Skądże! Dziewięć miesięcy później na świat ma przyjść ich kolejne dziecko. Tylko zachowanie własnych wartości pozwala walczyć z najeźdźcą z zewnątrz. Intruzem, który chce „zniszczyć amerykański sposób życia".

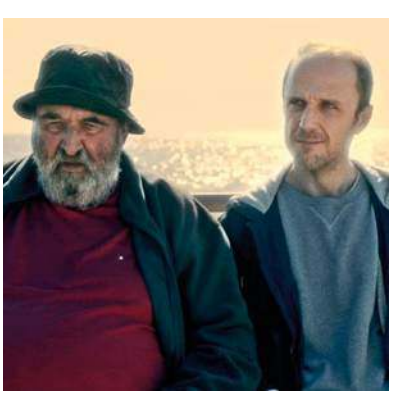
Krasinski wznosi swój film ponad ten ograny ze wszystkich stron schemat, budując z pietyzmem poczucie zagrożenia. Momentami doprowadza do nieznośnego napięcia (matka nie może wydać z siebie krzyku, rodząc w wannie, bo potwór czai się za plecami), nie popadając przy tym w logiczne dziury. Poruszająca i ciekawa jest też druga warstwa filmu. Poczucie żałoby i poczucia winy z powodu straty dziecka i braciszka, napięcia między rodzicami a dwójką dorastających dzieci – wszystko to nakreślone jest bez moralnego szantażu i ckliwości. „Ciche miejsce" to kino grozy według najlepszych standardów. W tym roku nie było na ekranach lepszego horroru!

„CICHE MIEJSCE" REŻ. JOHN KRASINSKI, DYSTR. UIP

Kino

Jak ojciec i syn

Miałem przyjemność nagrodzić ten film jako członek jury krótkiego metrażu na festiwalu WAMA. Krótki metraż Aleksandra Pietrzaka wpisuje się w najlepszą tradycję hollywoodzkich komediodramatów dotykających tematyki śmiertelnych chorób. „Ja i mój tata" opowiada historię pracownika korporacji Dawida (Łukasz Simlat), który musi przebudować całe swoje życie, by zaopiekować się chorującym na alzheimera ojcem Edwardem (Krzysztof Kowalewski). Pietrzak nakręcił wzruszającą, ciepłą i mądrą opowieść



nie tylko o chorobie, przemijaniu i śmierci, lecz przede wszystkim o ojcowsko-synowskiej miłości. Momentami szorstkiej, wyboistej, ale ostatecznie cementującej. „Czekam na chwile, w których on znów na powrót jest sobą" – mówi swojej żonie (Agnieszka Żulewska) Dawid. W tym jednym zdaniu zamyka się cała istota świetnie napisanego i zagranego filmu Pietrzaka. Czekam na pełny metraż uzdolnionego reżysera.

„JA I MÓJ TATA" POKAZYWANY W WYBRANYCH KINACH W RAMACH CYKLU „NAJLEPSZE POLSKIE 30'"

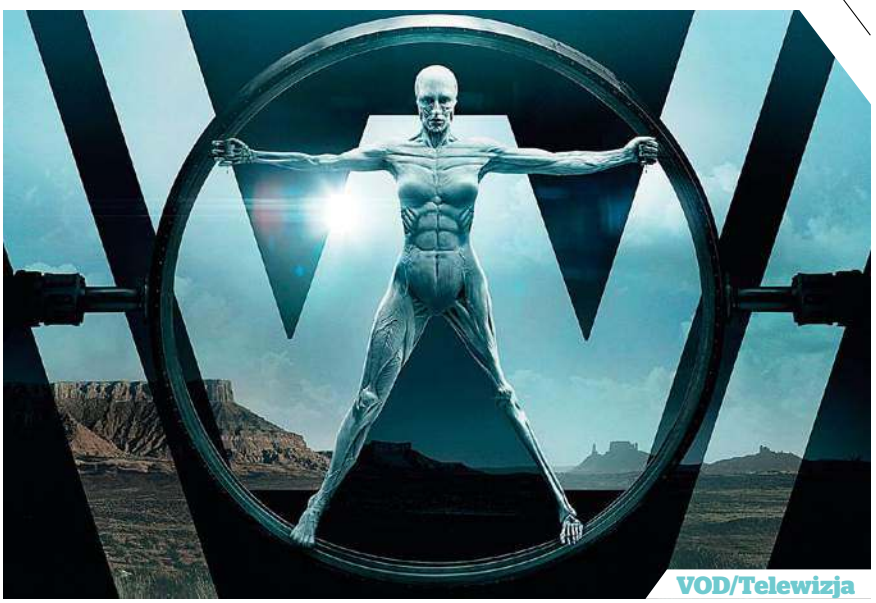
Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 15af488151

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Bunt maszyn



VOD/Telewizja

Mit o zawistnych i złych bogach, którym trzeba wykraść ogień, jest stary jak świat. Teraz dołożono do niego dickowe rozważania o świadomości i duszy androidów Wszystko zmieszano z najważniejszym mitem Ameryki – Dzikim Zachodem. Efekt? Piorunująco dobry. Tak pisałem o pierwszym sezonie „Westworld" z 2016 r. Jakie wrażenie po kilku odcinkach długo oczekiwanej kontynuacji? Twórcy nie poszli na łatwiznę i budują drugą po „Grze o tron" silną markę HBO.

Nie tylko wracamy do westernowego parku rozrywki, w którym człowiek może spełnić swoje najskrytsze marzenia, lecz również poznajemy kolejne światy (samuraje i „Romanworld") stworzone przez samozwańczych bogów. Mimo że „Westworld" to wizualna perełka naładowana licznymi efektami specjalnymi, twórcom udało się nie zgubić najważniejszych filozoficznych pytań o transhumanizm czy prawo do samostanowienia inteligentnych robotów. Poprzedni sezon kończy się słowami dr. Forda (Anthony Hopkins): „Zaczyna się wraz z narodzeniem nowych ludzi i wyborów, jakich dokonają". A więc nowy człowiek? Kolejny etap ewolucji? Teraz nadszedł dzień zapłaty za lata krzywd, jakie ludzie wyrządzali swoim stworzeniom. Roboty zaprogramowane, by nie móc krzywdzić ludzi, po zerwaniu z siebie tej bariery przemeblowują park na swoją modłę.

Twórca serialu Jonathan Nolan nie przez przypadek zapowiadał, że drugi sezon będzie oparty na trochę innych emocjach. Wiemy już, jakie jest pochodzenie robotów i źródło ich buntu. Pozwala to Nolanowi rozwinąć skrzydła wyobraźni, zastawić wiele narracyjnych zasadzek i umiejętnie zaskoczyć widza. Na pierwszy plan wysuwają się emocje androidów, ich transformacja świadomości i pragnień. Drugi sezon „Westworld" to bodaj najbardziej prokobieca produkcja science fiction w historii popkultury. To one (Evan Rachel Wood, Thandie Newton) pchają akcję do przodu i nadają jej rytm, choć zarówno Ed Harris, jak i Jeffrey Wright pogłębiają swoje intrygujące postacie z jedynki. Nie jestem fanem SF, ale oglądając pierwsze pięć epizodów drugiego „Westworld", od razu miałem ochotę na więcej.

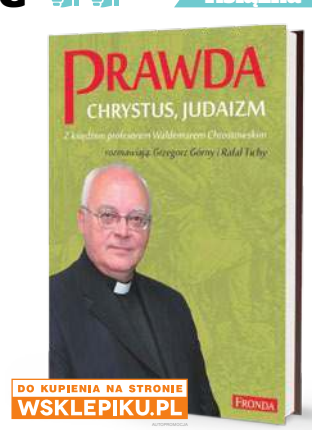
„WESTWORLD. SEZON 2" JEST DOSTĘPNY NA HBO I HBO GO

Ze spokojem o palącym problemie

Książka

Ciąg dalszy bestsellerowych rozmów Grzegorza Górnego i Rafała Tichego z ks. prof. Waldemarem Chrostowskim trafia w idealny moment. Dopiero co wyciszona została awantura między polskim a izraelskim rządem o nowelizację do ustawy o IPN. Obnażyła ona mity narosłe wokół relacji polsko-żydowskich, ujawniła wiele pretensji, żalów i kontrowersji ukrytych pod płaszczykiem poprawności politycznej. Warto spojrzeć na nie z punktu widzenia religii. Duchowny w 2014 r. został pierwszym polskim laureatem Nagrody Ratzingera, nazywanej „teologicznym Noblem". Za co? Za dialog katolicko-judaistyczny. A jednak wybitny biblista nie zważa na politpoprawne kajdany, które szczególnie mocno były widoczne w tym dialogu. Z głębokim szacunkiem dla żydów i delikatnością duchowny analizuje przyczyny problemów w ekumenicznym dialogu chrześcijan z żydami u ich podstaw. Ożywcza lektura, którą warto jednak czytać wraz z poprzednimi częściami wywiadu rzeki.

„PRAWDA, CHRYSTUS, JUDAIZM", WYD. FRONDA



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 15af488151



Anty-Fidesz w akcji

Przeciwnicy Fideszu nie mogą liczyć na swą parlamentarną reprezentację, bo partia Orbána zdobyła w nim konstytucyjną większość. By wyrazić swój gniew, pozostaje im tylko ulica. Podczas manifestacji 14 kwietnia podważali demokratyczny werdykt obywateli. Bez żadnych podstaw. Czy na Węgrzech powtórzy się scenariusz KOD?

Fot. Shutterstock



GRZEGORZ GÓRNY

Na początku 2010 r. moja znajoma była w Budapeszcie w ramach wymiany młodzieżowej. Po powrocie do Polski powiedziała mi: „Wszyscy Węgrzy, z którymi rozmawiałam, nienawidzą Orbána i uważają go za potwora. Nie spotkałam nikogo, kto chciałby na niego głosować. Czeka go klęska. Nie ma żadnych szans".

Wkrótce potem odbyły się wybory, w których Fidesz zdobył większość konstytucyjną 2/3 głosów w parlamencie. Okazało się, że nastroje panujące w środowiskach budapeszteńskiej inteligencji ze śródmiejskich dzielnic rozmijają się zupełnie z nastrojami społeczeństwa.

Podobnie było podczas ostatnich wyborów 8 kwietnia. Partia Viktora Orbána po raz trzeci z rzędu uzyskała konstytucyjną większość. W 106 okręgach jednomandatowych zdobyła 91 mandatów. Jej przewaga nad pozostałymi konkurentami była więc miażdżąca. Poza jednym miejscem: Budapesztem. W stolicy Fidesz wygrał w siedmiu JOW-ach, a opozycja zwyciężyła w 11. Buda okazała się bardziej prawicowa, a Peszt okazał się bardziej lewicowo-liberalny.

Można wyobrazić sobie wściekłość części stołecznych elit, które po ośmiu latach żywiły nadzieję na odsunięcie znienawidzonego Orbána od władzy, a zamiast tego mają przed sobą perspektywę kolejnych czterech lat jego rządów, przy tym żadnych szans na zmiany. Opozycja okazała się bowiem całkowicie bezradna i niezdolna do nawiązania jakiejkolwiek rywalizacji z Fideszem. Dzięki wysokiej frekwencji rządzący dostali jeszcze silniejszy mandat do reformowania kraju. O ile w 2014 r. głosowało na nich 45,04 proc. z tych, którzy poszli do urn, o tyle teraz – aż 49,60 proc.

Kumulowana frustracja musiała się gdzieś wyładować, dlatego wystarczyło wezwanie na Facebooku, a 14 kwietnia w centrum Budapesztu zjawiło się kilkadziesiąt tysięcy demonstrantów. Inicjatorami zwołania wiecu byli nie liderzy opozycji, których nikt by nie posłuchał, lecz „ludzie znikąd", jak student Örs Lányi, czy „ludzie znani skądinąd", jak raper o artystycznym pseudonimie G Ras lub bloger i autor popularnych książek o życiu z perspektywy kota – Gergely Homonnay.

JOBBIK NA SKRAJU ROZŁAMU

Partie opozycyjne nie są dziś w stanie porwać nikogo. Wyniki elekcji oznaczały dla nich katastrofę pod każdym względem. Podczas kampanii robiły wszystko, by przekształcić wybory w plebiscyt: za czy przeciw Orbánowi? Przywódca Fideszu również zamienił je w swoiste referendum. Zadał tylko inne pytanie: za czy przeciw imigracji? Okazało się, że przelicytował przeciwników.

Jeszcze nie przeliczono wszystkich głosów, a już do dymisji podał się szef nacjonalistycznego Jobbiku Gábor Vona. Co prawda jego partia została drugą siłą w parlamencie (a nie trzecią, jak do tej pory), ale z gorszym wynikiem niż cztery lata temu – otrzymała 19,06 proc. głosów, podczas gdy w 2014 r. zdobyła 20,22 proc. Lider ugrupowania zapowiadał wcześniej, że jeśli nie wejdzie do rządu, to zrezygnuje z funkcji. Słowa dotrzymał.

Jobbik znajduje się dziś na skraju rozłamu z powodu kursu, jaki obrało jej kierownictwo. Vona bowiem uznał, że jeśli ma

eprasa.pl 15af488151

zdobyć nowych wyborców, to musi pozyskać elektorat centrowy. Zrezygnował więc z niektórych elementów pierwotnego programu partii, a nawet rozpoczął flirt z lewicą. Doszło do tego, że zarówno podczas głosowania w parlamencie, jak i w trakcie ogólnokrajowego referendum Jobbik występował przeciwko Fideszowi, gdy ten wzywał do odrzucenia unijnego mechanizmu przymusowej relokacji imigrantów. Część wyborców odebrała to jako zdradę i przeniosła swe głosy na rządzących.

Dodatkowym ciosem dla narodowców okazała się ogłoszona tuż po wyborach informacja, że prawicowy przedsiębiorca Lajos Simicska wycofuje się z rynku mediów. Oznacza to koniec dziennika „Magyar Nemzet" i rozgłośni radiowej Lanchid oraz niepewny los stacji Hir TV i tygodnika „Heti Válasz". Były to redakcje, które przez ostatnie trzy lata atakowały Fidesz i wspierały Jobbik. Biznesmen traktował je jak część projektu politycznego, który podczas wyborów zakończył się jednak klęską. Dla wielu decyzja Simicski to sygnał, że partia w tej formule nie ma przed sobą przyszłości.

MARAZM NA LEWICY

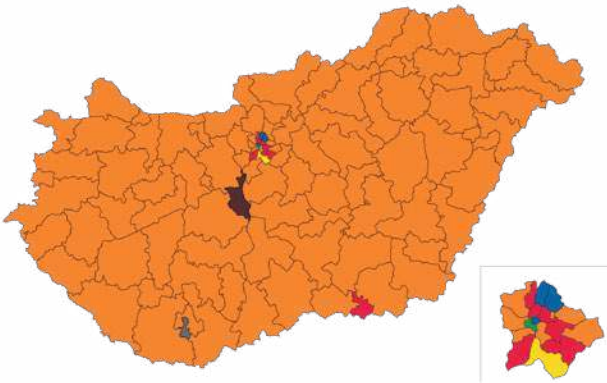
Do dymisji nazajutrz po wyborach podali się również przywódcy trzech ugrupowań lewicowych. Największym przegranym okazał się przewodniczący Węgierskiej Partii Socjalistycznej Gyula Molnár. Cztery lata temu jego formacja zdobyła 25,67 proc. głosów, teraz zaś – ledwie 11,99 proc.

Ze stanowiska ustąpił także lider LMP (Polityka Może Być Inna) – Ákos Hadházy. Co prawda jego ugrupowanie powiększyło swój elektorat (z 5,36 do 7,10 proc.), ale wynik okazał się niższy od oczekiwań.

Ze swej funkcji zrezygnował również Péter Juhász – lider partii Razem, która ponownie nie przekroczyła 5-procentowego progu wyborczego, a z okręgów jednomandatowych wprowadziła do parlamentu tylko jednego przedstawiciela (w 2014 r. było ich trzech).

Wyniki wyborów oznaczają dla węgierskiej lewicy prawdziwy pogrom. Ma ona w gronie 199 posłów zaledwie 38 reprezentantów. Gołym okiem widać, że nie potrafi się odnaleźć w dzisiejszych czasach. Starzy postkomuniści wymierają. Elektorat socjalny przeszedł do Fideszu. Potencjał buntu, charakterystyczny dla młodzieży, zagospodarował w dużej mierze Jobbik. Większego odzewu nie znajdują też hasła nowej lewicy głoszące rewolucję obyczajową.

W tej sytuacji jedynym wygranym w całym obozie socjalistycznym pozostaje Ferenc Gyurcsány. Jako jedyny lider na lewicy nie podał się też po ostatnich wyborach do dymisji. Wydawało się, że po klęsce wyborczej w 2010 r. jego kariera została definitywnie złamana. Skompromitowany licznymi skandalami i odpowiedzialny za gospodarczą zapaść państwa miał raz na zawsze zniknąć z życia politycznego Węgier. A jednak przeczekał najtrudniejszy czas, odbudował się i założył własną partię. Jego Koalicja Demokratyczna weszła teraz do parlamentu, zdobywając 5,41 proc. głosów. Powrót Gyurcsányego to jedna z największych zagadek węgierskiej polityki. Nie trzeba chyba dodawać, że najbardziej skompromitowany człowiek w kraju to dla Viktora Orbána idealny przeciwnik.



Wyniki wyborów w okręgach jednomandatowych:

*Kolor pomarańczowy – **Fidesz** (91), czerwony – **Węgierska Partia Socjalistyczna** (9), niebieski – **Koalicja Demokratyczna** (3), brązowy – **Jobbik** (1), zielony – **Polityka Może Być Inna** (1), żółty – **Razem** (1), szary – poseł niezależny (1)*

PRECZ Z VIKTATOREM!

Przeciwnicy Fideszu nie mogą liczyć na swą parlamentarną reprezentację. By wyrazić swój gniew, pozostaje im tylko ulica. Podczas manifestacji 14 kwietnia podważali demokratyczny werdykt obywateli. Najpierw żądali ponownego przeliczenia głosów, a potem powtórzenia wyborów. Nie mieli ku temu żadnych podstaw, ponieważ – według raportu OBWE – głosowanie przebiegło prawidłowo.

Do protestu przeciw Fideszowi ochoczo przyłączyli się politycy opozycji. Ręka w rękę maszerowali więc nacjonaliści i socjaliści, działacze Jobbiku i Koalicji Demokratycznej Gyurcsányego. Z okazji skorzystali też członkowie partii Razem, którzy muszą zwrócić do budżetu 150 mln forintów, ponieważ otrzymali w wyborach mniej niż 1 proc. głosów. Zorganizowali więc wśród manifestantów zbiórkę pieniężną. Nie udało im się zebrać całości, ale mają szansę to osiągnąć, ponieważ organizatorzy zapowiedzieli, że będą protestować przeciw rządzącym w każdą sobotę.

Powyższy scenariusz przypomina historię KOD w Polsce. Na czele antyrządowego ruchu stają nie przegrani politycy, lecz „obywatele zaniepokojeni o los demokracji, którzy postanowili wziąć sprawy we własne ręce". Organizują masowy wiec i zapowiadają kolejne protesty – aż do skutku.

Jakiego skutku? W myśl obowiązującego prawa nie ma żadnego konstytucyjnego sposobu, by odsunąć Fidesz od władzy przez najbliższe cztery lata. Na co więc liczą? Na rozwiązania rewolucyjne? W kraju nie ma potencjału do masowego buntu. Węgierscy publicyści zauważają jednak, że możliwe są prowokacje, by doprowadzić do rozlewu krwi i móc oskarżyć władze o siłowe zwalczanie opozycji.

Działacze Fideszu nie wierzą w spontaniczność protestów. Zdaniem Antala Rogána są one inspirowane i sponsorowane przez George'a Sorosa. Rządzący mają jednak nadzieję, że – podobnie jak w Polsce – demonstracje wypalą się, gdy ludzie zobaczą ich jałowość. Hasło „Precz z Viktatorem" to za mało. Trzeba mieć jeszcze program i przekonać do niego Węgrów.

eprasa.pl 15af488151

Ktoś nas podburza

Ogromnym niepokojem napawa to, że niepotwierdzone doniesienia izraelskich mediów trafiają na bardzo podatny grunt w Polsce. Nas naprawdę jest łatwo wyprowadzić z równowagi. Zbyt łatwo. Doskonale było to widać podczas niedawnej wizyty prezydenta Izraela w Auschwitz



KONRAD KOŁODZIEJSKI



27. Marsz Żywych na terenie byłego niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz-Birkenau z udziałem prezydentów Polski Andrzeja Dudy i Izraela Reuvena Rivlina

Fot. East/News/Jan Graczynski

W czwartek, 12 kwietnia, w izraelskich mediach pojawiły się dwie informacje. Pierwsza z nich, której autorem był Barak Ravid, korespondent zagraniczny telewizyjnego Kanału 10, ujawniała, że Amerykanie naciskają na władze Izraela, aby wyciszyły wreszcie konflikt z Polską, ponieważ Waszyngton uważa nasz kraj za ważnego sojusznika.

Druga zaś – powielona na portalach gazety „Haaretz" oraz „The Times of Israel" – głosiła, że w trakcie odbywających się tego dnia uroczystości w Auschwitz prezydent Izraela Reuven Rivlin oskarżył Polaków i Polskę o systemowy udział w Holokauście. Rivlin miał powiedzieć w obecności prezydenta Andrzeja Dudy, jakoby „Polska pozwoliła na wprowadzenie ludobójczej ideologii Hitlera". Zdanie nie tylko stojące w sprzeczności z podstawowymi faktami historycznymi (Polska nawet gdyby chciała, nie mogła na nic Hitlerowi pozwolić bądź nie pozwolić, ponieważ jako państwo nie istniała), lecz także – gdyby rzeczywiście padło – gwałtownie zaostrzające obecny spór między Polakami a Żydami.

Prezydent Duda zapytany wprost przez korespondentkę TVP Dominikę Ćosić o to, czy rzeczywiście z ust Rivlina padło takie zdanie, zaprzeczył. „Takie słowa w wystąpieniach Prezydenta [Rivlina] nie padły" – napisał Andrzej Duda. Tych słów nie sposób było również usłyszeć w żadnej dostępnej transmisji telewizyjnej z uroczystości. To, co pokazały polskie telewizje, nie było bowiem oskarżeniem o systemowy udział w Holokauście. Owszem, Rivlin wspominał o Polakach mordujących Żydów, ale nie o odpowiedzialności państwa polskiego. Mimo to izraelskie tytuły obstawały przy swoim. Sytuacji nie ułatwiało też milczenie w tej sprawie samego Reuvena Rivlina.

Być może to zbieg okoliczności, ale te dwie informacje: o amerykańskiej presji na Izrael w sprawie Polski oraz o rzekomym zarzuceniu Polsce winy za Holokaust mogą mieć z sobą ścisły związek.

MOŻLIWY MOTYW

Przyjrzyjmy się pierwszej informacji. Otóż według Baraka Ravida administracja prezydenta Donalda Trumpa wielokrotnie nakłaniała „w ostatnich tygodniach" władze Izraela do utemperowania wypowiedzi i uspokojenia konfliktu, jaki wybuchł po nowelizacji ustawy o IPN. Zarówno Biały Dom, jak i Departament Stanu informowały premiera Izraela oraz ambasadora tego kraju w Waszyngtonie, że choć Stany Zjednoczone uważają polską ustawę za „nie do zaakceptowania", to Izrael powinien uspokoić swoją antypolską retorykę, ponieważ Polska jest zbyt ważnym sojusznikiem Ameryki. Władze amerykańskie kierowały podobne apele również do izraelskiej opozycji, m.in. podczas spotkania wiceprezy-

eprasa.pl 15af488151

denta Mike'a Pence'a z Jicchakiem Herzogiem, liderem Unii Syjonistycznej i byłym przewodniczącym Partii Pracy.

Podane przez Ravida informacje świadczą o tym, że w konflikcie z Izraelem Polska nie stoi na całkiem przegranej pozycji i nie jest – wbrew wielu histerycznym opiniom – traktowana jak chłopiec do bicia. Amerykanie, których Izrael miał wcześniej prosić o interwencję w sporze z Polską, nie poparli go – jak się okazuje – całkowicie i bezwarunkowo. Wszystko bowiem wskazuje na to, że Biały Dom gotów jest naciskać (i zapewne to robi) na Polskę, aby zmieniła uchwalone przepisy, ale domaga się również, aby Izrael więcej nie prowokował i zamknął temat.

A to może budzić sprzeciw niektórych – zwłaszcza wzmożonych nacjonalistycznie – środowisk żydowskich. Bo tam nikt nie chciał negocjować, chodziło wyłącznie o to, aby Polskę upokorzyć i ukarać.

TO WINA POLAKÓW

I tak docieramy ponownie do drugiej informacji – tej o domniemanej wypowiedzi Reuvena Rivlina w Auschwitz. Jej rozpowszechnienie było skierowane przede wszystkim na użytek izraelskiej opinii publicznej – miała uspokajać co bardziej krewko nastawionych nacjonalistów żydowskich, że Izrael nie ustępuje i w sporze z Polską twardo broni własnego zdania. To mogłoby tłumaczyć, dlaczego Rivlin nie zdecydował się na dementi oraz dlaczego informacja ta była potem wielokrotnie powielana w ślad za mediami przez niektóre izraelskie instytucje rządowe.

Nic więc dziwnego, że wzbudziło to uzasadnione podejrzenia w Polsce. Niewykluczone, że wzbudzenie tych podejrzeń (choćby poprzez brak jakiegokolwiek sprostowania) było całkiem świadomym zabiegiem towarzyszącym wrzuceniu w obieg fake newsa. Mogło chodzić – choć nie ma przecież na to dowodów – o sprowokowanie polskiej opinii publicznej do gwałtownej reakcji przeciwko Izraelowi i izraelskiemu prezydentowi. Taka reakcja byłaby przecież koronnym argumentem na rzecz tezy, że to nie Żydzi, lecz Polacy zaostrzają konflikt. I że Amerykanie (tu wracamy do pierwszej informacji) powinni temperować Polskę, a nie Izrael. Bo Izrael nie ponosi tu przecież żadnej winy.

WODZENI ZA NOS

Zaskakujące, jak wielu Polaków – zwłaszcza aktywnych w mediach społecznościowych – dało się łatwo sprowokować i bezkrytycznie uwierzyło w rewelacje izraelskiej prasy. Tej samej prasy – przypomnę – która od kilku tygodni zarzuca nam fałszowanie historii, masową eksterminację Żydów podczas wojny i antysemityzm przewyższający hitlerowskie standardy. A przecież powinno to automatycznie uruchamiać sygnał ostrzegawczy w głowie polskiego czytelnika. Zanim da się wiarę tamtejszym publikacjom, lepiej dzielić włos na czworo.

> Biały Dom nakłania Izrael, aby wreszcie wyciszył spór z Polską. A to w niektórych – zwłaszcza nacjonalistycznych – środowiskach żydowskich może budzić sprzeciw

Można zrozumieć poczucie krzywdy, gdy Izrael zarzuca Polsce zbrodnie, zwłaszcza w sytuacji gdy Polacy byli drugą – po Żydach – ofiarą bestialstw Hitlera. Krzywda ta wywołuje naturalną skądinąd chęć odegrania się na oszczercach, ale ogranicza również zdolność do racjonalnego rozumowania. Łatwo jest bowiem uwierzyć wtedy w każdą informację, która potwierdza zbudowany już w głowie obraz.

Bo gdyby spojrzeć na uroczystości w Auschwitz chłodnym okiem, to się okaże, że rewelacje izraelskiej prasy nie pasują do atmosfery tej imprezy. Mieliśmy tam piękne wystąpienie Edwarda Mosberga, 92-letniego Żyda ocalałego z Zagłady, który upomniał się o historyczną prawdę o sprawcach Holokaustu, mieliśmy zaproszenie dla prezydenta Andrzeja Dudy wystosowane zarówno przez Reuvena Rivlina, jak i stowarzyszenie organizujące coroczny Marsz Żywych (uroczystości Marszu Żywych są żydowskim przedsięwzięciem, stąd te zaproszenia dla polskiego prezydenta). Właściwie można było uznać, że stronie żydowskiej istotnie zależy na uspokojeniu konfliktu. I nie jest wykluczone, że jest tak naprawdę, choć to tylko część prawdy. Ta druga część jest mniej przyjemna, bo są – zresztą po obu stronach – grupy, które ten konflikt zaostrzałyby w nieskończoność. Świadczą o tym właśnie jątrzące korespondencje izraelskich portali, tak chętnie niestety podchwycone w Polsce.

CYNIZM CZY GŁUPOTA?

Tym bardziej niepokoić muszą działania podjęte w zeszłym tygodniu przez Ruch Narodowy, który miał złożyć doniesienie do prokuratury w sprawie złamania ustawy o IPN przez prezydenta Reuvena Rivlina. Dowodem ma być materiał wyemitowany przez izraelską telewizję i24 News, w którym pojawiła się informacja na temat domniemanych słów Rivlina. Pomijając już to, że wiarygodność tej informacji jest prawdopodobnie równie wysoka, jak relacji „The Times of Israel" z Auschwitz, zadziwia, jak bardzo narodowcom zależy na podtrzymywaniu napięcia w relacjach polsko-żydowskich. Warto tu przypomnieć, że po wybuchu konfliktu dążyli oni za wszelką cenę do jego eskalacji, podejmując udaremnione na szczęście próby demonstrowania pod ambasadą Izraela.

Niewiele się to różni od wybryków Yaira Lapida, który również – mając czysto polityczne motywacje – podjudzał do konfliktu z Polakami. Wygląda na to, że jedni i drudzy nie potrafią bez siebie żyć. A że traci na tym konflikcie interes – zarówno Polski, jak i Izraela – to już najwyraźniej przestaje być dla nich ważne.

eprasa.pl 15af488151

Zakwitła sakura

Polskę i Japonię dzieli osiem stref czasowych oraz 8,5 tys. km. To bardzo niewiele jak na dwa różne światy

Wiosna do Japonii wkracza już w lutym, wtedy na Okinawie – najbardziej wysuniętej na południe dużej wyspie – zaczynają kwitnąć pierwsze kwiaty wiśni sakura. Wraz z wyższymi temperaturami ku północy wędruje „sakura-zensen" – tzw. front kwitnienia wiśni. Zazwyczaj pod koniec marca ukwiecają się dawna (Kioto) i obecna stolica Japonii (Tokio). W maju kwiecisty front dociera na Hokkaido, wyspę zamykającą od północy japońską część archipelagu.

W Japonii „hanami" – oglądanie kwiatów jest wielowiekową tradycją. Wiosną parki, świątynie buddyjskie i chramy shinto zapełniają Japończycy urządzający pikniki na trawie, często przy dźwiękach tradycyjnej muzyki i butelce sake. Te dwa ostatnie elementy nie są jednak aż tak istotne. Najważniejsze, by być jak najbliżej kwiatów sakury.

Dwa ostatnie tygodnie marca spędziłem na Honsiu, największej i zarazem głównej wyspie Japonii. Przez siedem dni przemierzałem metropolię tokijską, zamieszkaną przez ponad 38 mln ludzi, której końca nie widać nawet z najwyższych wieżowców – zwarta zabudowa ciągnie się aż za horyzont. Pozostałą część mojej podróży spędziłem w dawnej stolicy cesarstwa – Kioto, oraz w naznaczonej atomowym piętnem Hiroszimie. W każdym z odwiedzonych miejsc sezon kwitnięcia sakury był w pełni. Osobiście bardziej do gustu niż różowe i białe kwiaty wiśni przypadły mi fantazyjnie powyginane japońskie sosny, wyglądające jak drzewka bonsai w skali makro.

Japonia sama w sobie robi wrażenie zupełnie innej planety, zamieszkanej przez innych ludzi, z inną kulturą, niezrozumiałym językiem i odmiennymi obyczajami. Kraj Kwitnącej Wiśni zaskakuje przyrodą, architekturą i podejściem do obcych. Z każdej strony doświadczałem tam życzliwości i uprzejmości na niespotykanym poziomie. Co zaskakujące, Japończycy wyjątkowo źle posługują się językiem angielskim, co w żadnym stopniu nie umniejsza stopnia ich życzliwości. Z kolei kilka zwrotów po japońsku, które przyswoiłem przed wylotem, budziło w nich nieopisane wręcz uczucie zadowolenia na poły z uznaniem. Sieci sklepów i lokali samoobsługowych, obrazkowe menu w lokalach czy wręcz woskowe modele potraw przed nimi umożliwiają przeżycie turystom w Japonii nawet bez znajomości języków obcych.

Ogromne wrażenie wywiera japońska infrastruktura transportowa, szczególnie rozbudowana w stolicy. 13 linii metra, sieć pociągów podmiejskich i dalekobieżnych, pociągi jednoszynowe jeżdżące wysoko nad ziemią na specjalnych wiaduktach, połączenia autobusowe i autostrady na estakadach łączących całe Tokio razem sprawiają, że przez tydzień pobytu nie zauważyłem ani jednego większego korka ulicznego. Do tego dochodzi sieć superekspresów Shinkansen, umożliwiających podróżowanie po całym kraju koleją z prędkością dochodzącą do 300 km/h. Z taką prędkością trasę z Warszawy do Krakowa można by pokonać w nieco ponad godzinę.

Tokio zapiera dech swoim ogromem. Różnorodność dzielnic, z których każda ma co innego do zaoferowania, porządkuje tkankę miejską, której istotnymi elementami są liczne parki. Największy na świecie targ rybny Tsukiji jest miejscem, którego nie można pominąć. Różnorodność ryb i wszelakich owoców morza przyprawia o zawrót głowy, na stoiskach piętrzą się krewetki, ośmiornice, kraby, ogromne tuńczyki czy nawet nieznanego mi pochodzenia oczy wielkości piłek tenisowych.

Kioto zachwyca zabytkami, na czele z zamkiem Nijo-jo, pałacem cesarskim i złotym pawilonem. Dawna stolica sprawia wrażenie znacznie bardziej japońskiej niż wielonarodowościowe Tokio. Na ulicach często można spotkać Japończyków obojga płci ubranych w kolorowe kimona, na brzegach rzeki Katsura majestatycznie przechadzają się japońskie żurawie, w stawach przy świątyniach pływają kolorowe karpie koi.

Hiroszima zaskakuje swoją ofertą. To miasto to nie tylko historia ataku atomowego, choć pamiątki po nim znajdowałem w wielu jego miejscach. To także niezwykłej urody odbudowany zamek karpia, zjawiskowa wyspa Miyajima ze słynna bramą tori w morzu i oswojonymi sarnami, nic nierobiącymi sobie z otaczających je turystów. Hiroszimę można zwiedzać, korzystając z sieci wyłącznie elektrycznych rowerów miejskich, dzięki którym bez trudu da się dotrzeć w każdy zakątek miasta.

Podróż do Japonii jest niebywałym doświadczeniem, które może być zapamiętane jako podróż życia. Wbrew pozorom nie jest to tak trudne przedsięwzięcie, jak mogłoby się wydawać. Od dwóch lat bezpośrednie połączenie Warszawa–Tokio zapewnia nasz narodowy przewoźnik LOT. Trasa jest obsługiwana przez Boeingi 787 Dreamlinery, dzięki czemu prawie 10-godzinna podróż nie jest uciążliwa. A gdyby nawet na pokładzie znalazł się jakiś niecierpliwy malkontent, to może mieć pewność, że fascynująca Japonia te trudy lotu mu wynagrodzi.

tekst i zdjęcia: Andrzej Skwarczyński



Tokio – miasto ciągnące się po horyzont w każdym kierunku. Widok z ratusza – na zdj. po lewej













Powyżej najbardziej znane i zatłoczone skrzyżowanie w tokijskiej dzielnicy Shibuya

Po lewej ul. Godzilli w dzielnicy Shinjuku prowadząca do wytwórni filmowej Toho, w której „narodził się" ten stwór. Z okazji 60. rocznicy premiery pierwszgo filmu o niej w 2015 r. na budynku umieszczono głowę Godzilli





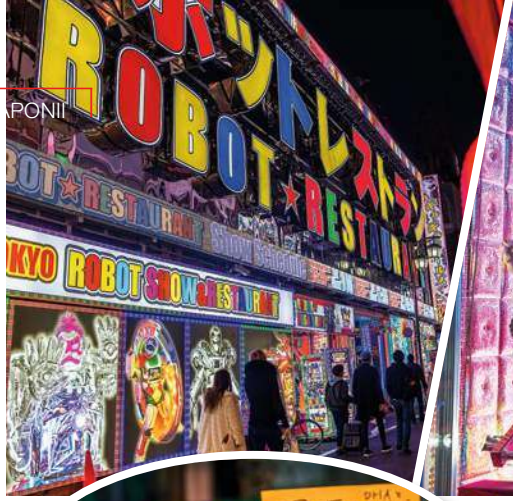


Brama do buddyjskiej świątyni Zojo-ji. Imponujący cedr został posadzony w 1879 r. przez prezydenta USA Ulyssesa Granta

esa.pl 15af488151



Kolorowe lampiony wskazują niezliczone lokale gastronomiczne. Po godzinie 17 wszystkie miejsca w nich są zajęte







Targ rybny Tsukiji w Tokio zbywa dziennie ok. 2 tys. ton ryb i wszelkich owoców morza







Komunikacja publiczna w Tokio opiera się na transporcie szynowym



Dzięki podwieszanym dystrybutorom stacje benzynowe zajmują mniej miejsca



Kamienny Most Głównej Bramy i umocnienia pałacu cesarskiego w Tokio



Sieć superekspresów Shinkansen pokrywa całą Japonię. Pociągi te osiągają prędkość niemal 300 km/h



Zamek Nijo-jo w Kioto zbudowano na początku XVII w. dla szoguna Ieyasu Tokugawy. W 1994 r. został wpisany na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO



Panorama Kioto



Sprzedawca szaszłyków z owoców morza na targu w Kioto



Złoty Pawilon w Kioto



Niedziela Palmowa w katedrze w Kioto



Festiwal szkolnych orkiestr marszowych w Kioto



Japończycy czas po pracy spędzają w parkach…



…lub bardzo licznych barach



Noclegi w hotelach kapsułowych są znacznie wygodniejsze, niż mogłoby się to wydawać



Zamek w Hiroszimie uległ całkowitemu zniszczeniu podczas ataku atomowego. Został odbudowany w 1958 r.





Kopuła Bomby Atomowej w Hiroszimie – Pomnik Pokoju. Bomba eksplodowała ok. 150 m od tego budynku



Świątynia szintoistyczna Itsukushima na wyspie Miyajima jest jednym z trzech najsłynniejszych miejsc widokowych w Japonii

eprasa.pl/pat438151

Korzystna jest długoterminowa relacja z bankiem


Fot. Andrzej Wiktor

O wspieraniu rozwoju małych i średnich przedsiębiorstw, o zmieniającym się wciąż banku i pożytecznych radach dla firm z Rafałem Antczakiem, wiceprezesem PKO Banku Polskiego odpowiedzialnym za Obszar Bankowości Przedsiębiorstw i Analiz, rozmawiają Maciej Wośko i Stanisław Koczot z „Gazety Bankowej"

Zacznijmy rozmowę od tematu, który pojawia się od tygodnia w rozmowach gospodarczych w Polsce, czyli „piątki Morawieckiego". Ewidentny zwrot polityki i zainteresowania rządu w stronę mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw. Jak pan ocenia taki sygnał?

Rafał Antczak: Temat jest niezmiernie złożony. Premier Morawiecki od dłuższego czasu sygnalizował problem średniego wzrostu czy pułapki średniego rozwoju. To rzecz o tyle trudna w ekonomii, że nie ma ani jednego przepisu na sukces – każdy próbował inaczej, a większość gospodarek na świecie na tym etapie średniaków pozostała. Trzeba znaleźć własną ścieżkę rozwoju. Ale to jedna strona medalu. Proszę zwrócić uwagę, że w Polsce z perspektywy całego okresu transformacji widzimy, że firmy duże to po prostu dawne „duże firmy" państwowe.

Zawsze były duże...

Firm, które urosły z poziomu małych lub średnich do dużych, jest bardzo mało. Nasze średnie firmy to przedsiębiorstwa od 5 do 30 mln przychodu rocznie, to jest obszar, za który odpowiadam w PKO Banku Polskim. Tymczasem na Zachodzie średnia firma jest kilkakrotnie większa, a ich średniacy to nasze korporacje. Mamy zatem problem, żeby znaleźć sposób na szybki rozwój średnich do większych, zdolnych nawiązać konkurencję na krajowych i zagranicznych rynkach. Jak to zrobić? Negatywnym przykładem są Włochy. Mają rewelacyjne średnie firmy inżynieryjne, które nie potrafią się przebić i wyjść właśnie z pułapki średniego rozwoju. Już nie urosną, nie przeskalują się na gospodarkę globalną, choć są znane na świecie. Mogą być doskonale wyspecjalizowane w swoich branżach, współpracować z dużymi, ale ich czas ekspansji minął w latach 60., 70. i 80. To, że rośniemy w Polsce szybko, nie oznacza, że to wystarczy, by pokonać ten dystans i nie powtórzyć błędów.

Może to kwestia braku kapitału na rozwój?

W Polsce dostęp do kapitału bankowego jest relatywnie wysoki w porównaniu z krajami OECD, co dobrze pokazuje ranking Doing Business. Nie ma też aż takiego problemu z siłą roboczą, bo krajowe braki uzupełnia rozważna polityka imigracyjna. Problemem jest produktywność, która rozkłada się bardzo nierówno w różnych obszarach geograficznych i gospodarczych Polski. Część sektorów ciągnie gospodarkę do przodu, a część w tył. Trochę jak z samolotem o dwóch silnikach pracujących przeciwbieżnie. Tymczasem średnie firmy właśnie mają duży przyrost produktywności. Są elastyczne, skłonne do przyciągania nowych technologii, duża część ma dobrą sytuację finansową. Ich obawą i ryzykiem jest jedynie skala działalności.

To problem odwagi w podejmowaniu ryzyka?

To raczej jest bariera psychologiczna. Dla właścicieli, którzy stworzyli i prowadzą firmę przez 20–30 lat, ryzyko, że wydarzy się coś nieprzewidywalnego, dodatkowo przy wydłużonym cyklu inwestycyjnym – 3–5-letnim jest bardzo duże. Mieliśmy półtora roku temu do czynienia z ofensywą złych wiadomości dotyczących Polski. Pewna agencja budowała wizję

eprasa.pl 15af488151

upadku polskiej gospodarki. To był dobrze wymierzony w czasie moment, gdy zaczęto przekonywać inwestorów w kraju i za granicą, że to wszystko się zawali. To wyhamowało sporo podmiotów, choć wielu ekonomistów, także naszego banku, podważało te prognozy. Dziś słyszymy od tej samej agencji, że generalnie nie jest źle. Z kolei inna agencja przed rokiem wycofała się z obniżenia perspektywy naszego ratingu. A trzeba pamiętać, że firmy, zwłaszcza małe i średnie, uważnie słuchają mediów, bo nie mają własnych analiz ani prognoz. Takie skrajne opinie i sygnały mają zatem dla nich ogromne znaczenie, gdy angażują się np. w nowe inwestycje czy rynki. Choć mamy poczucie, że dziś w kraju dzieje się ekonomicznie bardzo dobrze – obserwujemy silny wzrost gospodarczy, doskonałą sytuację fiskalną, mikroekonomicznie nie mamy większych problemów – to jednak gdy spoglądamy na świat, sytuacja nie jest już taka różowa. Sytuacja światowa jest obecnie obarczona trudno mierzalnym ryzykiem politycznym – konflikt w Syrii, wojna celna USA z Chinami, napięcia i wybory w zachodnich krajach Unii. Takie sygnały też płyną do średnich firm. Kakofonia informacji, analiz, niemierzalnego ryzyka... Z tym zmaga się przeciętny polski przedsiębiorca. Staramy się pomóc naszym klientom w tym gąszczu sprzecznych informacji. Mamy jednak świadomość, że na jeden dobry sygnał od nas, z banku, pojawia się dziesięć informacji negatywnych i sprzecznych z otoczenia.

Pytanie, czy sygnał dotyczący obniżenia podatku CIT, Konstytucja Biznesu i kilka innych rzeczy, które się dzieją w polskiej polityce gospodarczej, są odczytywane jako komunikat: „Jesteśmy w dobrej sytuacji. Stać nas na obniżenie podatków. Wy inwestujcie”.

To sygnał, że wprowadzane są rozwiązania, które sprawdziły się już w innych krajach. Panujemy w Polsce nad sytuacją ekonomiczną, uszczelniamy system podatkowy, mamy budżet na wsparcie rodzin i możemy także wspierać obszar małych i średnich firm. Może to jest taki bonus od historii na 100-lecie niepodległości.

Czyli trzeba znieść część ryzyk. Jak pana zdaniem można ograniczyć lub rozłożyć ryzyko inwestycji w rozwoju MŚP?

PKO Bank Polski zdiagnozował te potrzeby już jakiś czas temu, dzięki czemu tempo budowy segmentu bankowości przedsiębiorstw jest naprawdę szybkie. Projekt rozpoczęliśmy w czwartym kwartale ubiegłego roku. Pilotażowo w dwóch regionach – Poznańskiem i Warszawskiem, a od 1 kwietnia pozostałych dziewięć regionów zostało objętych nową strukturą. Nasi doradcy docierają bezpośrednio do klientów, stali się mobilni. Widzimy po pierwszych danych, że mamy do czynienia z bardzo dynamiczną akcją kredytową i silną konkurencją, bo inne banki też ruszyły do wyścigu. Liczba dużych korporacji jest ograniczona, a w MŚP mamy do czynienia z bardzo dużą populacją firm potrzebujących wsparcia. Rozmawiamy i doradzamy, pomagamy im w nowatorski sposób. Trzeba umiejętnie oceniać ryzyko, ale też wiedzieć, że to w segmencie średnich przedsiębiorstw jest największy w gospodarce potencjał wzrostu.

Rozumiemy, że jednym z elementów tej nowatorskiej strategii jest wyodrębnienie w banku struktury zajmującej się MŚP. Ekspertów, którzy takim przedsiębiorcom potrafią doradzić.

Tak, skoro średnie firmy potrzebują specjalistycznej pomocy. Nasz doradca ma w portfelu od 60 do 80 firm i musi rozumieć ich biznes, żeby wiedzieć, jakie produkty finansowe mogą być potrzebne w takiej działalności. Wyleasingowanie wyspecjalizowanej linii produkcyjnej to spore wyzwanie. Musimy się szybko uczyć, jak sfinansować bardzo różne potrzeby polskich przedsiębiorstw.

Innowacyjne inwestycje, często związane z eksportem, wejściem na nowe rynki, zatem także z ryzykiem. Nawet program „Ulga na start” kierowany do mikroprzedsiębiorstw, do tych stawiających pierwsze kroki w działalności gospodarczej, wskazuje, że w prowadzeniu biznesu jest jednak spore ryzyko.

Tak, ale proszę pamiętać, że nawet z tymi przedsiębiorcami mikro, dopiero zakładającymi firmy, PKO Bank Polski ma często długoterminową relację. To jest bardzo ważne. Znamy się. Od lat. Znamy historię naszego klienta, widzimy jego relacje, potrafimy ocenić jego zachowania, wiemy, że możemy mu zaufać. Trudniej rzecz jasna zaufać Kowalskiemu, który przychodzi z ulicy, ma 30 lat i twierdzi, że ma świetny pomysł na biznes, którego nigdy w życiu nie robił. My łatwiej zaufamy Kowalskiemu, gdy oszczędzał w szkole, brał kredyt studencki, potem pracował, awansował, zarabiał, pożyczał, spłacał – a my wiemy, jak i gdzie pracował.

To już analityka big data...

Znając lepiej klienta, możemy ocenić ryzyko podejmowanych decyzji, podjąć z nim konstruktywny dialog. Dzięki technologii istotnie skracamy czas podejmowania decyzji. Pracujemy nad przejściem w pełni na elektroniczną dokumentację czy wykorzystanie jednolitych plików kontrolnych. Dzięki temu będziemy szybko i efektywnie wspierać klienta w jego biznesie.

To dokąd muszą zmierzać średnie firmy, żeby zawalczyć o rynek?

Nawet jeśli dostarczymy najlepsze narzędzia, trzeba pamiętać, że będą na swojej drodze napotykały liczne bariery w rozwoju. Jedną z nich będzie kwestia konsolidacji małych i średnich firm. Właściciele muszą zrozumieć, że dalszy wzrost średnich przedsiębiorstw z jednego obszaru musi oznaczać współpracę i połączenia. Także z konkurencją. Jeśli chcemy zawalczyć o rynek – już nie tylko polski, lecz europejski i światowy – trzeba łączyć siły. My, Polacy, chlubimy się poleganiem na sobie, zwłaszcza w biznesie, ale jeśli nie zrozumiemy synergii różnych doświadczeń kilku firm, nie uda nam się konkurować np. z firmami niemieckimi. Tę lekcję nasi przedsiębiorcy będą musieli odrobić w ciągu najbliższych 10–15 lat. Ruch jest właśnie po stronie polskich firm.

eprasa.pl 15af488151

Małe OC, wielkie kłopoty

Na polskim rynku działa ubezpieczyciel, od którego niełatwo wyegzekwować odszkodowanie

Co roku na naszych drogach dochodzi do kilkuset tysięcy stłuczek i kilkudziesięciu tysięcy wypadków. Teoretycznie szkody powstałe w wyniku kolizji powinny być łatwe i szybkie do naprawienia i rozliczenia, zwłaszcza jeżeli sprawca jest ustalony, podpisał oświadczenie lub przyjął mandat od policji i oczywiście ma obowiązkowe ubezpieczenie OC. Niestety, po polskich drogach jeździ spora liczba kierowców, których ubezpieczenie OC w praktyce nie działa tak, jak powinno.

Ostatnie podwyżki cen polis OC, o których było głośno przed dwoma laty, sprawiły, że polski rynek ubezpieczeń stał się łakomym kąskiem dla firm, które wcześniej nie oferowały u nas swoich produktów. Na naszym rynku pojawił się duński Gefion Insurance (GI), który zaoferował klientom ceny niższe o kilkadziesiąt procent w porównaniu z produktami dużych zakładów ubezpieczeniowych. Osoby korzystające z usług internetowych porównywarek cen i szukające najtańszego OC z ulgą powitały ofertę Duńczyków. Praktyka pokazała niestety, że jak to często bywa, znacząco niższa cena ma związek z niższą jakością sprzedawanego produktu. W przypadku polis OC problem jest jednak bardziej złożony, bo konsekwencje niskiej jakości obsługi polis sprzedawanych przez Gefion nie dotykają wyłącznie jego klientów. Kłopoty mają osoby poszkodowane przez tych, którzy dopełnili obowiązku i wykupili polisę oferowaną przez GI.

W SIECI WRZE

O tym, ile warte są ubezpieczenia oferowane przez Gefion i jak wygląda obsługa poszkodowanych w przypadku kolizji, można poczytać na forach internetowych, we wpisach osób, które nie mogą wyegzekwować od duńskiej firmy swoich należności.

– Nie ubezpieczać się w Gefionie! – przestrzega pani Martyna. – Firma nie wypłaca odszkodowań, godzinami nie można się połączyć z infolinią, nie odpowiadają na maile, jak odpowiedzą, to udzielają błędnych informacji. Kłamią, że nie otrzymali dokumentów, podczas gdy wszystkie dokumenty zostały wysyłane.

– Firma tragiczna. Mój proces ciągnie się od połowy lutego, obejmowało to wypełnienie cztery razy tych samych dokumentów, mimo posiadania w pełni wypełnionego oświadczenia – to nie wystarczy, bo trzeba wszystko wypełnić na stronie, przy rzeczoznawcy i potem na mail wysyłać inne dane. Ta firma ma kapitał 50 tysięcy. Co to w ogóle jest?! Szczerze, nie wiem, czy gra jest warta świeczki, skoro takie przekręty oni stosują, obawiam się, czy dobrą decyzją było wysłanie takim ludziom skanu dowodu czy prawa jazdy. Co stoi im na przeszkodzie, aby wyrobić „plastik" z moimi danymi za 50 zł i pójść do banku? Firma zwodzi nas z wypłatami odszkodowań, piszcie reklamacje, piszcie o odsetki, piszcie do Rzecznika Finansów, jak i do oddziału zagranicznego – może to coś pomoże – wtóruje Adam.

Podobnych wpisów można znaleźć setki w ciągu zaledwie kilku minut. Widać wyraźnie, że problem z wyegzekwowaniem należności od Gefionu dotyczy coraz większej liczby osób.

AUTA RDZEWIEJĄ, BRUKSELA POZWALA

Gefion nie ma w Polsce ani jednego swojego oddziału, nie podlega więc kurateli Komisji Nadzoru Finansowego. KNF jednak robi, co może, by ukrócić fatalne praktyki duńskiego ubezpieczyciela w naszym kraju. Polisy sprzedawane są przez pośrednika. Do firmy nie sposób się dodzwonić, średni czas oczekiwania na połączenia z infolinią w celu zgłoszenia szkody trwa około półtorej godziny. Warsztaty szybko się zorientowały, jak trudno wyegzekwować należność z polisy GI, i nie chcą rozliczać napraw bezgotówkowo, gdy pieniądze ma wypłacić duński ubezpieczyciel. Podobną ostrożnością wykazują się wypożyczalnie aut, które nie podstawią samochodu zastępczego na czas naprawy, w przypadku gdy należność za jego użytkowanie ma pochodzić z polisy Gefion. W praktyce oznacza to, że uszkodzone auto trzeba albo naprawić na własny koszt, albo rozbity samochód trzymać przed domem na parkingu i cierpliwie czekać na wlekące się rozstrzygnięcie sprawy.

Gefion sprzedaje swoje polisy w Polsce na zasadzie działalności transgranicznej, czyli jednolitego, międzynarodowego paszportu w ramach swobody przepływu usług, gwarantowanego przez Unię Europejską. Przypomnijmy, że swoboda przepływu usług przestała jednak obowiązywać w przypadku niekorzystnego dla Polski rozwiązania o pracownikach delegowanych, za to nadal obowiązuje w przypadku, gdy zagraniczny ubezpieczyciel prowadzi swoją działalność na terenie Polski w sposób urągający wszelkiej rzetelności i przyzwoitości. Nadzieję na poprawę tej sytuacji dają regulacje, których opracowaniem zajmuje się już KNF. Na razie osoby mające kłopoty z Gefionem szykują się do złożenie pozwu zbiorowego przeciwko tej firmie.

Kajetan Kutnowski

eprasa.pl 15af488151

Co może KNF

O skandalicznych praktykach Gefion Insurance na polskim rynku i działaniach Komisji Nadzoru Finansowego w tej sprawie z jej przewodniczącym Markiem Chrzanowskim, rozmawia Kajetan Kutnowski


Fot. Julia Szewczyk

Czy do Komisji wpłynęły skargi na działalność Gefion Insurance, zwłaszcza z powodu trudności z uzyskaniem odszkodowań z polis OC tego ubezpieczyciela?

Marek Chrzanowski: Od maja 2017 r. do urzędu KNF wpłynęło ok. 40 skarg na działalność Gefion Insurance A/S. Dotyczyły podejrzeń łamania przepisów prawa, co miało prowadzić do naruszenia interesu ubezpieczających, ubezpieczonych i uprawnionych z umów ubezpieczenia.

Jakie działania podjęła Komisja w sprawie Gefion Insurance?

Działania związane z zakładem ubezpieczeń Gefion rozpoczęliśmy już w styczniu 2017 r. Spotkaliśmy się z przedstawicielami duńskiego organu nadzoru [Finanstilsynet – przyp. red.], pozostajemy z nim w kontakcie roboczym i liczymy na podjęcie z jego strony działań w tej sprawie. Problemy związane z działalnością Gefionu były sygnalizowane także innym instytucjom odpowiedzialnym za ochronę konsumentów, czyli Urzędowi Ochrony Konkurencji i Konsumentów, Rzecznikowi Finansowemu, Ubezpieczeniowemu Funduszowi Gwarancyjnemu, a także Polskiej Izbie Ubezpieczeń. Spotkaliśmy się z przedstawicielami Gefionu w Polsce, zwróciliśmy się także do Gefionu w sprawie przedstawienia wyjaśnień dotyczących jego działalności na terytorium Polski.

Czy Gefion Insurance, który nie posiada ani jednego oddziału w Polsce, jest objęty nadzorem KNF?

Notyfikacja Gefionu, czyli zamiar prowadzenia działalności na terytorium RP w ramach swobody świadczenia usług, wpłynęła do KNF w 2015 r. Zgodnie z prawem europejskim KNF nie mogła odmówić Gefionowi możliwości sprzedaży produktów ubezpieczeniowych w Polsce. Przedstawicielem Gefionu w naszym kraju jest firma Polins sp. z o.o. Działalność w zakresie likwidacji szkód prowadzona jest poprzez Crawford Polska sp. z o.o. Stosownie do przepisów ustawy o działalności ubezpieczeniowej i reasekuracyjnej wyłączny nadzór nad gospodarką finansową Gefionu sprawuje Finanstilsynet, czyli duński organ nadzoru. Gefion podlega ograniczonemu nadzorowi KNF w kontekście wymienionej przeze mnie ustawy. Jak każdy zagraniczny zakład ubezpieczeń z państwa członkowskiego

eprasa.pl 15af488151

Unii Europejskiej ma on obowiązek stosować przepisy prawa polskiego w zakresie niezbędnym do ochrony nadrzędnego interesu publicznego.

Czy nie mamy do czynienia z luką w prawie europejskim, która pozwala na oferowanie polis na rynku, na którym ubezpieczyciel nie zbudował żadnych struktur? Stawia go to w uprzywilejowanej pozycji wobec innych podmiotów, które muszą chociażby utrzymywać sieć placówek?

Przyjęty przez Gefion model biznesowy zakłada prowadzenie działalności przez pośredników. Działalność taka odbywać się może na zasadzie transgranicznej, czyli jednolitego paszportu w ramach swobody przepływu usług. W urzędzie KNF trwają prace koncepcyjne nad zmianą przepisów dotyczących działalności transgranicznej. Chodzi o propozycję nowelizacji ustawy o działalności ubezpieczeniowej i reasekuracyjnej zmierzającą do wprowadzenia kompleksowej regulacji umożliwiającej podejmowanie działań nadzorczych wobec zagranicznych zakładów ubezpieczeń działających na terytorium RP na zasadzie swobody przepływu usług. W regulacji chodzi o wprowadzenie rozwiązań dotyczących możliwości karania oraz stosowania innego rodzaju sankcji w stosunku do wskazanych podmiotów w przypadku wystąpienia nieprawidłowości polegających na naruszeniu interesów klientów. Propozycja przewiduje możliwość wydawania zaleceń, decyzji zobowiązującej do wykonywania zaleceń oraz stosowania przez KNF wszystkich uprawnień nadzorczych, w tym sankcji, jak w przypadku krajowego zakładu ubezpieczeń, bez konieczności zawiadamiania organu nadzoru macierzystego. Ponadto chodzi o możliwość zastosowania kar, w tym kary pieniężnej, oraz o zakaz wykonywania lub ograniczenie działalności w przypadkach uzasadnionych koniecznością niezwłocznego zapobieżenia naruszenia interesów odbiorców usług tych zakładów.

Czy KNF może nałożyć kary na brokerów ubezpieczeniowych bądź multiagencje, które wprowadzają do oferty rynkowej polisy ubezpieczycieli bez struktur i zaplecza w Polsce?

Przepisy ustawy o pośrednictwie ubezpieczeniowym nie zawierają regulacji dających KNF kompetencję do nakładania kar bezpośrednio na agentów ubezpieczeniowych. Wynika to z faktu przyjęcia konstrukcji nadzoru pośredniego nad wykonywaniem pośrednictwa ubezpieczeniowego. Nadzór nad działalnością agenta ubezpieczeniowego sprawuje zakład ubezpieczeń, na którego rzecz działa agent ubezpieczeniowy. Środki i sankcje, którymi dysponuje KNF, można podzielić na dwie kategorie. Do pierwszej należą środki nakierowane na usunięcie, naprawienie nieprawidłowości po stronie zakładu ubezpieczeń, polegających na niewywiązywaniu się przez zakład z obowiązków nałożonych przepisami ustawy w związku z korzystaniem z usług agentów ubezpieczeniowych (dotyczy to kwestii związanych z wpisem i zmianami wpisu w rejestrze agentów ubezpieczeniowych). Do drugiej kategorii należy zaliczyć środki, które zmierzają do zaprzestania wykonywania działalności agencyjnej przez agenta ubezpieczeniowego w sytuacji, gdy działalność ta nie odpowiada przepisom ustawy. Dotyczy to niespełniania przez agenta warunków ustawowych oraz nieprawidłowości w czynnościach agencyjnych powodujących konieczność wyeliminowania agenta ubezpieczeniowego z rynku. Druga kategoria środków i sankcji zmierza zatem do zobowiązania zakładu ubezpieczeń do zaprzestania współpracy z agentem ubezpieczeniowym, którego działalność jest niezgodna z prawem, jednakże niezgodność ta dotyczy nieprawidłowości w świadczonych przez agenta ubezpieczeniowego usługach. Nawet jeśli przyjąć, że oferowanie przez agenta ubezpieczeniowego produktów ubezpieczeniowych zakładu ubezpieczeń naruszającego przepisy prawa może zostać uznane za nieprawidłowość w czynnościach agencyjnych (narażanie ubezpieczających na negatywne konsekwencje w związku z zawarciem umowy ubezpieczenia z takim zakładem ubezpieczeń), to opisana wyżej konstrukcja nadzoru nie daje żadnych podstaw do stosowania sankcji wobec takiego agenta.

W odniesieniu do brokera ubezpieczeniowego, zgodnie z ustawą o pośrednictwie ubezpieczeniowym, reprezentuje on klienta i ma wynikający z przepisów prawa zakaz powiązań z zakładami ubezpieczeń. Dodatkowo przed zawarciem umowy ubezpieczenia broker ubezpieczeniowy jest zobowiązany udzielić klientowi na piśmie porady w oparciu o rzetelną analizę ofert w liczbie wystarczającej do opracowania rekomendacji najwłaściwszej umowy ubezpieczenia oraz pisemnie wyjaśnić podstawy, na których opiera się rekomendacja. Wskazana konstrukcja definiuje brokera jako pośrednika, którego zadaniem jest znalezienie oferty zgodnej ze specyfikacją określoną przez klienta spośród możliwie szeroko rozpoznanej oferty rynkowej. Broker może poszukiwać oferty we wszelkich legalnie działających na polskim rynku zakładach ubezpieczeń. Zebrane oferty jest zobowiązany rzetelnie porównać, rozważając wszelkie czynniki, które uważa za istotne on i jego klient. Efektem działań brokera ubezpieczeniowego jest zawarcie przez klienta umowy ubezpieczenia w sposób świadomy, zgodnej z celami, których realizacji ma ona służyć. W procesie tym rolą brokera – jako pełnomocnika – jest służyć radą i doświadczeniem, jednak ostateczna decyzja zawsze należy do klienta.

Czy osoby, które nie mogą wyegzekwować należnych odszkodowań od Gefion Insurance, powinny uzyskać wsparcie z Ubezpieczeniowego Funduszu Gwarancyjnego?

Osoby poszkodowane w ramach OC posiadaczy pojazdów mechanicznych, które nie mogą wyegzekwować od Gefionu należnych im świadczeń, nie mogą niestety liczyć na wsparcie ze strony UFG. Powodem jest zamknięty katalog zdarzeń, w odniesieniu do których UFG jest zobowiązany do udzielenia pomocy. Przypadki naruszania przepisów, na które skarżą się osoby niemogące wyegzekwować swoich należności od Gefion Insurance, niestety w tym katalogu się nie mieszczą.

eprasa.pl 15af488151

Nowe leki ratunkiem dla pacjentów ze szpiczakiem mnogim

Szpiczak plazmocytowy to obecnie diagnoza, a nie wyrok. Innowacyjne leki nawet pięciokrotnie przedłużają życie chorych, także tych z nawrotową postacią nowotworu, i umożliwiają im prowadzenie normalnego życia. Polscy pacjenci bezskutecznie czekają na refundację leków od lat dostępnych w większości krajów europejskich



Spotkanie prasowe „Wyzwania terapeutyczne w leczeniu szpiczaka plazmocytowego w Polsce"

Fot. Katarzyna Rainka | 14/04/2018

Nowotwory krwi stają się coraz powszechniejsze w całej Europie. Jednym z najczęściej występujących nowotworów hematologicznych jest szpiczak plazmocytowy, wywodzący się z komórek układu odpornościowego, które w nieprawidłowy sposób zaczynają się namnażać i atakować szpik kostny. Przyczyny choroby są nieznane, a ryzyko zachorowania rośnie wraz z wiekiem – szpiczak diagnozowany jest zazwyczaj u osób powyżej 65. roku życia, coraz częściej chorują jednak osoby znacznie młodsze.

Szpiczak ze względu na nieswoiste objawy sprawia wiele trudności diagnostycznych. Najczęstsze symptomy szpiczaka to bóle kostne, złamania, osteoporoza, niedokrwistość, zmęczenie, zespół nadlepkości krwi oraz częste infekcje. Objawy te powodują, że chorzy przez wiele miesięcy bezskutecznie szukają pomocy u specjalistów różnych dziedzin, zanim trafią do hematoonkologa. W walce ze szpiczakiem plazmocytowym niezwykle istotna jest rola lekarza POZ. Nowotwór ten można wykryć przy rutynowej morfologii, internistę powinna zaniepokoić obecność białka monoklonalnego we krwi oraz podwyższony poziom OB.

Ostatnie lata przyniosły prawdziwą rewolucję w leczeniu szpiczaka plazmocytowego. Milowym krokiem było wprowadzenie do leczenia trzech leków: talidomidu, lenalidomidu oraz bortezomibu. Dzięki kolejnym nowym terapiom dzisiaj szpiczak staje się chorobą przewlekłą. W ciągu ostatnich pięciu lat w Europie i USA zarejestrowanych zostało sześć cząsteczek, skutecznych zwłaszcza w terapii nawrotowej i opornej na leczenie postaci szpiczaka: pomalidomid, karfilzomib, iksazomib, daratumumab, elotuzumab oraz panobinostat. Rewolucja w leczeniu szpiczaka nie dotyczy jednak polskich pacjentów. – Postęp jest ogromny, trzeba jednak poradzić sobie z finansowaniem nowoczesnych terapii i udostępnić chociaż trzy nowe leki polskim pacjentom – mówi doc. dr Dominik Dytfeld, prezes Polskiego Konsorcjum Szpiczakowego.

Szpiczak plazmocytowy jest chorobą nawrotową – kłopoty zaczynają się w przypadku pacjentów, którzy po kolejnym nawrocie choroby przestali reagować na dotychczasowe leczenie. – Nasze życie to egzystencja od leku do leku. Dopiero, gdy mamy zapewniony dostęp do terapii, możemy powiedzieć, że życie jest piękne – mówi Wiesława Adamiec, prezes Fundacji Carita „Żyć ze Szpiczakiem".

Obecnie w procesie refundacyjnym znajdują się trzy z sześciu innowacyjnych cząsteczek: pomalidomid, daratumumab i karfilzomib. Na najbardziej zaawansowanym etapie administracyjnym jest pomalidomid – resort zdrowia już jesienią nie wykluczał, że preparat ten trafi do refundacji wraz z początkiem 2018 r. Dla około 200 pacjentów jest to dzisiaj terapia ostatniej szansy, pozwalająca na kolejne lata życia. Na nowe leki czekają nie tylko chorzy na szpiczaka, lecz i lekarze. – Czujemy się bezradni, mówiąc pacjentom, że nie ma już dla nich terapii, choć zarówno my, jak i oni zdajemy sobie sprawę z istnienia nowoczesnych leków na świecie – mówi dr Grzegorz Charliński z Oddziału Hematologii w Specjalistycznym Szpitalu Miejskim w Toruniu.

Według Wiesławy Adamiec od jesieni zmarło już 60 pacjentów, dla których pomalidomid stanowił ostatnią szansę ratunku.

red. Katarzyna Dżugaj

Polska Grupa Szpiczakowa | Polskie Konsorcjum Szpiczakowe | HEMATO ONKOLOGIA.PL | FUNDACJA CARITA Żyć ze Szpiczakiem | Celgene

Artykuł powstał w ramach kampanii edukacyjnej „Wczesna diagnostyka szpiczaka mnogiego", przy okazji spotkania prasowego pt. „Wyzwania terapeutyczne w leczeniu szpiczaka plazmocytowego w Polsce", którego partnerem była Polska Grupa Szpiczakowa, Polskie Konsorcjum Szpiczakowe, Fundacja Carita – Żyć ze szpiczakiem oraz firma Celgene Sp. z o.o. Więcej informacji na temat kampanii na stronach: www.zdiagnozuj-szpiczaka.pl oraz www.hematoonkologia.pl.

eprasa.pl 15af488151

Hit tygodnia

Sony XF83 i XF70

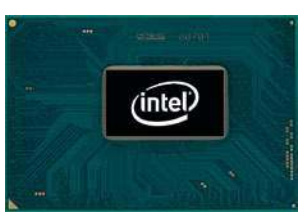


Firma Sony wprowadza dwie nowe serie telewizorów 4K HDR. Modele XF83 wyposażone w wydajny procesor 4K HDR X1 to propozycja dla osób oczekujących wysokiej jakości obrazu na dużym ekranie: 60- lub 70-calowym. W telewizorach tych wykorzystano wiele technologii, które zwiększają realizm kolorystyki i kontrastów, ograniczają szumy i zakłócenia oraz wyostrzają, optymalizują i interpolują obraz, by wydobyć z niego dodatkowe szczegóły. Obsługa zaawansowanych komend głosowych i platforma Android TV™ zapewniają błyskawiczny dostęp do filmów, programów telewizyjnych i tysięcy aplikacji. Telewizory 4K HDR XF83 mogą również służyć do gier, a miłośnikom kina i seriali pozwalają czerpać z zasobów takich serwisów jak Google Play, Netflix, Amazon Prime Video czy YouTube. Ekran otoczony jest wąską ramką, a pomysłowo zaprojektowana podstawa pozwala ukryć i rozprowadzić wszystkie przewody. Telewizory 4K HDR z serii XF70 są oferowane w czterech wersjach rozmiarowych (43, 49, 55 i 65 cali), dostosowanych do różnych wielkości i aranżacji domowych wnętrz. XF70 ma wbudowaną przeglądarkę internetową i doskonale nadaje się do oglądania serii oraz filmów przesyłanych strumieniowo z popularnych serwisów, w tym Netflixa i YouTube'a, które można włączyć jednym przyciskiem. Telewizory 4K HDR Sony z serii XF83 i XF70 trafią do sprzedaży niedługo. **premiera**

Plusy i minusy

+ Sony to jeden z czołowych producentów sprzętu elektronicznego na świecie
– trudno oceniać przed pojawieniem się na rynku

Intel Core i9



Intel prezentuje pierwszy na świecie procesor Intel Core i9 stworzony z myślą o urządzeniach mobilnych. Intel Core i9 ósmej generacji zagwarantuje najwyższy komfort pracy użytkowników zajmujących się tworzeniem treści oraz graczy korzystających z urządzeń przenośnych. Intel informuje także o wprowadzeniu technologii Intel Optane do laptopów z wybranymi procesorami Intel Core ósmej generacji i o uzupełnieniu rodziny wydajnych procesorów oraz chipsetów przeznaczonych dla komputerów stacjonarnych i oferujących funkcje standby computing i ambient computing. Najbardziej zaawansowanym rozwiązaniem jest procesor Intel Core i9-8950HK ósmej generacji, który został zoptymalizowany pod kątem maksymalnej wydajności. To pierwszy 6-rdzeniowy i 12-wątkowy procesor firmy Intel do urządzeń przenośnych. Procesor jest dostarczany z całkowicie odblokowanym mnożnikiem. Został wyposażony w technologię Intel® Thermal Velocity Boost (TVB), która w odpowiednich momentach automatycznie zwiększa częstotliwość zegara nawet do 200 MHz, jeśli temperatura procesora jest wystarczająco niska i jeśli dostępna jest rezerwa mocy obliczeniowej turbo. Oznacza to możliwość uzyskania częstotliwości turbo rzędu aż 4,8 GHz. **premiera**

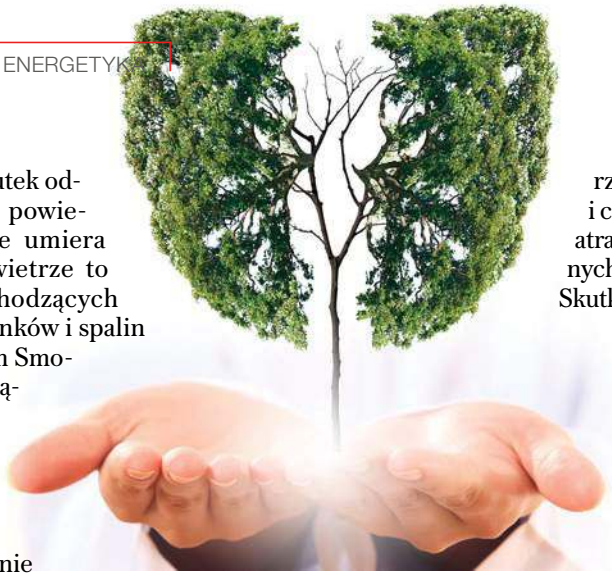
Logitech G PRO



Logitech G, marka gamingowa należąca do firmy Logitech, zaprezentowała najnowsze słuchawki G PRO, model przeznaczony dla profesjonalistów oraz entuzjastów wirtualnej rozgrywki. Zestaw słuchawkowy G PRO jest rozszerzeniem linii produktów przeznaczonych dla profesjonalnych graczy. Słuchawki są lekkie, solidne, a także wyjątkowo wygodne, nawet podczas wielogodzinnych sesji. O doskonałe wrażenia dźwiękowe zadbają specjalne membrany Logitech G Pro-G. Dzięki nim można usłyszeć każdy detal, np. kroki skradającego się przeciwnika. Świetną izolację dźwięków otoczenia gwarantują nauszniki wykonane z najwyższej jakości ekoskóry. G PRO wyposażono również w znakomity mikrofon pojemnościowy, aby komunikacja przebiegała bez zakłóceń. Dostępny jest również dodatkowy zestaw nauszników, stworzony z materiału przypominającego zamsz. Słuchawki Logitech G PRO są dostępne w kolorze czarnym i kompatybilne z komputerami osobistymi, konsolami (Xbox One, PlayStation 4 oraz Nintendo Switch), a także z urządzeniami mobilnymi. **Cena: 439 zł**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 15af488151



Enea Eco w walce ze smogiem

Co roku w Polsce na skutek oddychania złej jakości powietrzem przedwcześnie umiera ok. 40 tys. osób. Takie powietrze to skutek zanieczyszczeń pochodzących z pieców „kopciuchów", kominków i spalin samochodowych. Polski Alarm Smogowy (PAS) ostrzega, że obowiązujący w Polsce poziom alarmowy dla pyłu PM10 (300 mikrogramów/m sześc.) kilkukrotnie przekracza zalecenia Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) odnośnie do dopuszczalnych stężeń dobowych tych pyłów i jest trzykrotnie wyższy niż np. w Czechach czy na Węgrzech.

SMOG „KOPCIUCHEM" STOI

Z wyliczeń ekspertów wynika, że domowe piece są odpowiedzialne za 91 proc. emisji pyłu zawieszonego PM10. Jak zaznaczają specjaliści, głównymi dostarczycielami złej jakości powietrza są domowe stare piece, do których wrzuca się w zasadzie wszystko, co jest pod ręką. Smog fundują nam głównie stare kotły w domach – mówił w telewizji wPolsce.pl Paweł Sałek, wiceminister środowiska. To właśnie z tych urządzeń w sposób najbardziej szkodliwy dla środowiska wydobywają się zanieczyszczenia. Dzisiaj mamy taką sytuację, że w Polsce problemy z jakością powietrza są sezonowe i zjawisko smogu w pierwszej kolejności powodowane jest przez to, że w instalacjach przydomowych spala się słabej jakości paliwo, często śmieci. Instalacje które służą do wytwarzania energii, konkretnie kotły, są stare. Krzysztof Tchórzewski, minister energii, zwracał uwagę, że mamy prawie 3 mln domów ze starymi kotłami, w których spala się paliwo niskiej jakości, co jest główną przyczyną smogu zimowego. To właśnie domowe piece są odpowiedzialne za 91 proc. emisji pyłu zawieszonego PM10. Przemysł odpowiada za 2 proc. tej emisji.

WSZYSCY DO WALKI O CZYSTE POWIETRZE

Rząd stając do walki ze smogiem, przygotował specjalny program „Czyste powietrze" i powołał pełnomocnika do spraw tego programu, Piotra Woźnego. Jego zadaniem ma być m.in. zapewnienie efektywnej koordynacji podejmowanych działań, tak by w pełni zrealizować postulaty programu „Czyste powietrze". To właśnie on mówił, że na słynnej liście WHO, na której umieszczono 50 europejskich miast o najgorszym powietrzu, znalazły się aż 33 miasta polskie.

Stąd m.in. pomysł wprowadzenia niższych stawek za energię elektryczną w godzinach nocnych. Jak mówił podczas jednej z konferencji prasowych minister energii Krzysztof Tchórzewski, wprowadzane obniżki opłat i cen energii mają na celu podniesienie atrakcyjności używania w godzinach nocnych energii elektrycznej do ogrzewania. Skutkiem tego ma być zmniejszenie zużycia paliw stałych do ogrzewania, przede wszystkim węgla, a w konsekwencji ma się zmniejszyć zanieczyszczenie powietrza. Chodzi o energię elektryczną produkowaną w nocy. Stąd do walki ze smogiem włącza się coraz więcej firm energetycznych, w tym Grupa Enea, która wprowadziła do swojej oferty nowy produkt, zachęcając konsumentów do zwiększonego zużycia energii elektrycznej w nocy.

ENEA ECO, OFERTA W WALCE ZE SMOGIEM

Zastosowanie preferencyjnych cen dla Enei Eco, bo taką nazwę nosi wspomniana oferta, ma za zadanie zachęcić do korzystania z ogrzewania elektrycznego oraz samochodów elektrycznych. „Jest to ciekawa alternatywa dla tych, którzy chcą rozpocząć korzystanie w swoich domostwach z ogrzewania elektrycznego lub też ładować pojazdy elektryczne w godzinach nocnych. Wprowadzenie Enea Eco to pierwszy etap długofalowych działań Enei wpływających na świadomość klientów w zakresie ochrony środowiska i walki ze smogiem. Zależy nam na komforcie klientów, ale także ważny jest dla nas aspekt ekologiczny i poprawa jakości powietrza" – powiedział Piotr Adamczak, wiceprezes Enei ds. handlowych. Produkt przeznaczony jest dla klientów indywidualnych, którzy zużywają energię na potrzeby gospodarstw domowych przyłączonych do sieci Enea Operator. Ideą produktu jest wspieranie zwiększenia zużycia energii w godzinach od 22.00 do 6.00. W efekcie połączenia preferencyjnych cen energii w produkcie i stawek dystrybucyjnych objęta nimi dodatkowo zużyta w nocy kilowatogodzina będzie znacząco tańsza niż w ciągu dnia. Linia produktowa Eco będzie rozszerzana o dodatkowe elementy oferty łączonej, choćby w postaci pieców akumulacyjnych. Rozważając zatem wymianę lub modernizację ogrzewania przed kolejną zimą, warto zwrócić uwagę na korzyści płynące z ogrzewania elektrycznego.

Inną propozycją jest Pakiet Ogrzewanie w ramach produktu Enea Smart, opartego na innowacyjnych rozwiązaniach typu Smart Home. Użytkownicy pakietu za pomocą inteligentnych urządzeń do sterowania ogrzewaniem (głowica termostatyczna) mogą zarządzać temperaturą w wybranych pomieszczeniach mieszkania lub domu. To też dodatkowa wygoda – mobilna aplikacja pozwala na zdalne zarządzanie ogrzewaniem z dowolnego miejsca i oszczędności w domowym budżecie.

fot. shutterstock | 10/0418/F

eprasa.pl 15af488151



Fot. Shutterstock x2 | 3/1217/F

Ryzykowny świat kryptowalut

eprasa.pl 15af488151



Kryptowaluty są częstym tematem dyskusji, powstają na ich temat publikacje naukowe, wiele uwagi poświęcają im instytucje działające na rynku finansowym, przyglądają się im rządy. Kryptowaluty są nie tylko przedmiotem analiz i badań, lecz również realnym obiektem spekulacji, z którym wiąże się poważne ryzyko

Czym są kryptowaluty? Według definicji Europejskiego Urzędu Nadzoru Bankowego (ang. European Banking Authority – EBA) to cyfrowa reprezentacja wartości, nieemitowana ani przez bank centralny, ani organ publiczny, może być uznawana przez osoby fizyczne i prawne za środek płatniczy. To rodzaj umowy między stronami, które posługują się kryptowalutami. Nie są one pieniądzem, nie są prawnym środkiem płatniczym, nie istnieją realnie (jako banknoty, monety lub żetony). Tak naprawdę występują tylko w formie informacji rozpoznawanych przez komputer. Posiadają wysoki stopień anonimowości (strony transakcji są trudne do rozpoznania) i są niezależne od systemu bankowego. Anonimowość i bezpieczeństwo obrotu zapewniają rozbudowane techniki szyfrujące (kryptograficzne), od których pochodzi nazwa kryptowaluta.

Pierwszą i najbardziej rozpoznawalną kryptowalutą jest bitcoin, który powstał w 2009 r. Obecnie funkcjonuje ok. 1,5 tys. innych kryptowalut. Poza bitcoinem największe pod względem kapitalizacji to: ethereum, ripple, bitcoin cash, litecoin czy cardano.

INACZEJ NIŻ ZWYKŁY PIENIĄDZ

Kryptowaluty różnią się zasadniczo od walut znanych do tej pory. Tradycyjny pieniądz, tzw. fiducjarny, jest emitowany przez banki centralne w ramach prowadzonej przez nie polityki pieniężnej. Wartość pieniądza fiducjarnego (monety i banknoty) opiera się na zaufaniu do emitenta.

Kryptowaluty nie mają centralnego emitenta, ich system emisji jest zdecentralizowany. Podaż kryptowalut ustala algorytm, nie zależy ona od polityki żadnej centralnej instytucji. Podaż wielu kryptowalut jest ograniczona, w przeciwieństwie do pieniądza fiducjarnego, który można emitować praktycznie w nieograniczonej ilości. Na przykład algorytm bitcoina został tak zaprojektowany, że jego emisja nie może przekroczyć 21 mln (do 25 marca 2018 r. wyniosła 16,94 mln).

Bezpieczeństwo transakcji między uczestnikami zapewnia podpis kryptograficzny, a ryzyko przepływu „pieniądza" jednocześnie do kilku odbiorców jest wyeliminowane poprzez publiczne poinformowanie o transakcji. System działa na wielu niezależnych serwerach, jest więc rozproszony. Transakcje są jawne, natomiast nie są znane dane identyfikacyjne stron, które ich dokonują, co może stanowić pole do nadużyć.

OBIEKT SPEKULACJI

Kryptowaluty wzbudzają wiele emocji. Szczególnie duże wrażenie robi sztandarowy bitcoin, którego udział zarówno w obrotach kryptowalut, jak i w kapitalizacji jest największy.

Jedną z największych wad kryptowalut jest duża zmienność ich kursów. Wynika ona przede wszystkim z tego, że stały się one – jako produkt inwestycyjny – obiektem spekulacji. Bitcoin to nie pieniądz. Pieniądz posiada odpowiednie cechy, których kryptowaluty nie mają.

Kolejna cecha kryptowalut – ich anonimowość – też okazuje się problematyczna. Trudność w identyfikacji stron transakcji sprzyja wykorzystywaniu ich przy realizacji nielegalnych operacji, takich jak handel narkotykami lub bronią czy pranie pieniędzy. „Oczywiście anonimowość nie jest wadą samej waluty – jest spełnieniem założeń stojących u podstaw jej powstania – ale skuteczność tej anonimowości sprzyja rozliczaniu nielegalnych i społecznie szkodliwych działań, równocześnie oddalając moment jej akceptacji przez władze" – twierdzą autorzy raportu „Kryptowaluty – idea bitcoina i jej możliwe zastosowania", przygotowanego przez Biuro Analiz Makroekonomicznych Banku Pekao SA.

Analitycy banku cytują definicję bitcoina, według której jest to (niepodrabialny) „łańcuch podpisów cyfrowych", czyli zer i jedynek w rozproszonej sieci komputerowej. Dlaczego

eprasa.pl 15af488151

akurat zestaw zer i jedynek skomponowanych zgodnie z recepturą bitcoin miałby kosztować tak wiele? – pytają. „Życie przyniesie odpowiedź, natomiast wskazana jest bardzo daleko posunięta ostrożność – wchodzenie na ten rynek przy obecnych wycenach oznacza bardzo wysokie prawdopodobieństwo straty" – piszą autorzy raportu.

Jon Danielsson, ekonomista z London School of Economics, podkreśla spekulacyjny charakter kryptowalut, porównując je z tradycyjnym pieniądzem. Pisze na łamach „Obserwatora Finansowego", że kluczowe znaczenie ma wiarygodność, czyli nasze oczekiwanie, że pieniądze zachowają swoją wartość w miarę upływu czasu. „W przypadku pieniądza fiducjarnego banki centralne są zobowiązane do utrzymywania jego wartości na stabilnym poziomie. Główne banki centralne od dłuższego czasu z powodzeniem utrzymują inflację na poziomie bardzo zbliżonym do przyjętego celu" – twierdzi Jon Danielsson. Według niego bitcoin i inne kryptowaluty są pod tym względem znacznie gorsze. „Zdarza się, że ich wartość podwaja się lub zmniejsza o połowę w ciągu kilku dni. Nie możemy być pewni, że posiadane przez nas zasoby kryptowalut utrzymają swoją wartość przez następny tydzień, nie wspominając nawet o następnym miesiącu lub roku. Jeśli ktoś posiada kryptowaluty, to jedynie dla celów spekulacyjnych, a nie w charakterze środka przechowywania wartości".

> Kryptowaluty nie są prawnym środkiem płatniczym, nie istnieją realnie w postaci banknotów czy monet. Występują tylko w formie informacji rozpoznawanych przez komputer

WIELE ZASTRZEŻEŃ

Nic dziwnego, że w tej sytuacji rządy niektórych państw zaostrzają regulacje lub całkowicie zakazują handlu kryptowalutami. Facebook zabronił ich reklam, a w czerwcu tego roku ma zamiar zrobić to Google.

W Polsce niedawno przyjęty przez Sejm rządowy projekt ustawy o przeciwdziałaniu praniu pieniędzy oraz finansowaniu terroryzmu pośrednio dotknął rynku kryptowalut, a największe giełdy handlujące tym instrumentem zostały wpisane na listę ostrzeżeń KNF. W marcu br. Naczelny Sąd Administracyjny wydał wyrok oznaczający konieczność zapłaty przez podatnika nawet 32 proc. podatku od handlu kryptowalutami. Sąd orzekł, że ten, kto handluje kryptowalutami, uzyskuje przychód z praw majątkowych, czyli musi się rozliczyć według skali podatkowej. NSA przypomniał, że w naszym kraju walutą są złote i grosze, a bitcoin i inne kryptowaluty nie są konwencjonalnymi pieniędzmi.

Jednoznaczne stanowisko wobec kryptowalut zajęły także NBP i KNF. Obie instytucje już w lipcu ub.r., czyli jeszcze przed gwałtowną podwyżką ceny bitcoina i późniejszym drastycznym jej spadkiem, ostrzegały we wspólnym komunikacie, że posiadanie kryptowalut wiąże się z wieloma rodzajami ryzyka, np. z ryzykiem braku gwarancji (kryptowaluty nie są gwarantowane przez Bankowy Fundusz Gwarancyjny, gdyż nie są one depozytami bankowymi) czy z ryzykiem związanym z brakiem powszechnej akceptowalności (nie można nimi płacić w punktach handlowo-usługowych, podmioty gospodarcze nie mają obowiązku akceptowania płatności nimi).

Według NBP i KNF niektóre oferowane formy inwestowania w kryptowaluty mogą mieć charakter piramidy finansowej. W przypadku utraty środków finansowych jedyną formą ochrony będzie postępowanie karne, ponieważ ani Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, ani Komisja Nadzoru Finansowego nie mają prawnych możliwości pomocy.

NBP i KNF zwracają także uwagę, iż utrudnieniem w dochodzeniu roszczeń jest to, że podmioty obracające kryptowalutami działają w różnych krajach, o różnym stopniu ochrony użytkowników. Obie instytucje przypominają też o ryzyku związanym z dużą zmianą cen kryptowalut, na którą znaczny wpływ mogą mieć nawet pojedyncze transakcje. Przestrzegają również instytucje finansowe nadzorowane przez KNF przed wchodzeniem na ten rynek.

Warto też pamiętać o tym, że waluty wirtualne nie jest łatwo wymienić na gotówkę, jak można to zrobić w banku z tradycyjnymi środkami zgromadzonymi na rachunkach. Istnieje jeszcze jedno ryzyko, o którym nie można zapominać: wynika ono z tego, że kryptowaluty mogą być przedmiotem kradzieży, np. w wyniku cyberataku na podmiot, który prowadzi ich wymianę.

PRZEŁOMOWA TECHNOLOGIA

Przy długiej liście zastrzeżeń do kryptowalut zarówno NBP, jak i KNF podkreślają, by nie utożsamiać ich całkowicie z technologią blockchain wykorzystywaną przez część kryptowalut. Technologia, zwana też technologią rozproszonego rejestru (ang. distributed ledger technology – DLT), może mieć wiele zastosowań, np. w usługach czy w sektorze finansowym. Jednak także ona powinna podlegać szczegółowym analizom przed jej masowym wprowadzeniem na rynek.

Rzeczywiście, o ile sytuacja kryptowalut, a zwłaszcza bitcoina, przypomina bańkę spekulacyjną, która może lada chwila pęknąć, o tyle technologia, która za nimi stoi, ma potencjał, by zmienić wiele obszarów związanych np. z rejestrami gruntów i nieruchomości czy z księgami wieczystymi.

„Blockchain jest kojarzony z obrotem kryptowalut, a jest to niestety spojrzenie bardzo płytkie, gdyż pomija całość potencjalnych zastosowań tej technologii" – pisze na łamach „Gazety Bankowej" Emil Ślązak z Instytutu Bankowości SGH. Na liście obszarów, w których blockchain może zostać wykorzystany, umieścił m.in. stworzenie globalnej giełdy papierów wartościowych, wykorzystanie tzw. inteligentnych kontraktów (ang. smart contract) do redukcji ryzyka w obrocie

eprasa.pl 15af488151



gospodarczym poprzez zautomatyzowanie warunków uzgadniania umów bez obecności pośredników (np. akredytywa dokumentowa), bezsprzeczna identyfikacja tożsamości użytkownika pozwalająca na w pełni zdalne zawieranie umów, stworzenie rejestrów praw własności w elektronicznych bazach dokumentacji i zarządzanie nimi w wymiarze prywatnym (np. w grupie kapitałowej) oraz publicznym (system podatkowy, zdrowotny, emerytalny, finanse samorządów, głosowanie powszechne).

Blockchain może przynieść w praktyce bardzo duże oszczędności nie tylko sektorowi finansowemu, lecz i całej gospodarce. Dlaczego? Ponieważ wprowadza mechanizmy, które mogą radykalnie zmienić tradycyjne formy realizowania transakcji. Trzeba jednak pamiętać, że opinie na temat blockchainu są podzielone: niektórzy twierdzą wręcz, że poza anonimowością stron transakcji (co nie jest wcale zawsze pożądane) i poinformowaniem całej (anonimowej) społeczności o transakcji (czy o jej nieodwracalności) nie widać więcej zalet. Można się spotkać z opiniami, że inne kluczowe dla użytkowników rozliczeń cechy, jak szybkość i cena, są już dostępne poprzez systemy płatności natychmiastowych (w Polsce i w UE).

JAK DZIAŁA TRADYCYJNY SYSTEM…

Obecnie obowiązujący system musi zapewnić bezpieczeństwo wszystkim stronom transakcji – niezależnie od tego, czy dotyczy ona obrotu pieniędzmi, czy instrumentami finansowymi – dlatego konieczny jest udział cieszącej się zaufaniem instytucji pośredniczącej. Należą do nich np. banki komercyjne czy izby rozliczeniowe. Pośrednik jest swego rodzaju notariuszem, który uwierzytelnia transakcje i nadaje im moc prawną (a także przechowuje aktualny rejestr danych). Dzięki niemu rozrachunku nie można unieważnić, podważyć ani wycofać się z niego. Rola pośrednika, czyli zaufanej strony trzeciej, jest szczególnie istotna w dzisiejszych czasach, kiedy transfery odbywają się w formie cyfrowej, w postaci plików i często na duże kwoty.

System tradycyjny jest scentralizowany, a jego bezpieczeństwo zależy od tego, jak skutecznie przed atakami hakerskimi jest zabezpieczony rejestr centralny, w którym zapisywane są wszelkie dane. Obecność pośrednika implikuje jeszcze jeden element istotny z punktu widzenia bezpieczeństwa – efektywność obsługi.

Wszystko to sprawia, że system jest drogi, ponieważ strony uczestniczące w rozliczeniach muszą ponosić wysokie koszty transakcyjne wynikające z konieczności korzystania z pośrednika.

…A JAK BLOCKCHAIN

W blockchainie pośrednik nie jest obecny. Technologia jest oparta na rozproszonym rejestrze danych, który udostępnia informacje o transakcjach każdemu użytkownikowi w danej sieci. Model komunikacji nosi nazwę peer to peer (P2P) i jest zbliżony do pierwotnej idei internetu, kiedy wszystkie hosty były równorzędne w procesie wymiany danych (później, gdy nastąpił gwałtowny rozwój internetu, rolę dystrybutorów danych przejęły duże instytucje, które były w stanie utrzymać łącza o wielkiej przepustowości). W porównywaniu z innymi systemami P2P blockchain ma zasadniczą, wyróżniającą go cechę: umożliwia uwierzytelnienie każdej transakcji.

Informacje o transakcjach przechowywane i przekazywane są w następujących po sobie blokach danych, tworzących łańcuch, stąd nazwa blockchain. W każdym bloku znajduje się określona liczba transakcji. Kiedy blok zostaje zapełniony, powstaje następny, potem kolejny i tak dalej. Technologię porównuje się często z ogromną księgą rachunkową służącą do zapisu wszystkich wykonanych transakcji. Cyfrowa księga stopniowo się rozrasta, a kolejne bloki danych są odpowiednikiem jej następnych stron.

W blockchainie pośrednika zastępuje rozproszony rejestr danych, replikowanych pomiędzy użytkownikami danej sieci. Są one uwierzytelniane w tym sensie, że użytkownicy weryfikują dokonujące się w niej zmiany. Dane widziane przez jednego użytkownika są widziane również przez innych. Jakakolwiek nieakceptowana ingerencja jest natychmiast dostrzegana i odrzucana. Blockchain wykorzystuje tzw. uwierzytelnienie silne, czyli algorytm zbliżony do podpisu elektronicznego. Oznacza to, że kontrola nad własnymi danymi i nad własnymi aktywami jest pełna. W tej technologii atak hakerski jest praktycznie niemożliwy, gdyż musiałby z jednej strony objąć zapisy w sieci liczone w milionach, a z drugiej – całą operację przeprowadzić błyskawicznie. Wymaga to gigantycznej mocy procesorów (a także zużycia olbrzymich ilości energii), niedostępnej na obecnym etapie rozwoju technologicznego.

Tyle teoria, a jak jest w praktyce? Eliminacja pośrednika wygląda obiecująco pod względem redukcji kosztów, jednak w rzeczywistości przykładowy bitcoin – choć obywa się bez pośrednika – generuje koszty transakcyjne (jako wynagrodzenie dla stron zatwierdzających operację), co negatywnie wpływa na cenę. Koszty realizacji transakcji również występują w przypadku innych kryptowalut.

Jak w praktyce sprawdzi się blockchain? Pierwsze zastosowania pojawiły się już na Cyprze czy w Estonii. Pracują nad nim banki, również w Polsce. Instytucje finansowe są jednak ostrożne, bo możliwości tej technologii nie są jeszcze do końca znane.

Artur Kliski

NBP i KNF już w lipcu ub.r., czyli jeszcze przed gwałtowną podwyżką ceny bitcoina i późniejszym drastycznym jej spadkiem, ostrzegały we wspólnym komunikacie, że posiadanie kryptowalut wiąże się z wieloma rodzajami ryzyka

eprasa.pl 15af488151



Fot. Shutterstock

Niemcy chcą większej władzy nad mediami

Unia Europejska szykuje nowe przepisy, które mają być kołem ratunkowym dla niemieckich koncernów medialnych, a w szczególności dla firmy Axel Springer, zapewniającym im decydujący wpływ na nową rzeczywistość medialną. Dzieje się to przy pełnym wsparciu europosłów Platformy Obywatelskiej

Projekt nowych przepisów został przedstawiony już pod koniec 2016 r., ale wydawało się, że dzięki przede wszystkim oporowi rządu Polski najgorszych rozwiązań da się uniknąć. Obecnie jednak gra, która ma budować pozycję niemieckich potentatów medialnych, wkracza w fazę decydującą.

Niemcy za wszelką cenę próbują przeprowadzić w Unii Europejskiej tzw. podatek od linków internetowych. W skrócie chodzi o to, że – wedle planowanego prawa – wydawcy dostawaliby pieniądze za linkowanie do ich materiałów, w tym przez portale czy wyszukiwarki. Jeśli forsowane przepisy weszłyby w życie, blokowałyby możliwość linkowania treści bez uzyskania wcześniejszego pozwolenia wydawcy. Powstaje tu wiele pytań, na które Niemcy oraz Komisja Europejska uparcie odmawiają odpowiedzi.

Po pierwsze, jak uzasadnić taką opłatę? Przecież linkowanie do materiału jest korzystne dla autora, ponieważ prowadzi do niego ruch internetowy.

Po drugie, jak to technicznie zorganizować? Miliony pozwoleń między niezliczonymi podmiotami funkcjonującymi w internecie? Przecież to absurd.

Po trzecie, w drastyczny sposób ograniczyłoby to swobodę wolności wypowiedzi i pluralizm mediów. Rodzi to przecież ryzyko wybiórczego udzielania dostępu do wiadomości wedle własnego widzimisię przez wielkich wydawców, a mniejsi i niezależni zostaną tymczasem usunięci z wyników wyszukiwania czy agregatorów, gdyż nie będą w stanie udzielić zgody na linkowanie do swoich zasobów.

W ten sposób budowany będzie monopol informacyjny niemieckich mediów – niezachwiany w ich ojczyźnie, teraz rozszerzany na całą Europę.

Największym beneficjentem byłyby oczywiście wielkie niemieckie korporacje medialne produkujące najwięcej treści internetowej – Axel Springer czy Burda, królująca w prasie kobiecej. Generalnie tego typu potentatom zależy na tym, by użytkownicy nie korzystali z internetowych wyszukiwarek (lub korzystali z nich rzadziej) i od razu wynajdywali treści na portalach należących do nich.

Konsekwencje? Dawałoby im to jeszcze większe wpływy reklamowe i zwiększało medialną przewagę nad

eprasa.pl 15af488151



niezależnymi inicjatywami, które nie mają choćby w części takich środków na promocję. Oczywiście za wszystkim kryją się pieniądze, bo czytelnictwo tradycyjnej prasy spada i Niemcy próbują ratować swoje koncerny, ale jest tu sprawa może jeszcze ważniejsza.

Otóż wprowadzenie takiego prawa w konsekwencji oznaczałoby, np. w Polsce, przechylenie rynku medialnego w stronę lewicowo-liberalną i powrót do stanu debaty publicznej z lat 90., kiedy media konserwatywne były spychane ma margines. Wystarczy tu przypomnieć instrukcje pana Dekana dla podległych mu dziennikarzy Axel Springer.

Wolność i swoboda przepływu informacji w internecie pozwoliły w ostatnich latach zbudować przeciwwagę dla liberalno-lewicowego obiegu, który trzymał w rękach główne telewizje, rozgłośnie radiowe, tygodniki i gazety. Bardzo ciekawe jest to, że próby ograniczania przepływu informacji przychodzą z Zachodu, który sam siebie uważa za ostoję swobody i wolności. Najwyraźniej wolność i swoboda kończą się tam, gdzie zagrożone zostają finansowe interesy niemieckich koncernów medialnych.

Jak to jest z tym nowym prawem? Sprawy idą dwutorowo. W Komisji Europejskiej i Parlamencie Europejskim. Rada ds. Unii Europejskiej ma się zająć regulacją już w tym tygodniu. Parlament Europejski w czerwcu. W obu instytucjach temat prowadzą niemieccy politycy, komisarz Günther Oettinger i europoseł Axel Voss. Obaj z CDU, reprezentujący europarlamentarną frakcję EPP, w której są również politycy PO. Swoją drogą niektórzy z nich, jak choćby Róża Thun czy Tadeusz Zwiefka, są w pierwszym szeregu wprowadzających zmiany korzystne dla niemieckich koncernów.

Z samym Vossem była dość ciekawa sytuacja. Otóż pierwszym sprawozdawcą projektu mówiącego o podatkach od linków była w Parlamencie Europejskim posłanka Comodini Cachia z Malty. Zaproponowała ciekawe kompromisowe rozwiązania, zbieżne ze stanowiskiem polskiego rządu, i nagle została odwołana na Maltę, a kierowanie projektem przekazano w „pewniejsze ręce" Axela Vossa z CDU.

Pod koniec lutego Voss zaproponował przepisy, które ocierają się o Himalaje absurdu. Obok wspomnianego podatku od linków jest też propozycja, by zobligować platformy internetowe do skanowania, przed opublikowaniem, każdej przesyłanej informacji pod kątem potencjalnego naruszenia praw autorskich. Po pierwsze, oznacza to, że portale musiałyby opracować technologię potrzebną do kontrolowania wszystkich treści zamieszczanych przez użytkowników. Po drugie, za każdym razem, gdy będziemy chcieli opublikować coś w internecie, treść ta będzie musiała zostać najpierw zeskanowana pod kątem potencjalnych naruszeń. Od tego jest już pół kroku, albo i mniej, do świata opisanego przez Orwella. Co więcej – portale byłyby też zobligowane do wnoszenia opłat na rzecz wszelkiego rodzaju ZAiKS-ów.

Okazało się też, że „kompromisowe propozycje" nie są wcale przygotowywane przez Vossa ani jego biuro, lecz przez Komisję Europejską, co wyszło po odkryciu metadanych plików wychodzących od niemieckiego polityka. Czy tak wyglądają standardy demokracji i podziału władz w instytucji, której wiceszefem jest Frans Timmermans? Należałoby też go spytać o los analiz ekonomicznych zamówionych przez samą Komisję Europejską za 300 tys. euro (rachunek wystawiony podatnikom), a następnie ukrytych przed społeczeństwem, gdyż wykazały absurd tych propozycji!

> Jeśli forsowane przepisy weszłyby w życie, blokowałaby możliwość linkowania treści bez uzyskania wcześniejszego pozwolenia wydawcy

Sam koncern Springera jest niesłychanie aktywny w lobbowaniu na rzecz korzystnych dla siebie przepisów. Trudno się dziwić. Chodzi o wielką władzę i wielkie pieniądze. Robi to również w Polsce poprzez współpracujące z sobą instytucje, w których pierwsze skrzypce grają ludzie zasłużeni w betonowaniu układu mediów w III RP. To, że udaje im się przekonywać europosłów Platformy Obywatelskiej, to akurat dziwi najmniej. Podchody i zabiegi o wsparcie niemieckiego interesu medialnego trwają też w stosunku do niektórych polityków PiS. Krótkowzroczny, pojedynczy interes jednego lub drugiego posła, mgławicowe obietnice lżejszego potraktowania przez niemieckie media nie powinny tu decydować. Trzeba patrzeć rozważnie i dalej oraz odpowiedzieć sobie na pytania, czy nowe rozwiązania są w interesie Polski, wolności słowa, swobody debaty i w interesie mniejszych wydawców, dzięki którym mamy wolność opinii? Odpowiedzi wydają się tutaj dość oczywiste.

Kajetan Kutnowski

eprasa.pl 15af488151





CEZARY KOWALSKI

Lewandowski ma dość Niemiec

180 mln euro wynosi budżet Realu na przeprowadzenie operacji „Polak w Madrycie”

Robert Lewandowski nie chce już grać dla Bayernu Monachium. Można to wyczytać między wierszami w nielicznych publicznych wypowiedziach, których udziela, ale przede wszystkim to widać. Po jego minach, kiedy strzela gole, albo robi to któryś z kolegów, po rzucającym się w oczy braku entuzjazmu. Cały czas jest świetny, zmierza pewnie po trzeci tytuł króla strzelców Bundesligi (trzy razy był na drugim miejscu), ale coś się wypaliło. Polak ma już dość nie tyle samego klubu, ile ogólnie Niemiec. Chce jak najszybszej przeprowadzki.

W RĘKACH KRÓLA TRANSFERÓW

Według naszych informacji na wyraźne życzenie zawodnika już na początku roku rozpoczęto operację przenosin do Madrytu. Prezes Realu Florentino Pérez delegował do tego celu specjalną grupę, która ma zmusić Bayern do odsprzedania swojego najlepszego zawodnika. Lewandowski, aby mieć pewność, że transakcja dojdzie do skutku, poprzez polskiego pośrednika skontaktował się z Pinim Zahavim, jednym z najbardziej wpływowych menedżerów świata, który wziął sprawy w swoje ręce. Tym samym Robert zerwał współpracę ze swoim dotychczasowym wieloletnim agentem Cezarym Kucharskim i niemal całym personelem zajmującym się jego interesami w Polsce. Nie było z tym żadnego problemu, bo z Kucharskim nie wiązała go żadna formalna umowa.

Zahavi już kilkukrotnie spotkał się z przedstawicielami Realu w Londynie, gdzie urzęduje, i w Madrycie. Miał usłyszeć, że Real na całą operację przeznacza 180 mln euro. Nie jest to oczywiście kwota, jaka trafi do Monachium, trzeba jeszcze odliczyć prowizje menedżerskie, kwotę za podpis kontraktu dla zawodnika i inne koszty. Można zatem przypuszczać, że transfer będzie opiewał na 150 mln euro.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 15af488151

To oczywiście kwota gigantyczna, ale nie rekordowa. Latem ubiegłego roku ten sam Zahavi przeprowadził kontrakt Neymara z Barcelony do Paris Saint-Germain za 222 mln euro, co jest rekordem świata. Tyle że wówczas Izraelczyk przypilnował jedynie, aby właściciel PSG Katarczyk Nasser Al-Khelaifi przelał kwotę odstępnego, którą Neymar miał zapisaną w kontrakcie. Znacznie bardziej skomplikowana była transakcja, którą również pilotował, czyli przejście Kyliana Mbappé z AS Monaco do PSG (ma ona opiewać łącznie na 180 mln euro). Gdyby udało się przeprowadzić i tę Lewandowskiego, 74-letni Zahavi byłby autorem trzech największych transferów w dziejach futbolu.

Real kładzie na stół ogromne pieniądze, ale Chelsea Londyn i PSG oferują za Polaka jeszcze więcej. Robert jednak nie chciał podobno słyszeć o angielskim ani francuskim kierunku. Ostatnio już tak stanowczy nie był. Kładł przede wszystkim nacisk na to, aby koniecznie wyrwać ze swojego obecnego miejsca zatrudnienia.

Machina ruszyła. Rozpoczęła się wojna medialna, coraz nowe wiadomości wypływają w niemieckich gazetach inspirowanych przez Bayern, że za żadne skarby bawarski klub nie puści Polaka do Hiszpanii. „Za każdym razem, kiedy pojawia się informacja o odejściu Roberta, zaglądam sobie w jego kontrakt i widzę, że ważny jest jeszcze przez lata" – kpił sobie Karl-Heinz Rummenigge.

W DRODZE NA SZCZYT

Bayern dla Roberta zrobił się za ciasny, bo zrozumiał, że indywidualnie nie jest w stanie tu zbyt wiele wygrać. Owszem, klub pokonał Sevillę w ćwierćfinale Ligi Mistrzów, ale w ciągu pobytu Polaka w Monachium awansować do półfinału udało się już dwukrotnie i nic więcej. W ubiegłym roku, kiedy Lewandowski podjął decyzję o odejściu, Bayern odpadł już w ćwierćfinale z Realem Madryt. Można zatem zakładać, że Bayern w obecnych czasach ma swój określony limit. Wyżej nie podskoczy. Nasz zawodnik zyskał natomiast świadomość, że jako gracz tego klubu nie wbije się do światowej czołówki w pełnym tego słowa znaczeniu. Świadczą o tym coraz bardziej odległe miejsca w kolejnych prestiżowych plebiscytach.

Oczywiście Lewandowski publicznie bagatelizuje plebiscyt Złotej Piłki czy inne, ale zaczął zdawać sobie sprawę, że w obecnej konfiguracji sprawa indywidualnych nagród ogranicza się do nudnych rozważań, czy pierwszy będzie Leo Messi, czy Cristiano Ronaldo. Wiadomo jednak, że Portugalczyk i Argentyńczyk są od Polaka nieco starsi, zatem pewnie szybciej zejdą ze sceny i jakaś przestrzeń dla Lewandowskiego się stworzy. I dlatego trzeba sobie przygotować pod nią grunt. Istnieje też oczywiście ścieżka, która prowadzi do tych trofeów przez reprezentację. Pewnie inaczej patrzono by na takiego zawodnika, który sięgnie po medal na mundialu albo zostanie królem strzelców imprezy tej rangi, ale... Robert jest raczej realistą.

Dojrzał do tego, że musi zmienić ludzi, którzy się nim opiekują. Bo on będąc tym samym piłkarzem, ugra więcej, zarobi więcej i będzie miał inną pozycję w drużynie narodowej i w klubie, jeśli jego kontrakt wynegocjuje bardziej wpływowa osoba. To może nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością, ale futbol nie jest sprawiedliwy. Tych najlepszych menedżerów, którzy rządzą piłkarskim światem, jest tak naprawdę kilku. I Zahavi się do nich zalicza.

To ostatni moment dla niego, by wejść do wąskiej ligi sportowego i marketingowego kosmosu. Bo dzisiaj wystarczy spojrzeć na liczby, jakie pozyskują wielcy piłkarze z reklam, aby się przekonać, że Robert ma jeszcze dużo do zrobienia, aby wdrapać się na sam szczyt. Jest w tej kwestii bardzo daleko za Cristiano i Messim. W ogóle nie może się z nimi równać. Stawiamy go na tej samej półce piłkarsko, natomiast jeśli chodzi o sprzedaż wizerunku, wpływy z reklam, jest daleko z tyłu.

Niby ma bardzo sprawnie prowadzone profile w mediach społecznościowych w Polsce. Przede wszystkim konto facebookowe i instagramowe. A mimo tego liczba jego followersów plasuje się na poziomie 15. piłkarza Realu, takiego, który nie gra w podstawowym składzie. Ważna jest siła tzw. brandu. Real zna cały świat, Barcę zna cały świat, Bayern zna wielu ludzi, ale to nie jest jednak ta półka. Istnieją po prostu jeszcze wyższe. Takie, które zdominowały też niesamowicie liczny i chłonny rynek azjatycki.

Dlatego potrzebna jest zmiana. Jak przyznał w rozmowie z nami, poczuł, że nie ma już 24 czy 25 lat (ma 30), nie we wszystkich kwestiach trzeba go prowadzić za rękę, zaczął się pewnymi sprawami pozapiłkarskimi interesować i zrozumiał, że samo kopanie piłki na boisku to za mało, aby sięgnąć gwiazd.

WIELKI INTERES

Stąd w tym wszystkim pojawiał się Zahavi. Człowiek, który miał ogromny udział we wprowadzeniu na rynek angielski kapitału Romana Abramowicza, właściciela Chelsea Londyn, który – najdelikatniej mówiąc – nie słynął z tego, że zarobił pierwsze miliony w Rosji dzięki ciężkiej pracy. Co ciekawe, przed laty Zahavi, który chętnie odwiedza Polskę i wspomina o żyjących tu kiedyś swoich przodkach, interesował się już Lewandowskim. Chciał wówczas sprowadzić Roberta z Lecha Poznań do Chelsea Londyn i wypożyczyć go do któregoś z satelickich brytyjskich klubów.

Zakładając, że Robert chciał, aby w Realu ulokował go menedżer z najwyższej półki, wielkiego wyboru nie miał. Stosunki Florenitino Péreza z Portugalczykiem Jorge Mendesem (agent Cristiano Ronaldo) nieco się ostatnio ochłodziły, a Włoch Mino Raiola (agent m.in. Zlatana Ibrahimovicia) słynie z awanturniczego usposobienia. W delikatnych rozmowach z Bayernem dodatkowe napięcia byłyby bardzo niewskazane.

A trzeba wiedzieć, że nie każdy może zrobić dobry interes z wielkim klubem. Istnieje określona liczba agentów i nieformalny podział na stajnie z najlepszymi zawodnikami. Czy komuś to się podoba, czy nie. Jeśli zawodnika do Realu Madryt, Chelsea czy do Paryża przyprowadzi Zahavi, Raiola albo Mendes, to ten sam piłkarz ma inną pozycję, inne możliwości, inne miejsce w hierarchii, inne zarobki, niż gdyby dokonał tego menedżer o mniejszej renomie. Można się na taki stan rzeczy zżymać albo pogodzić się z faktem, że piłka nożna to nie tylko... sportowa gra.

eprasa.pl 15af488151



Fot. Mat. prasowe

JERZY SOBIENIAK **KUCHARZ, RESTAURATOR**

Zaskakujący mediator

Piętnaście ziół (nie tylko tych popularnych i nie zawsze w oczywisty sposób użytych) oraz piętnaścioro opowiadających o nich pasjonatów smaku. Wśród nich nasz gość. W książce „Zioła na talerzu" (Edipresse) przedstawił melisę. Nam pokazał ją w nieco szerszym kontekście. I nie tylko melisę, lecz w ogóle piątkę swoich ulubionych ziół.

Bardzo lubię melisę, choćby z tego powodu, że jest moim totalnym przeciwieństwem (a podobno przeciwieństwa się przyciągają). Kiedy się jednak lepiej przyjrzeć, to mamy też trochę wspólnego: melisa uspokaja (a ja uwielbiam święty spokój), poprawia nastrój (a człowiek zrelaksowany staje się pogodny i szczęśliwy, czyli taki jak ja) i potrafi zaskoczyć.

Po drodze jej ze słodkimi aromatami, np. palonego cukru, miodu i musującego wina, ale i z zielonym groszkiem, kozimi serami czy owocami morza. Dobrze czuje się z pomarańczą i cytryną, truskawkami, malinami i arbuzem, a także z herbatą, czekoladą i piernikiem. Biorąc pod uwagę świeżość, jakiej dodaje potrawie, znakomicie łączy się z drobiem, jagnięciną i białymi rybami. Dzięki niej możemy przygotować coś lekkiego. W sam raz na wiosnę i lato.

Melisa to również doskonałe uzupełnienie ziemistych zapachów, np. rozmarynu, czarnego pieprzu czy korzenia pietruszki (pomyślmy i o lubczyku). Polska kuchnia jest ziemista, melisa odzwierciedla jej lżejszą stronę, bliższą południowym smakom. Jest znakomitym „mediatorem" między kulinarnymi tradycjami, także orientalnymi.

Bardzo lubię flaczki z kurczaka (mama często je robiła). Standardowo przygotowuje się je z majerankiem, czosnkiem, czyli przyprawami tradycyjnymi dla naszej kuchni, ale wyobraźmy sobie, że zamiast majeranku dodajemy na koniec sporą ilość melisy. I nagle wszystko się odmienia.

Ważne, żebyśmy sięgnęli po melisę na finał – duszenia potrawy lub też jako dopełnienie podawanego właśnie ciepłego dania – by uwolniły się jej aromaty. To bardzo delikatne zioło niosące w sobie smakową niespodziankę. Mnie wciąż zaskakuje: biorę listek, który pachnie jak cytryna.

Gdybym miał wybrać wielką piątkę ziół, zaraz za melisą znalazłaby się kolendra. Łączy w sobie nuty cytrusów i pieprzu, ożywia danie, przynosząc za każdym razem efekt „wow". Kolendra też jest delikatnym ziołem, więc sięgamy po nią na koniec, ale jeśli damy jej 15 min z pomidorami, potrafi niewiarygodnie wzbogacić ich smak. Przy czym o ile melisy możemy dodać więcej, z kolendrą trzeba uważać. Jest mocno „perfumowana".

Kolejna w moim zestawie jest bazylia. W całej swojej rozpiętości: od szerokolistnej Genovese, przez czerwoną, grecką, po tajską, która jest tak nieoczywista, a ma aromat, który rozbija wszystko. Czwarty na ziołowej liście jest rozmaryn. Jak melisa ma cytrusowe elementy, ale też pieprz w tle. I na finał: majeranek. Nie wyobrażam sobie bez niego najbliższej mi, polskiej kuchni.

Notowała ***Jolanta*** *Gajda-Zadworna*

Duszone kurczę

w porach z morelami i melisą na purée z wanilią i czarnym pieprzem

Składniki: 400 g udźców z kurczaka, dwa serca z porów, 50 g masła, 50 g suszonych moreli, jedna doniczka melisy, łyżka miodu akacjowego, 400 g ziemniaków odmiany wineta, lord albo irga, jedna laska wanilii, pół łyżeczki świeżo mielonego pieprzu, sól, pieprz zielony do smaku.

Wykonanie: Serca porów delikatnie nacinamy z jednej strony do środka i myjemy pod zimną wodą. Gotowe pory kroimy w trzycentymetrowe plastry, układamy na patelni teflonowej, a w środek wkładamy masło, solimy delikatnie pieprzymy. Dodajemy pokrojone w ćwiartki suszone morele i nagrzewamy od zimnej do ciepłej patelni tak, aby morele i por powoli dostawały temperatury, a masło się rozpuściło. Duszące się pory przykrywamy pokrywką. W międzyczasie udźce z kurczaka trybujemy z kości, zdejmujemy skórę i kroimy w kostkę o grubości 2,5 × 2,5 cm, solimy, dodajemy zielony pieprz mielony. Całość macerujemy 2 min. Przygotowanego kurczaka wkładamy między pory. Całość dusimy pod przykryciem 15 min. Na koniec siekamy jednokrotnie drobno melisę i dodajemy do potrawy. Wszystko dokładnie mieszamy, zdejmujemy z ognia i zostawiamy pod przykryciem. Ziemniaki gotujemy w osolonym wrzątku do miękkości, następnie odparowujemy i zostawiamy pół szklanki wody z gotowania się ziemniaków. Do tej wody dodajemy otartą laską wanilii, sól oraz świeżo mielony pieprz. Całość zagotowujemy, dodajemy do ziemniaków i tłuczemy na gładką masę. Gotowe purée podajemy razem z duszonym kurczakiem, dekorujemy listkami melisy.

eprasa.pl 15af488151

Obiad w butelce



ANNA MONICKA

W tym całym zdrowym odżywianiu chodzi o to, żeby mieć z jedzenia przyjemność, żeby jedzeniem dbać o siebie" – pisze dietetyczka i psycholożka Agata Ziemnicka we wstępie do swojej najnowszej książki „Soki i koktajle w minutę". I pokazuje – a widziałam ją w akcji na żywo – że rzeczywiście w kilka chwil – bo trzeba przecież warzywa i owoce umyć i obrać – z tego, co mamy akurat w domu, można ukręcić w kuchni pyszny i pełen witamin posiłek. Zamiast tradycyjnego śniadania, obiadu czy kolacji. Trzymamy się tylko zasady, że do blendera wrzucamy więcej warzyw niż owoców. Idealne proporcje to 90:10 proc., bo warzywa mają znacznie mniej cukru, a tego jest za dużo niemal w każdym sklepowym napoju. Pamiętajcie też, że normalnie nie zjedlibyście trzech jabłek naraz, ale zblendowane jak najbardziej, bo zamieniają się w płyn.

Na początek jednak proporcje mogą być odwrotne. Ważne, żeby w ogóle wystartować z codziennym miksowaniem. Koniecznie trzeba dodawać do każdego soku zielone liście, najlepiej młode – kolendrę, pietruszkę, jarmuż, szpinak, buraczki, miętę. Mają mnóstwo witamin. Młody mniszek lekarski czy szczyty pokrzyw także – działają oczyszczająco. I zadbać o dobre połączenia – jak chcecie podnieść sobie poziom żelaza, to dodajecie do mieszanki witaminę C, jak magnezu – to witaminę B6. Innymi słowy: wrzucacie pomarańczę, dodajcie natkę, a do banana kilka orzechów laskowych. Do owoców zawierających witaminy rozpuszczalne w tłuszczach – parę kropli oleju lnianego, który nie będzie wyczuwalny, a poprawi przyswajanie witaminy A.

Żeby przeprowadzić owocowo-warzywną rewolucję, przyda wam się blender, najlepiej duży kielichowy, z dobrymi nożami, które posiekają nawet orzechy czy lód. A więc do dzieła. Agata Ziemnicka przygotowała ponad setkę wielokolorowych przepisów na różne okazje – trawienie, odporność, odchudzanie, płodność – zachęcając przy okazji do eksperymentów.

Dam wam więc mój przepis. Jest zielony, bo taką mam teraz potrzebę. Szczerze wierzę, że trzyma mnie przy życiu. Miksuję kawałek miodowego melona, zielony ogórek bio, trzy gałązki selera naciowego, jabłko, kawałek awokado, trochę natki pietruszki. Zalewam to sokiem z wyciśniętych w domu pomarańczy i limonki, dosypuję odrobinę chilli i imbiru. Do tego kilka kropli oleju lnianego i parę płatków migdałów. Miksuję. Obiad do pracy jak się patrzy.

Fot. Shutterstock

Zakochać się warto

ROBERT MAZUREK

No więc znów pora na sherry. Do picia win z Andaluzji próbuję państwa zachęcić od dawna, wiedząc jednak, że to trudna sprawa. Wzmacniane, drożdżowo-orzechowo-cytrusowe – to smak, który się kocha lub nienawidzi. Może miłość to trudna, nie ta od pierwszego wejrzenia, ale zakochać się warto.

Sherry kojarzy się z czymś słodkim, prawda? To przez Anglików, którzy to wino odkryli (puszczając z dymem cały Kadyks, wzięli sobie kilkaset beczułek). Jeszcze jedno łączy sherry z Anglikami. Otóż podział sherry jest równie prosty, co reguły gry w krykieta, czyli niemożliwy do opanowania przez cudzoziemców. Od nazw w głowie może się zakręcić. Jest ich kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt. Pewną prostą regułę podał mi hiszpański specjalista od sherry. Otóż w dużym uproszczeniu można przyjąć, że jeżeli wino ma nazwę hiszpańską (fino, manzanilla, amontillado, oloroso etc.), to zazwyczaj jest wytrawne, te z nazwami angielskimi (cream, medium dry etc.) zwykle są słodkie. Oczywiście nie dotyczy to pedro ximenez, bo PX to jedno z najsłodszych win świata, zbliżone do tokajskiej aszu eszencii.

Ale zostawmy słodkości. Tę degustację zacznijmy od oldskulowego – jak to określa producent – fino Inocente, z ładnym, złożonym bukietem. Świeże wino w południe andaluzyjskiego upalnego dnia raczej zabije, ale to się, drodzy państwo, pije nocą, wtedy ożywia. A może Wujek Diego? To piękne, bursztynowe wino ma już lekkie nuty karmelowe, tostowe, trochę orzechów. Tak, zaraz po moim wujku Marianie to mój ulubiony wujek i jak dla mniej najlepsze z tej trójki sherry. No i jeszcze ni pies, ni wydra, czyli Contrabandista. Medium dry (po angielsku, więc jest cukier, lekko wyczuwalny) jest już brązowe, orzechowo-ciasteczkowe. Nie szukałbym do tego potraw ani innych usprawiedliwień, tylko po prostu się napił.



robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl 15af488151

Niepokojące cienie snajperów

PIOTR SKWIECIŃSKI

Waham się, jakimi słowami określić tych, którzy przed rocznicą powstania w warszawskim getcie wzywali do zbojkotowania oficjalnych uroczystości. Waham się trochę dlatego, że można ten fenomen zanalizować pod różnymi kątami widzenia. Ale także dlatego, że przychodzą do głowy określenia średnio nadające się do druku. Spróbuję ich uniknąć, choć będzie to dla mnie emocjonalnie trudne.

Uderza przede wszystkim hipokryzja nawołujących do bojkotu i udziału w obchodach alternatywnych. Bo powoływali się oni na obowiązujące w czasie uroczystości oficjalnych obostrzenia (barierki, policja, BOR, a także „wzbudzające niepokój cienie snajperów na dachach" – nie, tego ostatniego sam nie wymyśliłem, ktoś z nich naprawdę tak napisał). Wszystko fajnie, tylko że taki format obchodów obowiązuje od paru już lat i został wprowadzony za rządów PO. Jakoś nie słyszałem, żeby wtedy czy w międzyczasie ktoś z obecnie rzucających się Rejtanem protestował. A teraz kreowano atmosferę, jakby to wszystko było absurdalnym (może wynikającym z manii wielkości, może z wrodzonej skłonności do autorytaryzmu, a to, że podszytym wtórnym – czyli bezobjawowym – antysemityzmem, to już przecież oczywiste, o tym się w dobrym towarzystwie nawet nie dyskutuje) wymysłem PiS.



Oczywistym celem nawołujących do bojkotu rocznicy powstania w getcie było zaostrzenie polsko-żydowskiego konfliktu pamięci i wpisanie go w wewnątrzpolską wojnę polityczną

Tymczasem obecnie rządzącym można by co najwyżej zarzucić, że nie skorygowali decyzji poprzedników o zmianie poprzedniej, skromniejszej formy obchodów na bardziej państwową, bardziej uroczystą, i tę formułę ciągną. Ale przecież gdyby PiS ją zmieniło, to jasne, że okazałoby się, że zrobiło to po to, żeby umniejszyć rangę rocznicy. Z przyczyn rzecz jasna antysemickich, to oczywiste, tego nawet dowodzić nie trzeba, przecież „To pijak! I złodziej! Bo każdy pijak to złodziej!". Mówiliby tak, pewien jestem, ci sami dokładnie ludzie, którzy wiosną 2018 r. protestowali przeciw barierkom.

Równie groteskowe i w oczywisty sposób pretekstowe są inne elementy argumentacji podnoszonej przez zwolenników bojkotu. Na przykład „straszna zbrodnia", jaką według nich była zmiana nazw kilku warszawskich ulic, upamiętniających dotąd poległych lub zamordowanych przez Niemców żydowskich komunistów. Nowi patroni – to też Żydzi, też walczący z hitlerowcami. Polska władza zachowała się tu bardzo delikatnie, starała się uszanować wrażliwość partnerów. Ale partnerzy, czy przynajmniej ich część, odrzucają ten gest, tak jak odrzucają wszystko, co pochodzi z prawicowej strony politycznej bariery. I nie chcą uznać oczywistego faktu – że sama śmierć z ręki Niemców nie wystarczy, by uznać kogoś za uprawnionego do zajmowania miejsca w polskiej narodowej pamięci, do bycia czczonym.

I to jest jedna strona medalu. A druga: obóz rządzący ze wszystkich sił próbuje wyjść z pata, w jakim – z przyczyn leżących po obu stronach – znalazły się relacje polsko-żydowskie i polsko-izraelskie. Wydawałoby się, że tym, którym na sercu leży pamięć o historii polskich Żydów i skomplikowanych relacji, jakie łączyły ich z etnicznymi Polakami, powinno zależeć na tym, aby z tego pata wyjść. Tymczasem osobom nawołującym do zbojkotowania państwowych obchodów najwyraźniej wcale na tym nie zależy. Odwrotnie – oczywistym efektem udanego bojkotu byłby skandal, jeszcze dalej idące okopanie się obu stron na swoich pozycjach i zwiększenie nastrojów konfrontacyjnych. A gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą... na ołtarzu wojny z PiS i radykalizacji konfliktu politycznego można przecież poświęcić wszystko, w tym perspektywę załagodzenia polsko-żydowskiego konfliktu pamięci. A niech on się pogłębi, Kaczorowi na złość.

To ma jeszcze jeden, uderzający aspekt. Głównym państwowym organizatorem tegorocznych uroczystości jest bowiem urząd prezydenta. Czyli ten ośrodek państwa (i ten element rządzącego obozu), który w ramach tegoż konglomeratu najbardziej zaangażował się w próby rozbrojenia tego konfliktu. Mądrzy ludzie chcą wyprowadzić dialog polsko-żydowski z wewnątrzpolskiej wojny. Ona może przecież gorzeć sobie na wielu innych polach, jest ich niestety pod dostatkiem. Ale inni bardzo tego nie chcą. Uderzenie w prezydenta można w tym kontekście czytać jako próbę wysłania pod adresem jego i całej rządzącej Polską formacji komunikatu pt. „Umiar i dobra wola się politycznie nie opłacają".

Można uznać to wszystko, po prostu, za brak rozsądku. Ale łatwiej niestety zrozumieć to inaczej. Jako przejaw cynicznego zaostrzania sporu. Za wszelką cenę. Za absolutnie wszelką cenę.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 15af488151

Szykuje się koniec folwarcznego liberalizmu

Do wyborów prezydenckich w Polsce są jeszcze trzy lata, ale już dziś media zamawiają w sondażowniach badania na temat popularności ich kandydatów. Ich, bo przecież tylko w głowach redaktorów podupadających papierowych środków przekazu mogą się lęgnąć pomysły na kandydatów w osobie geja, prezydenta Słupska, Roberta Biedronia i plasowania go na trzecim miejscu, za Dudą i Tuskiem. Oto dane: Andrzej Duda – 36 proc., Donald Tusk – 26 proc., Robert Biedroń – 19 proc. Biedroń jest jednak realistą i ma świadomość, że w kraju katolickim ruch tęczowy skupiający „kochających inaczej" LGBTQ (ostatnio wzbogacony o literę A oznaczającą osoby aseksualne) cieszy się poparciem 1–3 proc. obywateli, i nie zamierza się wygłupiać. Woli zostać posłem do Parlamentu Europejskiego. I tu ma szansę, bo będą na niego głosować KOD-y itp. tylko dlatego, aby zrobić na złość PiS. Ten sondaż, przeprowadzony dla „Super Expressu", jest tak samo rozrywkowy oraz sensacyjny jak ta gazeta.



Dużo poważniejsza jest próba storpedowania dobrze zapowiadającego się porozumienia rządu z Komisją Europejską w sprawie nieszczęsnego art. 7. Do akcji przystąpił przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk, który wykorzystał sprawę aresztowania sekretarza generalnego PO Stanisława Gawłowskiego podejrzanego o korupcję i opowiada w kuluarach, że on i jego syn Michał też znajdą się za kratkami, w ramach „politycznej czystki" w szeregach opozycji.

To nie wszystko, bo ambasadorowie dziewięciu krajów UE zwrócili się do wiceprzewodniczącego KE Fransa Timmermansa z apelem, by utrzymał presję na Polskę i na razie nie wycofywał art. 7. Należy dodać, że te kraje to płatnicy netto i zależy im na osłabieniu pozycji naszego kraju w negocjacjach budżetowych. Podstawili nam zatem nogę właśnie w chwili, kiedy Senat przyjął zmiany w ustawie o sądownictwie, które wychodzą naprzeciw oczekiwaniom Komisji Europejskiej. Czyli zarówno Tusk, jak i wierchuszka Platformy Obywatelskiej, wyczerpawszy ulicę, po raz kolejny liczą na zagranicę, a konkretnie na brukselskie elity.

Czy im się uda zablokowanie kompromisu oczekiwanego i w Brukseli, i w Warszawie, dowiemy się wkrótce. Ostentacja Tuska, który zamierza powrócić do polskiego życia politycznego po zakończeniu urzędowania w UE, może poważnie zaszkodzić stosunkom na linii Warszawa-Bruksela, ale może też poważnie zaszkodzić samemu Tuskowi, gdyż w każdej plotce jest ziarno prawdy, także w tej krążącej w Brukseli o zamieszaniu syna Donalda Tuska w aferę Amber Gold. Skoro Tusk boi się aresztowania, to coś musi być na rzeczy, zwłaszcza że rozmiary korupcji za rządów PO-PSL są znane w krajach unijnych, bo te także zmagają się z chorobą lewicowego liberalizmu, który wspierając wolny rynek, wspiera rynek samowolny, czyli kryminalny, czego dowodem są unikanie opodatkowania i tzw. luki w systemie VAT.

Polska poradziła sobie z tym problemem, dzięki czemu zwroty podatku mogą być wykorzystane w kolejnych reformach prospołecznych, które zapowiedział premier Morawiecki. Dzięki uszczelnianiu systemu do kasy państwa wpływają miliardy złotych, z korzyścią dla gospodarki, finansów kraju i kieszeni obywateli. Jedna z najważniejszych międzynarodowych organizacji gospodarczych OECD, skupiająca 34 wysoko rozwinięte państwa, bardzo dobrze oceniła ostatnio uszczelnianie luki VAT w Polsce, używając superlatywów w rodzaju „successful" i „impressive". Członków tej organizacji, do której Polska należy od 1996 r., łączy akceptacja zasad demokracji, pluralizmu politycznego, poszanowania praw człowieka, swobód obywatelskich i gospodarki rynkowej. Nic zatem dziwnego, że prężnie rozwijająca się polska gospodarka i skuteczna walka z korupcją są solą w oku niektórych państw UE, zwłaszcza tych, które bronią lewicowego liberalizmu jak niepodległości, w czym przeszkadzają kraje o profilu konserwatywnym, jako że ich sukcesy to porażka ideologii tzw. społeczeństwa otwartego. Otwartego na nadużycia i samowolę wielkich korporacji, które dążą do przejęcia władzy w świecie zachodnim, także, a właściwie przede wszystkim, władzy politycznej. Nie ukrywają, że kto ma pieniądze, ten ma władzę.

Szykuje się koniec epoki folwarcznego liberalizmu, gdyż nie da się przejąć władzy politycznej bez poparcia obywateli. To konieczne, jeśli Soros i jego ludzie chcą zachować choćby pozory demokracji. A narody już się do niej przyzwyczaiły i coraz głośniej domagają się respektowania jej zasad.

eprasa.pl 15af488151

Świętość i laicyzm



V Republika żegnała Arnauda Beltrame'a z najwyższymi honorami. Pogrzeb państwowy z udziałem wojska i prezydenta to najbardziej uroczysta forma pogrzebu, jaką Francja może uhonorować zmarłego obywatela. Za swój bohaterski czyn Beltrame został pośmiertnie odznaczony Legią Honorową i awansowany do stopnia pułkownika. Kondukt wyruszył spod Panteonu. Eskorta konnej Gwardii Honorowej towarzyszyła trumnie okrytej flagą narodową. Główna część uroczystości, w tym wystąpienie prezydenta, który podkreślał odwagę i poświęcenie zamordowanego policjanta, odbyła się na dziedzińcu Pałacu Inwalidów, miejscu integralnie sprzęgniętym z pamięcią heroicznej Francji. Oto majestat państwa w działaniu. Oddając cześć swojemu bohaterowi, Republika potwierdza istnienie i powagę ładu, za który Beltrame zapłacił najwyższą cenę. Pięknie i dostojnie. Skąd zatem uczucie, że coś się nie zgadza? Skąd ten zgrzyt?

Choć Beltrame, który oddał życie za zakładnika islamskiego terrorysty, był oficerem francuskiej policji, to wszystko wskazuje na to, że jego decyzja miała źródło w porządku, który z laicką Republiką nie ma nic wspólnego – więcej – jest przez nią egzorcyzmowany. Chodzi o chrześcijańską ofiarę. Pułkownik Beltrame stanowi chlubę francuskiego Kościoła. Czy jego postawa może być dumą laickiego państwa? Wątpię. Beltrame, katolicki konwertyta, który, jak wiemy od jego bliskich, służbę w policji traktował jako drogę do świętości, „oddał życie za przyjaciół swoich". Nie ma tu żadnej niespójności. Nic nie zgrzyta. Przez służbę Bogu i bliźniemu chrześcijanin może uświęcać się również w świecie obcym czy wrogim chrześcijaństwu. Fałsz się pojawia, kiedy tę postawę spróbujemy przedstawić jako przykład cnoty laickiego państwa. Nie pomogą kaski kirasjerów ani nawet stojący na baczność prezydent. W optyce Republiki istotne motywy działania terrorysty i bohatera należą do tej samej kategorii – do zbioru nieodróżnialnych od siebie motywów religijnych. Gdyby Macron chciał być brutalnie wierny obowiązującej logice francuskiego porządku politycznego, to powinien powiedzieć, że te same irracjonalne motywy przesądziły o działaniach mordercy i bohatera. No, ale taka bzdura nie przejdzie przez gardło nikomu. Nawet we Francji.

Nikt nie chce nazwać rzeczy po imieniu. A przecież nie chodzi tu tylko o przesądy oświeconego rozumu ani nawet o wielki problem konfliktu z islamem. Idzie o strach przed konfrontacją z problemem aksjologicznych fundamentów, które okazują się zbyt słabe do uniesienia wspólnoty przeżywającej wielki kryzys. Jeszcze egzystencjaliści zmagali się z kwestią ateistycznego heroizmu czy „ateistycznej świętości". Zawsze wydawało mi się to niezbyt przekonujące i chyba nie tylko mnie. Nie mówię, że taka postawa jest niemożliwa. Czy nadaje się jednak na ideał wspólnoty politycznej?

Bo dlaczego właściwie ateista i liberał miałby oddawać za coś życie? Jeśli sensem wspólnoty politycznej jest harmonizacja egoizmów, to można zrozumieć konieczność samoograniczenia czy odroczenia korzyści – ale śmierć jest ceną niedorzeczną. Liberalny egoizm wyklucza istnienie stawki cenniejszej niż życie. W rzeczywistości transakcyjnej kategorię ofiary czy poświęcenia zastępuje pojęcie ryzyka. Policjant, strażak, żołnierz nie ofiarowują życia jakiejś wyższej od własnego istnienia sprawie, ale ryzykują. To zupełnie inny porządek. Śmierć staje się stawką w dobrowolnej grze. Jeden lubi ryzyko, inny podejmie je dla zysku, ale o obowiązku, służbie i ofierze nie może być mowy.

Wspólnota przyjemności – skuteczna w dzieleniu korzyści – okazuje się niezdolna do radzenia sobie z zagrożeniem, które wymaga ofiary, bo ofiara jest nieracjonalna. Przed laty uderzyło mnie, że po tragedii Twin Towers liczba chętnych do służby w nowojorskiej straży pożarnej zmalała. Stało się tak, mimo iż strażacy byli w owym czasie narodowymi bohaterami USA. Nie ma chętnych na bohaterów.

Sądząc z niedawnego wystąpienia Emmanuela Macrona w paryskim Kolegium Bernardynów, prezydent dobrze rozumie powagę obecnego kryzysu. Choć przemawiając przed przedstawicielami katolickiej Francji, już na początku nawiązał do śmierci pułkownika, mówiąc o religijnej inspiracji jego czynu, to przecież odwrotu od demolującego państwo laicyzmu spodziewać się nie należy. Owszem „w tym momencie wielkiej niestabilności społecznej, gdy zagrożona rozdarciem jest sama istota narodu" zaangażowanie katolików w politykę może się okazać pożyteczne, a nawet inspirujące. W Kolegium odebranym cystersom w czasach rewolucji, które jeszcze w połowie lat 90. było strażacką remizą, słychać było wyraźną zmianę tonu, lecz o wielkim zwrocie nie ma mowy. Na swoich nieoczekiwanych sojuszników Republika patrzy nieco życzliwszym okiem. Ale na tym koniec. Państwo nie wycofa się przecież z polityki represji wobec obrońców życia. Tak represji! We Francji za nakłanianie do rezygnacji z aborcji grożą drakońskie grzywny i więzienie. Dlatego wątpię, by ktoś rozważał związek między przekonaniem, że życie od poczęcia jest święte, a postawą policjanta, który dobrowolnie oddaje się w ręce terrorysty w zamian za jedną z zakładniczek. Tym bardziej wątpię, by ktoś wyciągnął z tego wnioski.

W tej sprawie nie jestem optymistą. Laicyzm jest śmiertelną chorobą politycznego rozumu. To rodzaj nieodwracalnej autoagresji.

Dariusz Karłowicz

7/0418/F

eprasa.pl 15af488151

Najważniejsze wydarzenie dotyczące przyszłości cyfrowej gospodarki dla biznesu, startupów, nauki i administracji.

impact '18

SPEAKERZY



Sophia



David Rowan



Mateusz Morawiecki



Peter Carlsson



Jarosław Gowin



Reimund Neugebauer



Teresa Czerwińska



Michał Kosiński



Marieme Jamme



Kamil Kamiński

13/14 czerwca 2018
Kraków

Zarejestruj się już dziś!
więcej informacji na stronie

www.impactCEE.com

eprasa.pl 15af488151

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Media rządowe? OK



Wszystko wskazuje na to, że media publiczne, czyli TVP wraz z 16 oddziałami regionalnymi oraz Polskie Radio ze swoimi 24 regionalnymi rozgłośniami, będą w przyszłości finansowane przez państwo. Bo tak to jest obecnie robione. Poprzez wprowadzenie ustawy o mediach narodowych (włączono do nich PAP) podkreślono szczególny dla polskiej kultury narodowej charakter tych mediów, zwanych od lat mediami publicznymi, a będących w rzeczywistości spółkami prawa handlowego, w których skarb państwa zachował dominującą rolę jedynego właściciela. Przez lata rządów PO-PSL istniały poważne obawy, że w szaleństwie złodziejskiej wyprzedaży majątku narodowego łupem cwaniaków padną także media publiczne. Przymiarki do sprywatyzowania II Programu TVP były już widoczne za rządów SLD. Uzasadnienia nie trzeba było szukać. Przez całe lata spółki te, mając do wykonania obowiązki nałożone przez ustawę o radiofonii i telewizji, nie dawały sobie finansowo rady na rynku mediów utrzymywanych z reklamowych wpływów. Przy stale malejących wpływach z abonamentu zostały zmuszone do zwiększania sprzedaży czasu antenowego. W ten sposób zatracały swój misyjny charakter, upodobniły się do mediów komercyjnych, w końcu zaczęły przegrywać z nimi walkę o odbiorców. Rządowe decyzje o dofinansowaniu najpierw TVP 800 mln zł i Funduszu Reprywatyzacyjnego, potem wszystkich mediów publicznych 980 mln rekompensaty za utratę przychodów z tytułu zwolnień z opłat abonamentowych zatrzymały proces destrukcji. Równocześnie ucichła dyskusja na temat reformy finansowania mediów publicznych w celu zapewnienia im wpływów z tytułu powszechnie zbieranego abonamentu. Nie słychać już propozycji łączenia opłat abonamentowych z jakimś skutecznym systemem fiskalnym. A skoro tak, to ideę mediów publicznych, do której byłem tak silnie przywiązany przez ostatnie 30 lat, trzeba odłożyć ad acta, aby otwarcie stwierdzić, że media narodowe stają się mediami finansowanymi przez skarb państwa w oparciu o rządowe decyzje. Nie będzie można już twierdzić, co było wielkim atutem tych mediów, że właścicielem mediów publicznych w Polsce nie jest rząd, władza, ale są wszyscy obywatele płacący abonament. Oczywiście była to tylko idea, gdyż w praktyce każda władza zapewniała sobie wpływ na media publiczne. Niech zatem media narodowe będą finansowane przez rząd i to on będzie odpowiedzialny za ich kondycję oraz politykę personalną. Nie zmienia się przecież konstytucyjne upolitycznienie składu KRRiT ani Rady Mediów Narodowych. Można więc stwierdzić, że media publiczne w Polsce, zwane narodowymi, stają się mediami rządowymi finansowanymi przez skarb państwa, a więc tylko pośrednio przez obywateli płacących państwu podatki.

Ale media rządowe (publiczna telewizja i radio oraz PAP) to zaledwie przyczółek państwa polskiego na rozległym rynku mediów w Polsce. Zbyt mały do zmiany struktury własnościowej i ideowej często antypolskiego oblicza mediów zdominowanych przez zagraniczny kapitał. Na przykład polski rynek telewizyjny to zaledwie 30 proc., reszta to nadawcy zagraniczni. Rynek radiowy odwrotnie. 70 proc. pozostaje własnością polskich firm, ale dominuje na nim tylko sześciu największych właścicieli. Rynek prasowy to bezwzględna dominacja kapitału zagranicznego, głównie niemieckiego. O ile kapitał polski przeważa w dziennikach, o tyle zagraniczny w prasie kolorowej, specjalistycznej oraz adresowanej do dzieci i młodzieży.

Jest jednak „mały" problem: co się stanie, jeśli obecna władza, dzięki której dopiero od dwóch lat mógł się pojawić stopniowy pluralizm mediów w Polsce, będzie musiała odejść, a w jej miejsce pojawi się obecna opozycja lub jakaś inna, ideowo do niej zbliżona? Otóż cały ten proces budowy mediów narodowych zostanie zakończony, a niewykluczone, że tak odwrócony, iż społeczeństwo obudzi się w skrajnie różnej rzeczywistości. Finansowanie mediów narodowych poprzez budżet ma wartość, o ile władza reprezentuje narodowy, społeczny interes, którego źródłem jest polska racja stanu. Już teraz opozycja stawia publiczne pytanie, czy finansowanie mediów narodowych z kasy państwa jest tym, co UE nazywa „pomocą publiczną". Autor komentarza do ustawy o radiofonii i telewizji prof. Stanisław Piątek uważa, że tak. A skoro tak, to wymagana jest zgoda UE. Dla opozycji byłoby najlepiej, aby każda decyzja rządu wymagała zgody Unii. Tak jednak nie będzie. Ani KRRiT, ani Rada Mediów Narodowych nie dysponuje budżetem zdolnym finansować media publiczne. Może to zrobić tylko rząd i jest to wewnętrzna polska sprawa.

Taką „polską sprawą", którą tylko ten rząd może wyprostować, jest doprowadzenie nie tyle do repolonizacji mediów, ile do ich dekoncentracji. Jak wynika z badań Centrum Monitoringu i Wolności Prasy SDP, koncentracja taka może być pionowa, gdy jedna firma ma różne rodzaje mediów, i pozioma, gdy jeden właściciel monopolizuje dużą liczbę kanałów informacyjnych w obrębie jednego medium. Państwo może zapobiegać takiej koncentracji. Odnoszę wrażenie, że tego nie robi. Na co czeka?

eprasa.pl 15af488151

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Studnia i wahadło



Witold Gadowski

Polska polityka znajduje się dziś w nieznanej celi, na dodatek sama wlazła tam, gdzie jest. Polska nie może się zmienić, bo inaczej roztopi się w tej celi jak wszystko inne... w tym pomieszczeniu, poza dwoma przedmiotami: studnią i wahadłem.

Myśl polska przeżywa chwile przerażenia i bezradności. Jest jednak napełniona pewnym niegasnącym żywiołem, który każe walczyć o przetrwanie. Wyswobadza się z więzów, traci przytomność, budzi się w jeszcze gorszej sytuacji i... znów wychodzi z tarapatów.

Coś państwu to przypomina? Nie ukrywam, że wiąże państwa skojarzenia z pewnym opowiadaniem. Rzecz działa się w Toledo i była opowieścią narratora uwięzionego – przez mityczną inkwizycję – w celi. Stary, niezbyt poczciwy Edgar Alan Poe stworzył opowieść, która do dziś robi wrażenie na każdym, kto się jej dotknie. Dla nas ważne są dwa wyjęte z opowieści rekwizyty: wiszące u sufitu i nieustannie obniżające swój tor – ostre jak nieszczęście – wahadło, które ma z przywiązanego do pryczy więźnia wypruć wnętrzności, oraz na środku studnia ziejąca celi przerażającą czeluścią.

Zdałem sobie sprawę z tego, że żyjemy w ciasnym pokoju, z zawieszonym nad naszymi głowami wahadłem, które ciągle obniża swój lot.

To wahadło... między Mazowieckim i Wałęsą, między Porozumieniem Centrum i Unią Wolności, między PiS a PO. Wahadło zamontowane przy okrągłym stole?! Tnie wszystko, co znajdzie się na torze jego morderczego przelotu. Tnie powietrze z propagandowym świstem. Przelatuje nad naszymi głowami, a sama czynność morderczego przedmiotu angażuje nas bez reszty. Po pewnym czasie, trochę po omacku, zorientowaliśmy się, że w pomieszczeniu jest jeszcze bezdennie rozwarta studnia. Co się w niej mieści? Wszystko to, co wiąże się z upadkiem, rezygnacją i zaniechaniem starania się o polskość. Wszystko, co pozbawia nas polskiej klasy i rasy, polskiego etosu. Z tej studni dopiero się wygramoliliśmy... pokancerowani i chorzy. Przez ponad 50 lat spadaliśmy w czerń PRL, wielu już zwątpiło, że kiedykolwiek uda się nam z niej wydostać. W pomieszczeniu panuje ciemność, bo ciągle nie nauczyliśmy się zajmować realnym światem. Wcale nie jest strasznie, nasze życie biegnie niezależnie od budzących grozę akcesoriów i często przybiera barwy obyczajowej komedii.

Bardziej frapujące jest działanie samego wahadła. Wahadło nas szantażuje, sprawia wrażenie, jakby nic poza nim nie istniało. Jego dynamiczny ruch sprawia, że nie jesteśmy w stanie się zastanowić, czy ruch przedmiotu cokolwiek zmienia w naszym życiu. Wahadło w końcu wypruje nam trzewia.

Kultura+



Lech Makowiecki

Pięć postulatów premiera Morawieckiego (ulgi podatkowe, zmniejszenie obciążeń ZUS, wyprawki dla uczniów, drogowe inwestycje i wsparcie dla wykluczonych) to inicjatywa ze wszech miar pożyteczna. Wciąż jednak brakuje mi perspektywy duchowego rozwoju, który – niedoceniany i wciąż odkładany „na zaś" przez rząd fachowców technokratów (najpierw chleb, potem kultura) – zemści się kiedyś okrutnie. Przecież wyraźnie już widać, że znacznie bogatsze kraje UE – z ujemną demografią, pozbawione swej tożsamości, wartości i tradycji – muszą zginąć w powodzi fundamentalnych, agresywnych, multikulturowych migracji.

Sytuacja Polski nie jest łatwa; niemiecka okupacja i pół wieku rządów komuny pozbawiły nas elit. Wybito, wypędzono bądź zastraszono mądrych i patriotycznych Polaków. W ich miejsce awansowano zdrajców, chamów i miernoty. Kolejne trzy dekady ekspansji lewactwa dopełniły spustoszenia w mentalności i moralności Polaków. Dlatego z uporem maniaka zwracam uwagę rządzących na pilną potrzebę odbudowy elit i powrót do świata tradycyjnych wartości. Odwrócenie trendu anihilacji narodu jest niemożliwe bez szerokiego wykorzystania popkultury; to ona formuje nasz gust i poglądy. Właśnie dlatego media opanowane są przez mainstreamowych „Europejczyków", taśmowo produkujących antypolskie „Pokłosia", blokujących polskiej muzyce dostęp do anteny, flekujących „bogoojczyźniane" wartości i tradycyjnie pojmowany patriotyzm.

Władza rozdarta między kulturą wyższą (MKiDN) i disco polo (TVP) pozwala lewactwu dominować w formatującej gust rozrywce. Audycję o żołnierzach wyklętych podsumowuje swym przebojem Chris Rea. Dziennikarze muzyczni lepiej znają anglosaskie hity niż polskie piosenki!

Tylko atrakcyjna, przebojowa promocja polskości, historii i naszej tradycji pozwoli nam przetrwać w nastawionym na konsumpcję, bezrefleksyjnym świecie. Może warto by wreszcie porozmawiać poważnie o programie Kultura+? Póki jeszcze nie jest za późno...

eprasa.pl 15af488151

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Różowa nienawiść



Aleksander Nalaskowski

Zaatakowana przez dewianta dziewczynka się nie broniła. Była wystraszona i przerażona, a dziwadło przeklinało, polewało ją czymś i szczerzyło kły. Tak właśnie wygląda istota tęczowych marszów i parad równości. To jest ich samo jądro. Bo nie wystarczy tym osobnikom, że mają – jak każdy człowiek – prawo do życia i parzenia w dowolny sposób. Mamy nie tylko się z nich nie śmiać, na ich widok nie wymiotować, lecz jeszcze nade wszystko ich pokochać. Mamy im zazdrościć „odwagi" i dewiacji. Mamy uznać ich za „normalkę" i godną podziwu oryginalność, mają nam imponować. A jeśli nie, to nawet niedużej, normalnej dziewczynce, przerażonej i osłupiałej nie przepuszczą. Ta mała bardzo przypominała mi moją wnuczkę. Pewnie jak i ona jest subtelna, czyta zadane lektury, zbiera najlepsze oceny i wierzy w normalny, bezpieczny świat. Gdyby tę moją wnuczkę jakiś zbok zaatakował siłą swojej perwersji, nienawiści i patologii, nie wytrzymałbym. Poszłyby na bok profesorskie perswazje i bez wątpienia użyłbym pięści. Aż by się ziemia zatrzęsła. Bo „cokolwiek uczyniliście jednemu z moich braci mniejszych...". Myślę, że nerwy puściłyby mi również, gdybym zobaczył tamto zajście na własne oczy. Nie popuściłbym. A potem zadzwoniłbym na policję i przypilnował przebiegu sprawy. Niczego bym nie odpuścił. Dlatego jestem rozczarowany, że akt gwałtu psychicznego i gróźb karalnych miał nasamprzód rozpatrywać rzecznik praw dziecka. Nie rozumiem, dlaczego stosunkowo późno zajęły się tym organa ścigania. Nie naruszono godności dziecka, ale godność człowieka w ogóle. Doszło do nienawistnego zelżenia, do użycia słów niecenzuralnych w przestrzeni publicznej, a wreszcie do upublicznienia wizerunku dziewczynki i samego aktu agresji oraz przemocy w internecie. To ostatnie wydaje się niejako odrębną sprawą i oryginalną odsłoną tej dewiacji. Należało działać natychmiast, a nie czekać na wzburzenie opinii. Takie sprawy winno się załatwiać niemal odruchowo. Od razu.

Nie naruszono tu godności dziecka, ale godność człowieka w ogóle. Doszło do nienawistnego zelżenia, do upublicznienia wizerunku dziewczynki i aktu przemocy w internecie

I jeszcze jeden fakt. Otóż w pewnej chwili w tle przechodzi mężczyzna, który nie reaguje na całe zajście. Chociaż wydaje się, że nawet dla postronnego jego wymowa była jednoznaczna. Może nie zauważył? A może nie chciał widzieć? Nie wiem, nie rozstrzygnę. Ale świadczy to o tym, że cała „akcja" nie działa się na odludziu, na suburbiach, na pustyni. Był tam tylko ten mężczyzna? Nikt inny nie widział? A może jesteśmy już aż tak tolerancyjni?

Jest jeszcze coś, co musi zastanawiać. To poczucie bezkarności przebranego za kobietę okazu zezwierzęcenia. Bezkarnie się wydziera, bezkarnie lży, bezkarnie rejestruje i bezkarnie puszcza w obieg filmik. Czy to nie zasługa tego całego towarzystwa promującego „tolerancję" i „równość"? Czy to aby owi celebryci nie wmówili temu choremu, że ma prawo robić niemal wszystko? Czy te talk-show i inne ekscesy „artystyczne" z jego udziałem nie dały mu rękojmi do uzurpacji specjalnych praw? Jak teraz czuje się ikona matrona kina, która pozwoliła dziwadłu zaistnieć na scenie, czyniąc ze swojego teatru panopticum rodem z XIX w.? Jak się czują te wszystkie „dziennikarki", które prowadziły z nim wywiady?

Jeśli takie kurioza chcą równości, chcą równouprawnienia, to niechaj je mają. Zacznijmy jednak od równości wobec prawa. Bo inaczej nie zaprowadzimy żadnego porządku. Podwójne standardy – inne dla normalnych, a inne dla osobników LGBT – są chore u samych swych podstaw. I nie ma miejsca na tolerancję wobec nich. Bo z czasem może się okazać, że orientacja płciowa będzie podstawowym kryterium wyboru burmistrzów, wojewodów czy parlamentarzystów. Już tego trochę doświadczyliśmy i doświadczamy. Prominentny poseł ugrupowania „kropkaen" pokazuje w internecie swoje wojaże z kochasiem, ich „bliskość" i wyuzdane pocałunki. To element tej samej kampanii wyborczej – „Musicie nas kochać, bo jesteśmy inni". Doznałem mdłości. I choćbym się bardzo starał oraz stawał na uszach, to nie potrafię być poprawny politycznie. Mój organizm nie potrafi, a ściślej: układ trawienny. I już.

Całe zawodowe i rodzicielskie życie próbuję prowadzić młode pokolenia ku normalności, ku rozumności i przyzwoitości. Zapewne różnie mi to wychodzi. Raz gorzej, raz lepiej, ale próbuję. Nie rezygnuję. Bo nie wolno rezygnować. Ochrona tożsamości, obrona życia, obrona normalności to dzisiaj nasze Westerplatte.

Być może to, co widzieliśmy, to incydent, to głupstwo, wypadek jednostkowy i margines, ale właśnie najstarsze techniki oblężnicze polegały na dokonywaniu wyłomów w monolicie murów obronnych. Nie pozwólmy na to. Zakręćmy ten cieknący kran na amen, zanim spadające zeń krople wydrążą głaz naszej normalności na wylot.

eprasa.pl 15af488151

PRZEZ ŚWIETLIK

Temida z kozikiem

Kilku z moich znajomych byłoby zapewne dziś adwokatami i broniłoby ludzi w sprawach sądowych, ale zrezygnowali nawet z walki o aplikację adwokacką, bo 20 lat temu mówiło się, że bez pleców się nie da na nią dostać. A nawet gdyby ktoś przez niefart się dostał, toby zadbano o to, aby jej nie skończył. Duża część zawodów prawnych była dziedziczna jak wada zgryzu u Habsburgów albo tytuł szambelana na niektórych dawnych dworach. I nawet jeśli tamten obraz był nieco przerysowany (w końcu znam kilku adwokatów, którym udało się niegdyś bez koligacji), to świadomość zamknięcia tego środowiska zniechęcała nawet do samego podjęcia walki. Wywoływała efekt mrożący. Coś podobnego do przepisu pozwalającego ścigać dziennikarzy za zniesławienie z Kodeksu karnego. Tego przepisu, który zawsze chcą znosić partie opozycyjne, przynajmniej dopóki nie dołączą do władzy. Pod jego wpływem niektórzy nie chcą pisać artykułów śledczych, bo ich zamraża strach, że zostaną skazani, będą wpisani do rejestru, nie dostaną kredytu, pracy i tak dalej.



Wiktor Świetlik

Czy najlepiej udając ostoję etyki i sprawiedliwości, po cichu być cwaniakiem i łobuzem?

Niedoszłych adwokatów 20 lat temu też mroziło. Wtedy również zaczęło się mówić o otwarciu zawodów prawniczych. Rząd AWS jednak tego nie zdążył zrobić, a w rządzie SLD objawili się najwięksi wrogowie jakiegokolwiek poluzowania familijnego gorsetu. Jednym z nich był ostatni minister sprawiedliwości, już nie rządu Millera, ale Belki, pan Andrzej. Przekonywał, że młody radca, sędzia czy adwokat musi dorastać pod stałą pieczą patrona, swojego seniora, gdyż ważne jest nie tylko przekazywanie wiedzy prawniczej, lecz również wzniosłych zasad etycznych, moralnych, a kto wie czy i nie tajnych technik prasowania na mokro i sucho togi.

Wszystko to są rzeczy dyskusyjne, wcale nie jestem przekonany, czy późniejsze wpuszczanie niedoświadczonych radców w rolę adwokatów było najbardziej zbawienne, ale ciekawsze są losy wspomnianego pana Andrzeja. Dwa lata temu przeczytałem, że jest z nim awantura, a właściwie to on się awanturuje, bo lubianej przez siebie, sporo młodszej pani notariusz podarował różne fatałaszki, niektóre od Versacego, a także jakże romantyczną skórzaną kanapę. Ponieważ państwo się poróżnili, pan Andrzej – jak donosiły media – zażądał od damy zwrotu 30 tys. zł za wspomniane podarunki. Wtedy miał osiemdziesiątkę. Ktoś inny zająłby się wspomnieniami, ale to nie ten przypadek. Pan Andrzej ma 82 lata i prokuratura zarzuca mu działalność przestępczą, kierowanie grupą, która podszywała się pod policjantów, ABW, celników i inne służby. Niektórzy na starość rzeczywiście mają drugie życie.

Ostatnio to niejedyny taki dziwny przypadek. Co się dzieje z facetami w togach? Prawnicy na studiach zawsze czytają „Państwo" Platona, ale obawiam się, że dużej części z nich pozostaje w pamięci nie Sokrates, główny bohater, ale jeden z jego adwersarzy – sofista Trazymach. Uważał on, że najlepiej udając ostoję etyki i sprawiedliwości, po cichu być cwaniakiem i łobuzem. Zastanawiam się, czy w niektórych kancelariach tej mądrości szacowni patroni nie przekazują żądnym wiedzy uczniom.

„Adwokaci tak zdrożeli, że ostatnio taniej wychodzi kupić sędziego" – miał powiedzieć pewien mafioso. Amerykański oczywiście, bo nam w Polsce drodzy są i adwokaci, i sędziowie po równo.

Wiktor Świetlik

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA





55/0318/F

eprasa.pl 15af488151

ROBERT MAZUREK

Krótki traktat o podłości

Co jakiś czas i ja dostaję, ale nawet nie zauważam. Niektóre, jawnie anonimowe, kasuję bez czytania, inne, w trakcie, ot, rytualna czynność, jak wyłapywanie pcheł. Ale wiecie, co innego czytać tak o sobie, a co innego o kimś drogim. To mniej więcej taka różnica jak wtedy, gdy pijak wrzeszczy za tobą – excusez le mot, ale dziś będzie sporo brzydkich słów – otóż, powtórzmy, pijak wrzeszczy za tobą: „Ty ch...". Zero reakcji, czasem autentycznie nawet zabawne. No ale gdy wrzeszczy do twojej żony: „Ty k...!", to jednak w ryj dać, mogę dać, że zacytuję klasyka.

Dlaczego rani nas zwykły wulgaryzm, a nie kropkujemy „Żydzi do g..."? Bo w tym zwrocie każde ze słów jest cenzuralne?

Tym razem ta druga ewentualność spotkała mnie, gdy w rocznicę powstania w getcie i jednocześnie rocznicę powstania Izraela zaprosiłem do RMF Szewacha Weissa. Moja wzburzona realizatorka – a dziewczyna widziała wiele – zablokowała komentarze na fejsie. „Żydzi do gazu" było najłagodniejsze – oznajmiła.

Naprawdę? Naprawdę chciałbyś anonimowy bohaterze z Bogiem, Ojczyzną i Honorem w awatarze powiedzieć Szewachowi Weissowi, gdybyś go spotkał: „Żydzie, do gazu!" i porechotać z udanego dowcipu? A wiesz, mój drogi patrioto, że Szewach Weiss miał lat sześć, gdy do Borysławia przyszli Niemcy? Był chłopcem z zerówki – rozejrzyj się, może masz takiego syna lub wnuczka, może ktoś z sąsiedztwa, nikt? I pomyśl, że następne trzy lata ten maluch spędzi w szafie, kryjówce pod podłogą lub w stodole. Z pchłami, wszami i ze szczurami. Nie zagra w piłkę, nie dostanie cukierka na urodziny, nikt nie przytuli, nie ułoży dobrze do snu, nie odwiedzi. No, chyba że gestapo, ale wtedy ta historia nie miałaby happy endu.

Tak, rozumiem, że w twym skurczonym móżdżku zalęgła się nienawiść do jakichś Żydów, którzy źle o nas mówią. OK, rozumiem emocje. Ale odpowiedzią na nie jest życzenie komuś śmierci? Tak? To powiedz, chciałbyś bardziej zagazować Szewacha wtedy, jako sześciolatka, czy teraz, kiedy jest po osiemdziesiątce? I co chciałbyś zrobić z ciałem? Krematorium? Mamy się zrzucić na to z podatków czy chciałbyś się tym zająć osobiście?

Przepraszam państwa za te obrzydlistwa, już kończę. Zastanawiam się po prostu – nie po raz pierwszy zresztą na tych łamach – jak to możliwe, że ludzie piszą takie rzeczy? Co takiego z nich zrobiono, że są gotowi coś takiego napisać? Czy naprawdę tak myślą, czy tylko chcą sobie ulżyć, bo przecież słowa nie bolą, są bezkarne?

Tak, boli mnie to, bo piszą to o moim przyjacielu, jednym z najszlachetniejszych ludzi, jakich znam. Kiedy przeróżne anonimowe postaci wysyłają mnie do Izraela – stały greps, częstszy nawet niż imputowanie mi rozpaczliwej chęci akcesu do salonu – zastanawiam się z niejakim rozbawieniem, któż też dał im to prawo. Jakim cudem mają do Polski prawo większe niż ja. I większe niż polscy Żydzi, żyjący na tej ziemi setki lat. Rusz się, jeden z drugim geniuszu, do Monte Cassino, rusz się do Palmir, jeśli ci za daleko. Wiesz, co zobaczysz na wojskowych cmentarzach? Gwiazdy Dawida. Tak, znajdziesz tam również gwiazdy Dawida, bo ci Żydzi oddali życie, byś ty mógł sobie żyć w wolnej Polsce i byś po polsku mógł mówić, nawet jeśli rzucasz tylko koszmarnym bluzgiem.

I à propos bluzgu: dlaczego nasze uszy, oczy może bardziej, rani „chuj" czy „kurwa"? Dlaczego piszemy jednak „ch...", „k...", doskonale wszak wiedząc, co się za owym wielokropkiem kryje? Słowem: dlaczego rani nas zwykły wulgaryzm, a nie kropkujemy „Żydzi do g..."? Bo co? Bo w tym zwrocie każde ze słów z osobna jest cenzuralne? Owszem, ale razem są zabójcze.

I nie będzie zabawnej puenty, żadnej dykteryjki na koniec, nic. Nawet nic ku pokrzepieniu. Zaiste, jesteśmy jako gatunek wyjątkowo podli.

robert.mazurek@hotmail.com

Fot. Andrzej Wiktor

ONZ w obronie sekretarza PO



Jerzy Jachowicz

Jak donosi „Daily News Reykjavik", w zaplanowanej na ten tydzień sesji ONZ w ostatniej chwili zmieniono program. Zamiast zamierzonej pierwotnie debaty dotyczącej konfliktu w Syrii najbliższe obrady w całości poświęcone zostaną aresztowanemu w Polsce politykowi opozycji, Stanisławowi Gawłowskiemu. Zmiana ta nastąpiła w wyniku petycji, jaką wystosowało do ONZ kierownictwo największej polskiej partii opozycyjnej – Platformy Obywatelskiej. Początkowo jej kierownictwo zamierzało zorganizować w obronie swojego sekretarza generalnego demonstrację na jednym z wielkich placów stolicy kraju. W ostatniej chwili zrezygnowano z tego pomysłu, tłumacząc się obawą przed powtórką masakry, do której doszło na placu Tiananmen w Pekinie w czerwcu 1989 r.

Sukcesem jest to, że hasło sesji będzie brzmiało: „Łamanie praw człowieka w Polsce na przykładzie Stanisława Gawłowskiego". Podobno do państw członkowskich za takim hasłem najbardziej przemówił argument broniącej go partii – że decyzję o aresztowaniu posła sąd podjął w niedzielę wolną od handlu. Nazwisko aresztowanego – jako niewinnej ofiary rządzącej obecnie reżimowej partii chrześcijańsko-narodowej i jej organów: prokuratury oraz sądu – przez miliony Polaków wypowiadane jest dziś z czcią i nabożeństwem. Dodajmy: wypowiadane z lękiem szeptem, gdyż w całym kraju panuje powszechny terror. Za głoszenie prawdy o aresztowanym, a nawet za samo wypowiedzenie na głos jego imienia grożą surowe represje. A trzeba wiedzieć, że w tramwajach, autobusach, kinach i kawiarniach, na każdym rogu ulic miast i miasteczek nasłuchują szpiedzy, donoszący gorliwie do ucha krwiożerczego przywódcy rządzącej partii – Jarosława Kaczyńskiego. Ten kacyk z lubością gnębi każdego zwolennika Gawłowskiego i jego partii. Jaskrawym dowodem jest jego zarządzenie, aby Gawłowskiemu zmniejszyć o połowę liczbę kąpieli tygodniowo w ciepłej wodzie – z czterech do dwóch. I w takiej samej proporcji godzinowej zwiększyć przymusowe oglądanie telewizji rządowej, zwanej publiczną. W ramach programu resocjalizacji.

CO MNIE CIESZY

Zaczęło się od krzyża



Katarzyna Łaniewska

10 kwietnia przeszedł ostatni, 96. marsz pamięci, po tzw. smoleńskiej mszy, z katedry warszawskiej pod Pałac Prezydencki.

Przez osiem lat maszerowaliśmy. W każdą rocznicę zbierały się tam tłumy, aby nie zapomnieć. Oglądaliśmy filmy dokumentalne, były występy aktorów, a ludzie pamiętali i byli tam zawsze. 10 kwietnia 2010 r. zaczęli się zbierać na Krakowskim Przedmieściu, palić światła i przynosić kwiaty. Przyszli tam z własnej woli, by oddać hołd im wszystkim. Nie zapominali o tej największej współczesnej tragedii narodu polskiego. Harcerze przynieśli krzyż z tablicą, z prośbą o pamięć. Ten krzyż zaczął wyraźnie przeszkadzać. Jak modlący się i pilnujący go ludzie. Byli atakowani (to łagodne określenie) przez pijaną hołotę w niewyobrażalny dla normalnego człowieka sposób. A władza, która była licznie reprezentowana, nie broniła modlących się. Wręcz przeciwnie. Biało-czerwone kwiaty i żółte tulipany dla pałacowej pani były zbierane, dopiero co zapalone znicze były gaszone. Bronisław Komorowski szybko podjął decyzję, aby krzyż został stąd zabrany. Za bardzo kłuł w oczy tłum modlących się. Sytuację najlepiej w skrócie poetyckim wyrazi wiersz, który mówiłam wielokrotnie wśród innej smoleńskiej poezji o krzyżu. Napisała go poetka, z którą się zaprzyjaźniłam, Barbara Postawa-Lipińska:

Krzyż był niesubordynowany
Przystanął w miejscu niefortunnym
Zakłócił komfort, burzył plany
Myśli kierował tam gdzie trumny

Krzyż nie był wielki lecz przeszkadzał
Jakby sumienie wręcz uciskał
Sprawiał, że gorzka była władza
I nie pozwalał na igrzyska

Nikt nie chciał tu krzyżowych stacji
Lecz krzyż opętał w jednej chwili
I się dopuścił prowokacji
Że opętani się modlili

Aż się doigrał nielegalny
Zdjęli go zręcznie w kilku susach
Barabasz bardziej jest medialny
Czy ktoś chce po stronie być Chrystusa?

eprasa.pl 15af488151



TRENDY I OWĘDY

Ukąszeni „niewinnością”

Imaginowanie sobie Donalda Tuska w więziennym pasiaku i czapeczce poprawia humor



Ryszard Makowski

Po upadku komuny najbardziej dotkliwy był brak rozliczenia z sowieckimi pomagierami. Co więcej, to oni tak umościli się w III RP, że nawet dziś nie można zdegradować wiadomych generałów. Ale przede wszystkim uwłaszczyli się na majątku narodowym. Następcą ubeckiej „służby Polsce” została Platforma, nazywana dla kpiny Obywatelską. Utrwaliła z niezwykłym entuzjazmem standardy łapownictwa, hochsztaplerstwa, rozkradania wszystkiego, a przede wszystkim ekonomicznej pogardy dla biednego człowieka.

Jednak najbardziej zatrważa kompletny brak poczucia winy pośród tuzów PO. Ci ludzie rozstali się z jakąkolwiek przyzwoitością. Nie widzą nic złego w obronie zatrzymanego za prostackie przestępstwa posła PO Stanisława Gawłowskiego. W ich pojęciu jest niewinny i zaradny. No co? Miał nie przyjmować „kanapek”, czyli plików banknotów, albo nie wziąć apartamentu w Chorwacji? Co on jakaś melepeta jest?

Towarzyszy temu ostentacyjna szydera z prospołecznych działań PiS. Pomoc dla rodzin jest okrzykiwana rozdawaniem naszych pieniędzy. Sprzeniewierzanie tychże pieniędzy byłoby w porządku. Doskonale widać, jak potrzebny jest restrykcyjny program Cela+. Zrujnowanym moralnie członkom PO żadna refleksja resocjalizacyjna nie zagraża. Jakby się PiS dobrze sprężyło z tymi zatrzymaniami, toby PO nie miała kogo wystawić w wyborach samorządowych. Tam nie ma uczciwych, są tylko nieprzyłapani.

eprasa.pl 15af488151

***Zawistowski prezentuje:* Dama**

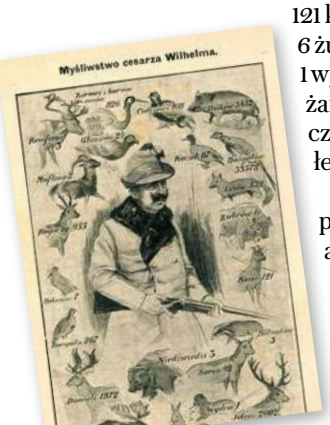


Wycinki z przeszłości

Myślistwo cesarza Wilhelma" – tak „Rocznik Gebethnera i Wolfa, kalendarz encyklopedyczno-praktyczny na rok 1914" zatytułował swoją notatkę o pasji cesarza Niemiec i króla Prus (w 1918 r., u kresu I wojny światowej, abdykował; zmarł w 1941 r. na emigracji).



Czytamy: „Cesarz Wilhelm obchodzi obecnie 40-letni jubileusz myśliwskiej działalności. Z tego powodu pisma niemieckie podają dokładną statystykę ofiar jego strzałów. W ciągu 40 lat Wilhelm II własnoręcznie położył 2 002 jelenie, 92 sztuki saren, 1 872 daniele, 3 432 dziki, 955 rogaczy, 17 988 zajęcy, 2 686 królików, 121 kozic, 532 lisy, 3 niedźwiedzie, 12 łosiów, 6 żubrów, 3 renifery, 2 muflony, 6 jaźwców, 1 wydrę, 108 cietrzewi, 24 głuszce, 33 578 bażantów, 867 kuropatw, 7 bekasów, 87 kaczek, 826 żurawi i kormoranów i.t.d. Ogółem 70 845 sztuk".

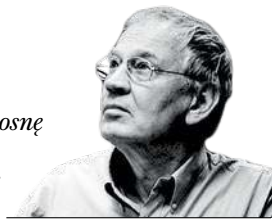


Cóż, bardziej właściwie byłoby w tym przypadku mówić nie o pasji myśliwskiej, ale rzeźnickiej.

(mk)

Wiosna w Gościeradzu...

czyli przed obrazem Leona Wyczółkowskiego



Leszek Długosz

Z lekka pół wieku
Siedzę w Twoim fotelu
Przed oknem tam na oścież
– Na tamtą wtedy patrzę Twoją wiosnę
– Trwaj chwilo...
I ponad czasem trwaj oczarowanie
Twoje we mnie

Jakeś Ty to „Wyczół Stary"
Jakżeś ujrzał
– Na spłachetek płótna umiał przenieść
– Wzrok zagarniasz mój odległy
– Serce me owijasz mgiełką
Zachwycenia...

Tam eksplozja zaokienna
Tam na zewnątrz
Więc po tamtej stronie świata
Szał kwitnienia
– Śliwka, wiśnia?
W niebo okrzyk biało złoty
– Anioł tam świetlisty wzlata?
A tu cisza
Dwa trzy sprzęty
Nieruchomość w Twej pracowni
– Fotel z lekka odsunięty
Książka odłożona
Wiatr stronice jej obraca
– Ktoś na chwilę, za drzwi tylko
Wyszedł z kadru?
– Ktoś na wieczność zszedł z obrazu?

Jakeś Ty to „Wyczół Stary"?
(Jakżeś wiedział, umiał, zdołał?)
– Istne czarodziejstwo Twoje
– Ponad czasem zachwycenie
Ach i drobiazg
Ten firanki nagły powiew
– I ów podpis, dopełnienie:
Wiosna w Gościeradzu...
Wiosna, wiosna...
No tak, Wiosna w Gościeradzu...
– Nieodmienna, nieodmiennie

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 15af488151

OD A DO ZYBERTOWICZA

Suwerenność i otwartość

Ludzie książki piszą. Ludzie książki czytają. Ludzie o książkach piszą. Jeszcze to robią.

Tekst dla „Sieci" trzeba już wysyłać, a tu nie zdążyłem dokończyć lektury (cóż dopiero przemyśleć) świeżo wydanej po polsku książki „Kontrrewolucja. Europa liberalna w odwrocie", którą napisał Jan Zielonka, profesor Oxford University. Książkę dobrze się czyta, ale inspiruje tak intensywnie, że co rusz wsiąkam w rozmyślania na kanwie lektury i nie mogę książki ukończyć.

NIECHLUBNY PRZYKŁAD

Czy o książce niedoczytanej można pisać? Nie chcę iść drogą niesławnego przykładu historyka prof. Andrzeja Friszkego, który w roku 2008 tak się spieszył, by na łamach „Wyborczej" potępić książkę Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka „SB a Lech Wałęsa", że recenzję napisał, mimo – jak się przyznał – nieprzeczytania tej obszernej rozprawy w całości.

A poważna krytyka wymaga poważnej lektury – przestudiowania całości tekstu. A jednak trudno nie ulec pokusie podzielenia się refleksjami z niepełnej jeszcze lektury. Zwłaszcza że fragmenty, które przeczytałem i wstępnie sobie o nich porozmyślałem, rezonują z kwestiami, które trapią mnie (i Europę) od dłuższego czasu.

PRZECIWIEŃSTWA?

Nie trzeba pewnie większego namysłu, by dostrzec, iż suwerenność państwa i otwartość społeczeństwa nie zawsze idą w parze. Suwerenność – zdolność do skutecznego działania niezależnie od wpływu innych podmiotów – w dzisiejszym, poddanym globalizacji i cyfryzacji świecie nie jest tym, co twórcom doktryn politycznych jawiło się wieki temu. Otwartość – granic, przepływów ludzi, towarów, idei, technologii, płynność instytucji etc. – oznacza wymóg



W godzeniu ambicji suwerenności z potrzebą otwartości może się znajdować klucz do zachowania tego, co w wartościach europejskich najgłębsze

równoważenia potrzeb własnych z interesami tych podmiotów i sił, które mogą oddziaływać na terytorium danego państwa i na jego obywateli.

A jednak! Szukamy sposobów nawigowania po wzburzonych wodach oczekiwań wyborców i ambicji polityków, by działać suwerennie i zarazem zachować tyle otwartości, ile... No właśnie! Ile jest możliwe? Rozsądne? Ile trzeba? Kto potrzebuje jeszcze więcej otwartości?

Bo przecież chyba widać, że otwartość można przedawkować! Że tu właśnie mogą leżeć niektóre źródła kryzysu Europy.

MIĘDZY OTWARTOŚCIĄ A ZAMKNIĘTOŚCIĄ

Zielonka, który przedstawia się jako liberał z krwi i kości i jest zwolennikiem klasycznego dzieła wybitnego filozofa Karla Poppera (1902–1994) „Społeczeństwo otwarte", rozumie, że świat bez granic to niebezpieczna mrzonka. Że „wezwanie do stworzenia Europy pozbawionej granic [...] prowadziłoby do chaosu i anarchii".

Z drugiej strony jednak pisze: „Ograniczenie migracji jest praktycznie niemożliwe bez pogorszenia funkcjonowania pewnych ważnych gałęzi gospodarki" oraz że „państwa narodowe nie powinny już dyktować reguł europejskiej polityki: miasta, regiony i organizacje międzynarodowe powinny zyskać dostęp do europejskiego systemu decyzyjnego i zasobów". Można by się spierać co do interpretacji tych słów, szczęśliwie nieco później Zielonka dodaje rzeczy, z którymi należałoby się zgodzić: „Szczelność granic da się stopniować. Liberałowie nie mogą [...] po prostu zadekretować własnej wizji granic, muszą negocjować ze swoimi wyborcami formy i skalę migracji oraz handlu. Suwerenność także jest kwestią stopnia".

MURY PÓŁPRZEPUSZCZALNE

Jako konserwatysta dodam, że zarządzanie otwartością powinno dotyczyć też wymiarów obyczajowych (jestem przeciw fundamentalizmowi praw człowieka i związanemu z tym hiperindywidualizmowi), a także tempa i kierunków rozwoju techniki.

Zatem mury chroniące społeczeństwa winny być półprzepuszczalne. Przecież współczesna suwerenność winna obejmować zdolność państwa do wchodzenia w sojusze. Ale i zdolność przeciwstawiania się tym pomysłom sojuszników, które są nieroztropne.

I tu – jak sądzę – można liczyć na dialog z prof. Zielonką. Jego książka ukazuje, iż to w godzeniu ambicji suwerenności z potrzebą otwartości (rozumianej nie jako dogmat, ale źródło zmian społecznych, które warto jednak okiełznać) może znajdować się klucz do zachowania tego, co w wartościach europejskich najgłębsze.

Andrzej Zybertowicz

12/0318/F | 25/0418/F

eprasa.pl 15af488151

Zaproś „Niedzielę" do swojego domu!

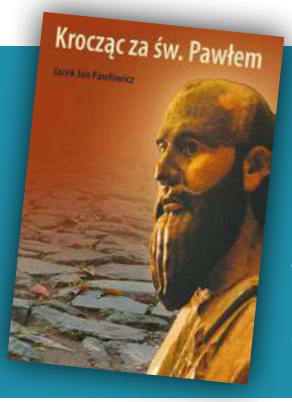
PRENUMERATA „NIEDZIELI" Z WYJĄTKOWYM PREZENTEM



+

„SANTO SUBITO" – film DVD





JACEK JAN PAWŁOWICZ

„KROCZĄC ZA ŚW. PAWŁEM"

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ „NIEDZIELI"

telefonicznie: tel. (34) 324-36-45,
centrala: tel. (34) 369-43-00
lub (34) 365-19-17

listownie: Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela", ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa

e-mailem: kolportaz.niedziela@niedziela.pl

PRENUMERATA KRAJOWA

400,40 zł	roczna
200,20 zł	półroczna
100,10 zł	kwartalna

Numer konta dla prenumeraty krajowej (złotówkowe):
86 1020 1664 0000 3102 0019 7418

PRENUMERATA ZAGRANICZNA

K W A R T A L N A

224,90 zł	pocztą zwykłą do krajów Europy
272,87 zł	pocztą lotniczą do krajów Europy
272,87 zł	pocztą lotniczą do krajów Ameryki

Przy zamawianiu prenumeraty zagranicznej półrocznej należy kwotę za prenumeratę kwartalną pomnożyć przez 2, a zagranicznej rocznej – przez 4.

Numer konta dla prenumeraty zagranicznej (dla wpłat złotówkowych):
kod BIC (SWIFT) BPKOPLPW
PL 86 1020 1664 0000 3102 0019 7418

W tytule przelewu należy wpisać rodzaj prenumeraty i edycję diecezjalną, którą zamawiamy.

„NIEDZIELA" NA POCZCIE

TERAZ MOŻESZ NABYĆ TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA" TAKŻE W URZĘDACH POCZTOWYCH W CAŁEJ POLSCE.

eprasa.pl 15af488151

Już 7 maja w tygodniku SIECI

Polacy, którzy zmienili świat

SERIA DODATKÓW EDUKACYJNYCH

Geniusze ze Lwowa, czyli tajemnica Enigmy i bomba termojądrowa



Stanisław Ulam • Stefan Banach • Marian Rejewski

PARTNER DODATKU

ORLEN

W każdy pierwszy poniedziałek miesiąca do końca roku kolejne odcinki o polskich wynalazcach, odkrywcach, innowatorach, którzy uczynili świat lepszym